



**Sven Elvestad  
(Stein Riverton)**

## TAJEMNICA TOPEDY

(Upiorny krzyk)  
Powieść kryminalna

Sven Elvestad  
(Stein Riverton)

# Tajemnica torpedy

(Upiorny krzyk)

Dodatek powieściowy „Gazety Porannej”  
Lwów 1928

## I

### NIEZWYKŁE ZJAWISKO

Asbjørn Krag otwierał list za listem, szybko przebiegał oczyma i niechętnie rzucał na biurko. Nie było w nich nic zajmującego. Listy od dalekich znajomych, zaproszenia, które otrzymywał tuzinami i jeden list anonimowy. Z obrzydzeniem rzucił go Krag do kosza.

Asbjørn nudził się straszliwie.

Nic do roboty — nic — myślał.

Zwyczajnie poczta przynosiła mu jakąś tajemnicę, jakieś skomplikowane zadanie do rozwiązania, wreszcie jakieś odkrycie — a dziś....

Wreszcie pozostał mu w ręku ostatni list w dużej, niemal urzędowej kopercie. Rozciął ją spiesznie i wyjął arkusik wytwornego papieru listowego.

Zaledwie słów parę było na nim. Z przyzwyczajenia spojrzał najpierw na podpis.

— Ach, od niego — pomyślał Krag — a więc żyjesz — i przeczytał list. List brzmiał:

Kochany Przyjacielu!

Jeżeli Ci nie przeszkodzę w twych zajęciach, zapraszam Cię bardzo serdecznie do siebie na parę dni. Może tu znajdzie się coś dla ciebie. Wyjeżdżając z Christanii<sup>1</sup> wybierz pociąg odchodzący o 10'15.

Twój przyjaciel  
Joachim Hoft

— Krag złożył list starannie i spojrzał na zegarek.

Dochodziła dziewiąta.

— Jeżeli ci nie przeszkodzę...! — ach, jakież to śmieszne. Wszak od tygodni Krag zanudzał się śmiertelnie. Nic a nic mu nie przeszkadzało.

List pochodził od prawie zupełnie zapomnianego towarzysza młodości, który mieszkał w Friedrichshald, gdzie zajmował wybitne stanowisko społeczne. Sądząc z treści, list nie zawierał nic ważnego. Zwykle zaproszenie towarzyskie. Główną jednak jego zaletą było to, że kończyła się nuda.

Krag postanowił wyjechać. W chwilę później zdążył Krag, wesoły i zadowolony, wraz ze służącym i walizkami na dworzec kolejowy.

---

<sup>1</sup> Dawna nazwa Oslo.

Tuż przy wejściu na peron zobaczył Krag młodego agenta policyjnego i podszedł ku niemu.

— Dokąd pan jedzie? — zapytał witając się agent.

— Wyjeżdżam w osobistych sprawach.

— Daleko?

— Nie, tylko do Friedrichshald.

— Friedrichshald — powtórzył agent — ależ to szczególne.

— Cóż w tym szczególnego, że ja do Friedrichshald jadę? — zapytał Krag i lekko się uśmiechnął.

— Słusznie — odpowiedział agent — w gruncie rzeczy — nic to dziwnego — właściwie — tylko dzisiaj spotykam się po raz drugi z miejscowością Friedrichshald.

Asbjørn Krag nagle spoważniał.

— Taak? — Czyżby jaka nowa zbrodnia?

— Nie — to nie. — Spotkałem się z tą nazwą dziś w biurze o godzinie wpół do dziesiątej. Wszedłem do biura niespodziewanie i nagle doleciały mnie luźne słowa prowadzonej rozmowy między moim szefem a jakimś nieznanym panem. Ciągłe powtarzało się słowo Dr. Peters, więc zrozumiałem, że on się tak nazywa. Miałem wrażenie, że doktor Peters jest prawie na wychodnym.

— Czy jedzie pan jutro do Friedrichshald? — zapytał mój szef nieznanomego pana, mówiącego po niemiecku.

— Prawdopodobnie dopiero pojutrze — odpowiedział Niemiec. — Wpierw muszę zmienić trzysta tysięcy marek. Niemiec — trzysta tysięcy — wyjazd — to były słowa, które zmusiły mnie do zwrócenia baczniejszej uwagi na nieznanomego.

Był to poważny pan w wieku do 50 lat o czarnej brodzie i lśniących jedwabistych wąsach, i ogromnych prawie nadnaturalnej wielkości oczach, patrzących z poza w złoto oprawnych okularów. Wytwornie ubrany poruszał się ze swobodą salonowca i dystynkcją dyplomaty.

Szef mój był dla nieznanomego pana bardzo uprzejmy i odprowadził go niemal do drzwi wejściowych. Zanim jednak rozstali się obaj, usłyszałem dokładnie słowa Niemca :

„Zdaje mi się jednak, że w Friedrichshald nie znajdę zdolnego detektywa”.

Co mój szef na to odpowiedział, nie dosłyszałem, ale to jest właściwy powód mego zdziwienia, gdy dowiedziałem się, że pan wyjeżdża do Friedrichshald.

Czas odjazdu zbliżał się i Krag wszedł do wagonu, kończąc rozmowę przez otwarte okno.

— Czy dowiedział się pan, kim jest Dr. Peters?

— Nie.

— Za małą ciekawość, to ogromny błąd w pańskim zawodzie — zauważył Krag.

— Nie mogę sobie niczego zarzucić — odpowiedział agent. Gdy bowiem szef mój uwolnił się wreszcie od pracy, zapytałem go o Dra Petersa. Zamiast jednak odpowiedzi zapytał mnie niechętnie:

— Dr. Peters? — Słyszał, więc pan jego nazwisko ?

— Tak jest — odpowiedziałem.

— A czy słyszał pan, co z naszej rozmowy?

Powiedziałem mu wszystko, co usłyszałem. Na twarzy mego szefa odmalowało się zadowolenie.

— Dr. Peters — powiedział mi szef — udzielił mi bardzo cennych wskazówek. W każdym razie nie życzę sobie jednak, aby ktoś wiedział w moim biurze o panu mówiącym po niemiecku, a tym mniej o jego nazwisku.

— Bardzo słusznie — rzekłem.

Asbjørn Krag roześmiał się. Oto stoi przede mną człowiek i opowiada mi wszystko, o czym właściwie wspomnieć nawet nie powinien. Oto młody agent papla jak sroka wbrew poleceniom swojego szefa.

Ach — jak często zdarzają się podobne rzeczy.

Krag do policji nie należał. Nie mniej jednak detektywi uważali go za swojego człowieka i powtarzali mu wszystko, co go mogło żywiej zainteresować. W ten sposób była zawsze łączność między policją a Asbjørnem Kragiem.

I podobnie jak ongiś, kiedy jeszcze Krag wchodził w skład policji, należąc do najlepszych urzędników, tak i teraz w razie potrzeby znajdował w biurze detektywów pomoc i mógł rozporządzać całym aparatem policyjnym.

Asbjørn Krag nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do słów młodego detektywa. Opowiadanie to było mu raczej obojętne, a jednak słowa — Dr. Peters — trzysta tysięcy brak — zdolnego detektywa w Friedrichshald — głęboko utkwiły mu w mózgu.

Jeżeli praca, którą przeznaczył mi mój przyjaciel, nie będzie wymagała zbyt wiele czasu, porozumie się z szefem detektywów.

Pociąg ruszył. Asbjørn Krag usadowił się wygodnie w kącie przedziału, zapalił nieodstępного papierosa i po chwili zatonął w lekturze. Były to czasopisma policyjne wielkich stolic europejskich. Czasopisma te, które są dla zwykłego czytelnika nieskończenie nudne, były dla Asbjørna najwspanialszą lekturą.

Oto jest piękna lektura — zwykł mówić Asbjørn Krag, pokazując na stos czasopism policyjnych.

I innych rzeczy nie czytywał Krag nigdy, z wyjątkiem dzienników, które studiował począwszy od artykułów wstępnych, a skończywszy na ogłoszeniach. Szczególnie te ostatnie miały dla niego dużą wartość.

Zresztą Asbjørn Krag sam był współpracownikiem rozlicznych czasopism policyjnych zarówno w kraju jak i zagranicą. Właśnie przed niedawnym czasem ukazał się w paryskich pismach artykuł „sławnego norweskiego detektywa” omawiający zbrodnię przyszłości. W artykule tym rozwinął Asbjørn Krag nadzwyczajną fantazję w połączeniu z istotną i gruntowną wiedzą zawodową. Udowadniał on, że wskutek gwałtownego rozwoju sztuki policyjnej, zbrodnia musi zmienić zasadniczo sposoby walki. Krag był artystą w swoim zawodzie.

W czasie jazdy pociągiem Asbjørn Krag nie troszczył się wcale o krajobrazy, przez które przejeżdżał. W jego zimnym i przenikliwym mózgu było miejsca dla pięknych widoków. I ilekroć razy spojrzął na śnieżno-białe

pola, skrzące się w promieniach słońca, to tylko w tym celu, aby przekonać się ile już przebył drogi. A gdy kres podróży był jeszcze odległy, powracał do artykułu Brülersa, dyrektora policji, traktujący o daktyloskopii.

Dopiero, gdy pociąg zatrzymał się na dworcu w Friearichshald, Asbjørn Krag złożył starannie pisma do podróżnej walizki, zarzucił na siebie futro i wyjrzał przez okno.

— Hallo — krzyknął ktoś nań z peronu. Bezwiednie spojrzął w tym kierunku.

W pobliżu wagonu stał pan o rdzawo-rudawym zaroście i witał się przyjaźnie. Mimo długiej rozłąki Asbjørn Krag poznał Joachima Hofta.

— Doskonale zrobiłeś, żeś przyjechał — mówił Hoft. Sanki moje czekają. Jedziemy.

— Dokąd? — zapytał Krag.

— Do mnie. Mieszkam w willi za miastem.

W chwilę później mknęły sanki przez ruchliwe i gwarne ulice miasta.

— Czy zaszło, co niezwykłego od czasu napisania do mnie listu? — zapytał Krag przyjaciela.

— Od przedwczorajszego wieczora? Nic.

— A twoje podejrzenia?

— Moje podejrzenia rosną z minuty na minutę. Jednak pytasz mnie się w ten sposób, jak gdybyś był wtajemniczony w całą sprawę.

— Najzupełniej mylisz się. Nie mam najmniejszego pojęcia co to za sprawa. Stawiam pytanie ogólne.

Sanki wysunęły się z miasta i mknęły po twardej zamarzniętej ziemi. Droga biegła koło ogromnej pańskiej siedziby, skręcała całkiem na prawo i znaczyła prostą linię w śniegiem okrytych polach.

— Ślicznie tu — prawda? — zawołał Hoft i wskazał ręką na skrzące się pola. Śliczny widok — świeże powietrze — doskonały koń — no i ciepłe futro. Czegóż można więcej żądać.

Asbjørn Krag poruszył się niecierpliwie. Stanowczo nie miał zrozumienia dla widoków.

— Aby czasu nie tracić — mówił Krag — powiedz mi raczej, jaki cel miało twoje zaproszenie. Sądzę, że chyba nic poważnego

— Z czego to wnioskujesz?

— W przeciwnym, bowiem razie nie byłbyś tak zadowolony i nie zachwycałbyś się nastrojami. Idę jeszcze dalej i powiem, że cała sprawa ciebie nie dotyczy.

— Masz słuszność. Istotnie nie dotyczy ona mnie, ani też mojej rodziny.

— A jednak zdaje mi się, że nią się zajmujesz.

— Odgadłeś. Gdyby ona nie była na prawdę ciekawą — nigdy nie odnosiłbym się do ciebie. Wiem przecież, jak drogą jest dla ciebie każda chwila.

Asbjørn Krag roześmiał się i bezwiednie przyszedł mu na myśl długie tygodnie przeokropnej nudy.

— Cieszę się jednak, że tu jestem. Więc cóż dalej?

— Jak ci już wspominałem, mieszkam w małej willi za miastem. Za chwilę ją zobaczysz. Najbliższym moim sąsiadem jest tajemniczy pan, którego nazwiska nie znam, a który rzekomo nazywa się „Folgefuchtel”. Nie wierzę jednak, aby to było prawdziwe jego nazwisko.

— Prawdopodobnie — potwierdził Krag, — ale dlaczego on wybrał sobie tak dziwne nazwisko.

— Nie domyślałam się tego. Jednak pod tym nazwiskiem otrzymuje listy, względnie pod nazwiskiem „Folgefuchtel-Birkenheim”.

Asbjørn Krag roześmiał się głośno.

— Ależ Folgefuchtel - Birkenheim — to dwa nazwiska.

— Wcale nie. Birkenheim jest nazwą posiadłości, w której on mieszka. Majętność ta należy do najstarszych i największych w naszej okolicy. Wydzierzał mu ją właściciel na przeciąg dwóch lat. Wkrótce zobaczysz dom, w którym mieszka Folgefuchtel.

— Od kiedy mieszka — ten — ten — Folgefuchtel?

— Mieszka od roku. Początkowo pobyt jego tutaj równał się niemal sensacji. Dziś przyzwyczaili się ludzie do niego. Jest to człowiek bardzo brzydki. Chodzi on w jednej i tej samej zarzutce, tak starej i zniszczonej, że trudno określić jej kolor. Przy tym nie zdejmuje jej nawet wtedy, gdy mamy śliczną pogodę. Ponieważ w tych stronach żyjemy bardzo towarzysko, przeto niektórzy pragnęli go wciągnąć na wista i wysyłali do niego zaproszenia. Folgefuchtel nie przyszedł nigdy, nie mniej jednak wysłał on do wszystkich zapraszających go listy jednakowo brzmiące. W listach tych uprasza o wykreślenie go z listy towarzystwa, oraz prosi o nieodwiedzanie go nigdy pod żadnym pozorem. Równocześnie zagroził, że wobec nieproszonych musiałby stosować system wyrzucania za drzwi. I istotnie nie długo później strzelił on do jednego młodzieńca, który nie zwracając uwagi na przestrożę, wdzierał się do ogrodu przez płot.

— Zabił go?

— Zdaje się, że nie miał wcale tego zamiaru. Chciał go tylko przestraszyć.

— Krótko mówiąc, twój Folgefuchtel jest starym dziwakiem — rzekł Krag — i jeśli istotnie tak cała rzecz się przedstawia, to cóż w tym wszystkim jest groźnego?

— Zmieniłbyś swoje zdanie, gdybyś tylko usłyszał krzyk — rzekł poważnie Hoft.

— Krzyk?!

— Tak jest. Krzyk najpotworniejszy, jaki kiedykolwiek w życiu słyszałem. Jest to krzyk, co mrozi krew w żyłach, krzyk, jak gdyby tysiąca puszczaków, puchaczy, kruków, orłów czy też upiorów. — Patrz i oto posiadłość, oraz jego dom z wieżyczką — tajemniczy dom.

I w chwili, gdy Hoft pokazywał Kragowi w dali mający dom, koń spłoszył się i rzucił gwałtownie w bok.

— Hallo! słyszysz — krzyk — zawołał Hoft. Straszny krzyk przeszył powietrze. Krag skurczył się w sobie i czuł jak po skórze chodzą mu mrówki.

— Hoft ma słuszość — przyznał Krag — czegoś podobnie straszego nigdy nie słyszałem.

## II ŻÓŁTA TRUMNA

Niesamowity krzyk trwał blisko minutę. Początkowo niskie gardłowe dźwięki przypominały głuchy pomruk gniewnego zwierzęcia, potężniejszy z każdą minutą, aż wreszcie wpadł w jakiś straszny, dziki krzyk, kryjący w sobie ból całego świata. Krzyk upiora nad starem zamczyskiem.

Krople potu wystąpiły na czoło Joachima Hofta. Przerażony koń strzygł uszami i podrażniony biegł dużymi skokami w obłądnym strachu. Jedyne Asbjørn Krag, jakkolwiek silnie zdenerwowany, umiał zapanować nad sobą.

— Czy słyszałeś coś potworniejszego? — zapytał Hoft.

— Kiedy go zwykle słyszysz?

— Dziś po raz pierwszy słyszałem go w dzień. Zwykle jednak dopiero wieczorem — odpowiedział Hoft, usiłując równocześnie powstrzymać rozhukanego konia,

— O której godzinie wieczorem?

— Zwykle około godziny jedenastej. Ostatni raz przypominam sobie, było to o godzinie 10: 48 minut.

Asbjørn Krag spojrzał na majaczący na widnokręgu dom. Znaczył się on ciemną plamą wśród rozstłonecznionych pól, stał cichy, jak gdyby uśpiony między drzewami.

Czy to możliwe, by w tym domu rodziła się zbrodnia? myślał Krag.

Sanki mknęły szybko i przed oczami jadących zawidniała mała, zaciszna willa, stojąca na polanie leśnej.

— To moja willa — objaśniał Hoft — w stylu staronorweskim i musisz przyznać, że jest bardzo piękna.

— Istotnie — pełna uroku. — A czy biała postać, którą widzę w oknie, to twoja żona?

— Tak — potwierdził Hoft. — Musi być biedaczka w śmiertelnym strachu. Nie dziwię się jej zresztą. Wszak i stary żołnierz nie czułby się zbyt pewnym, a cóż dopiero młoda kobieta.

Sanki zatrzymały się przed willą. Obaj panowie otrzepali się ze śniegu i weszli do dużej sali, gdzie oczekiwały ich wełniane pantofle.

— Twoja pani jest naprawdę bardzo troskliwą — śmiał się Krag, wkładając pantofle na nogi.

Wkrótce pojawiła się pani domu.

— Ach, jak to dobrze, że pan przyjechał do nas. Krag ukłonił się uprzejmie, pierwsze lody były przełamane.

— Czy słyszeli panowie krzyk? — zapytała pani Hoft po wymianie zwykłych uprzejmości.

— Trudnym było go nie słyszeć — odpowiedział mąż.

— Ach — jak ja się dzisiaj strasznie przestraszyłam. Czy uważali panowie, że wrzask ten kryje w sobie coś nienaturalnego, jakby....

Asbjørn Krag zastanowił się chwilę.



— Istotnie — krzyk był jakby mieszaniną głosu ludzkiego i głosu z tamtego świata. Niczego podobnego Krag jeszcze dotychczas nie słyszał.

Gospodyni zakręciła się około posiłku, a panowie zostali w pokoju ordynacyjnym Dra Hofta.

— Czy widziałeś kiedy osobliwego pana? — zapytał Krag, siadając wygodnie na krześle.

— Owszem. Spotkałem go dwukrotnie na ulicy. Jak ci już wspominałem, szedł w swojej starej, zrudziałej narzutce, sięgającej niemal do ziemi. Ma długą rudą brodę i wygląd bardzo odpychający. Ludzie, którzy pracują w jego posiadłości, twierdzą, że na rolnictwie nie zna się wcale. Dlatego zdaje mi się trzyma rządcę, który gospodarzy.

— A czy ma on pieniądze?

— Zdaje się, że bardzo wiele, chociaż zarówno jego wygląd jak i tryb życia nie wskazują na to. Osobiste jego wydatki są bardzo niewielkie. Czasami jednak w pewnych wypadkach wyrzuca pieniądze garściami za okno.

— Znasz taki przykład?

— Opowiadał mi kiedyś naczelnik stacji z Friedrichshald, że Folgefuchtel wyjeżdża czasami do sąsiedniego miasteczka. Podróż tę odbywa zwykle specjalnie zamówionym pociągiem, składającym się z silnej lokomotywy i jednego wagonu drugiej klasy. Konduktor opowiadał później, że przez przeciąg jazdy siedział Folgefuchtel nieruchomo, wpatrzony przed siebie i na kilkakrotne zapytanie konduktora nie odpowiedział wcale. Bogu tylko wiadomo, po co on tam jeździ.

Asbjørn Krag zamyślił się głęboko.

— Czy jest on żonaty? — zapytał Krag po chwili.

— Tak i to szczególne, że ma młodą i ładną żonę — odpowiedział dr. Hoft.

— Czy mają jeszcze, kogo z rodziny?

— Jeszcze jest jedna osoba.

— Aha! Któż to taki?

— Pani Linke. Jest to siostra pani Folgefuchtlowej. Opowiadają, że jest to wdowa po jakimś oficerze, który umarł w Niemczech.

— Widujesz, kiedy te panie?

— Bardzo rzadko pokazują się w ogólności. Od czasu tylko do czasu jadą razem do miasta, urzędu pocztowego lub księgarni. To wszystko. Ale na jedno zwracam ci uwagę. Obie panie mówią, doskonale po norwesku, nie wiem jednak, czy one nauczyły się tylko języka, czy też istotnie są Norweżkami. W każdym razie Folgefuchtel jest całkiem pewnie Norwegiem.

— Cóż on więc robi, skoro nie zajmuje się gospodarstwem?

— Na to pytanie nikt ci nie odpowie. Pokoje jego leżą w lewym skrzydle budynku, służbie jednak wchodzić do nich nie wolno. Musi się jednak czymś zajmować, gdyż służba słyszała najwyraźniej, jak mówiła pani Folgefuchtel do swej siostry: „Mąż mój pracuje”.

W drzwiach gabinetu pokazała się śliczna, jasnowłosa główka pani Hoftowej.

— Czy chciałaś, czego Ani? — zapytał ją.

— Chciałam ci powiedzieć, że przyjechał rządcą i chciałby się z tobą zobaczyć.

— Jaki rządcą?

— Mój drogi! Wszak w całej okolicy nie ma innego, jak tylko rządcą Folgefuchtlą.

Dr. Hoft zerwał się na równe nogi.

— Co za szczęśliwy zbieg okoliczności! Przecież dowiemy się czegoś nowego. — Poproś go tutaj Ani!

Jasna główka zniknęła za drzwiami.

W chwilę później w drzwiach pokoju stanął rządcą. Był to mężczyzna letni, dobrze zbudowany, o szerokich plecach, rudawym zaroście i mniej inteligentnym wyrazie twarzy.

— Proszę, niech Stampe wejdzie — zapraszał Dr. Hoft. — Czy stało się co, że potrzebuje pan lekarskiej pomocy?

Rządcą Stampe stał nieśmiały na środku pokoju i obracał niezdarnie czapkę w ogromnych rękach.

— Nie — chciałem tylko zasięgnąć rady pana doktora w sprawach... w sprawach...

— Czy wolałby pan rozmawiać bez świadków?

— Tak jest, panie doktorze — padła odpowiedź prostego człowieka.

Asbjørn Krag nie chciał pozwolić wysadzić się z siodła.

— Jestem przekonany, — zaczął Krag — że pan Stampe przyszedł do ciebie poradzić się w sprawie pana Folgefuchtlą.

Powieki rządcy zatrzepotały trwożliwie. Cisza legła w pokoju.

— Proszę się niczego nie obawiać panie Stampe — rzekł Dr. Hoft. — To, co nam pan tu powie, nie wyjdzie nigdy poza próg tego pokoju. Pan Asbjørn Krag należy do moich najserdeczniejszych przyjaciół, którego dyskrecji jestem pewien. Proszę usiąść i powiedzieć co ma pan na sercu.

— Panowie słusznie domyślili się — zaczął rządcą, — że przychodzę w pewnych sprawach, które... które...

— Których pan nie rozumie — odpowiedział Krag.

Rządcą skinął potwierdzająco głową.

— Czy pan myśli o krzyku?

— Tak, i to także.

— Także? A więc jest jeszcze coś innego?

— Panie doktorze! To są sprawy, o których właściwie jam mówić nie powinien, ale jako uczciwy człowiek wiem, że dzieją się rzeczy, o których przemilczeć trudno.

Dr. Hoft spojrzał znacząco na Kraga.

— W pańską uczciwość nikt nie wątpi, panie Stampe.

— Pierwotnie — ciągnął rządcą — chciałem się zwrócić do policji, ale po namyśle przychodzę do pana. Zdaniem moim zarówno Folgefuchtel tak i jego działalność, jest mocno podejrzaną.

— Czy nie przypuszcza pan, że on jest obłąkany? — zapytał Asbjørn Krag.

— Nie. — Wykluczam to w zupełności. Początkowo i ja tak myślałem, ale później przyszedłem do innego przekonania. Folgefuchtel jest zupełnie zdrow na umyśle i jeśli mam powiedzieć prawdę, to on jest zbrodniarzem.

— Dziwię się, że pan, człowiek ostrożny i zrównoważony, rzuca takie straszne oskarżenie. Chyba, że ma pan w ręku jakieś rzeczowe dowody.

— Mam je także. Wiecie panowie dobrze, do jakiego stopnia jest on trwożliwy. Słyszałem, że wysłał do sąsiedztwa listy z prośbą, aby go nikt nie odwiedzał. Sądzę, że jeśli się kryje, to nie czyni tego bez ale.

— Bardzo możliwe — potwierdził Dr. Hoft — czy jednak nie wie pan, co on ukrywa?

— Trudno odgadnąć — odpowiedział rządca.

— Co jednak było powodem pierwszych podejrzeń?

— Pierwsze podejrzania powstały, gdy Folgefuchtel kazał zakratować okna w swoim gabinecie.

— Naprawdę?

— Jest to szczerą prawdą. Gabinet jego, duży pokój o trzech oknach wychodzących na ogród, leży w lewym skrzydle domu. Aby go nikt nie podglądał, okna zaopatrzył w okiennice i silną żelazną kratę. Okiennice są cały dzień pozamykane tak, że pokój wygląda z zewnątrz jak cela więzienna lub pokój obłąkanego.

— O tym słyszę po raz pierwszy. Czy dawno się to stało?

— Dawno, ale tego nikt nie mógł zauważyć, gdyż okna wychodzą na ogród, do którego nikt nie ma wstępu. A czy słyszał pan już o żółtej trumnie? — zapytał rządca.

— O żółtej trumnie?

— Żółtą trumną przywieziono przed trzema tygodniami — powiedział rządca.

— Czy od tego czasu ozwał się krzyk po raz pierwszy? — zapytał Krag.

— Tak jest, tej samej nocy, w której przywieziono trumnę, usłyszeliśmy krzyk po raz pierwszy.

— Dobrze, ale powróćmy jeszcze do trumny.

— Otóż trumnę przywieziono w nocy specjalnym pociągiem.

— Pociągiem w nocy? O tym także nie słyszałem.

— Tak jest. Przywieziono ją w nocy przed trzema tygodniami. Jak się później dowiedziałem na dworcu w Friedrichshald, pociąg przyszedł z Göteborg. Ponieważ nie było jeszcze śniegu, wyjechaliśmy o nią najsilniejszym wozem, zaprzężonym w parę koni. Folgefuchtel jechał za nami w lekkim powoziku. Pociąg składał się z lokomotywy i jednego wozu ciężarowego, wewnątrz którego stała żółta trumna nadzwyczajnej wielkości. Niczym zresztą nie różniła się od zwykłej trumny, miała zwykłe ozdoby i obicia i była najmniej cztery razy większą. Dziwiło nas tylko, dlaczego jest ona tak strasznie ciężka i ażeby ją przenieść z wagonu na wóz, musieliśmy wezwać pomocy. Podczas transportu Folgefuchtel był ogromnie zdenerwowany, biegał koło trumny, łajał i krzyczał.

— Ostrożnie — ostrożnie nieście, idioci. Jeżeli trumnę spuścicie, zastrzelę was.

Ostatecznie z ogromnym wysiłkiem udało się nam przenieść trumnę. Przy wnoszeniu trumny do gabinetu powtórzyła się scena z Foigefuchtem, tylko z dwójką energią. Podobnie jak na dworcu kolejowym, skakał do wszystkich, łajał i kłął. Zdaję mi się nawet, że słyszałem w trumnie jakieś

dziwne szmery. Niektórzy widzieli nawet wywiercone otwory. Tego ostatniego jednak faktu nie jestem bardzo pewny.

— Czy przypuszcza pan, że w trumnie była jakaś istota żyjąca?

— Kto wie — kto to wie. Po nim można się wszystkiego spodziewać. I proszę sobie pomyśleć, że od dnia, w którym przywieziono trumnę, dzieją się jakieś niezwykle rzeczy. Wpierw przemienia swój gabinet na niezdobytą twierdzę, a potem ten nieludzki krzyk.

— Czy nie wie pan skąd on pochodzi?

— To jest właśnie ciekawe, że nikt tego powiedzieć nie umie. Czasami odzywa się jakby z gabinetu, to znów gdzieś z nad dachu. Czasami mam wrażenie, że nad domem krąży jakiś niesamowity orzeł, co w walce o życie krzyczy przeraźliwie. Sądzę jednak, że przecież krzyk wydobywa się z gabinetu. Ciekawym jest również, że tylko wtedy słyszę krzyk, gdy Folgefuchtel bawi u siebie w gabinecie.

— To może być najzwyczajniejszy przypadek — zaznaczył Dr. Hoft. Przecież to jest najzupełniej zrozumiałe, że Folgefuchtel przesiaduje najczęściej u siebie w gabinecie.

— Nie zgodziłbym się z panem. Zwykle przebywał on w swoim gabinecie po parę godzin przed i popołudniu i opuszczał go około godziny ósmej wieczorem. Jednakowoż zdarzyło się dwa czy trzy razy, że siedział w gabinecie do godziny 12 w nocy i wówczas rozległ się ten straszny krzyk.

— Przyjmijmy zatem, że krzyk wydostaje się z gabinetu Folgefuchtla.

— Bezwarunkowo,

— Czy spotkał się pan z nim kiedy przypadkiem, jak wychodził ze swego gabinetu?

— Owszem. Onegdaj wiec ztem spotkałem go w drzwiach pokoju bezpośrednio po krzyku. Był bardzo zdenerwowany, trupio blady i jakby strasznie zmęczony. Wówczas zapytałem go, czy słyszał krzyk. Folgefuchtel odsunął mnie gwałtownie, aż zatoczyłem się i rzekł:

— Cicho bądź — ty barania głowo!

— Ale to wszystko byłoby drobnostką wobec tego, co się dzisiaj zdarzyło i co ostatecznie skłoniło mnie, że zwróciłem się do pana doktora.

— Czy znowu coś nowego?

— Dziś podsłuchałem całkiem przypadkowo rozmowę między panią Folgefuchtlową, a jej siostrą panią Linke. Muszę zaznaczyć, że do tego czasu pani Folgefuchtlową była zawsze żywa, wesoła, kręcąca się jak fryga po wszystkich pokojach. Od tygodnia jednak zaszła w niej ogromna zmiana. Przestała śpiewać zupełnie, nie biega już i jest ogromnie przygnębiona. Otóż słyszałem, jak pani Linke mówiła do siostry:

— Nie rozumie zupełnie, czym on sobie zasłużył na takie okrucieństwo.

Pani Folgefuchtel poruszyła bezradnie ramionami.

— Nic na to nie poradzę — rzekła. — Mój mąż jest nieubłagany. Ty go jeszcze nie znasz. On jest w stanie nawet go zabić.. nie mogę... nie mogę...

— Więcej nie słyszałem, gdyż w tej chwili rozległ się straszliwy krzyk.

### III

#### ZAPROSZENIE

— To byłyby wypadki, z którymi chciałem pana doktora zaznajomić i poprosić o radę.

Rządca powstał z krzesła.

— Czy sądzi pan, że uda się nam tą ciemną sprawę rozwikłać?

Dr. Hoft spojrział pytająco na Kraga.

— Jeżeli mam być szczerym — zaczął Krag, to rewelacje pana Stampe zaskoczyły mnie najokrutniej. Jeszcze przed chwilą, kiedy wchodziłem do tego pokoju, miałem rozwiązana łamigłówkę, nad którą się pa-nowie biedzicie. Pierwsza połowa zeznań pana Stampe utwierdziła mnie tylko w moim przekonaniu. Sprawa jednak wikła się, gdy wchodzi w grę niedopowiedziane jakieś tajemnicze słowa pani Folgefuchtlowej. W tej chwili stoję sam przed problemem, którego rozwiązać nie umiem.

Dr. Hoft spojrział zdumiony na przyjaciela.

— Jak to — więc tyś już rozwiązał problem tej zmory — tego krzyku?

— Prawie — odparł Krag — ale krzyk nie jest właściwie najważniejszą rzeczą.

— Cóż jest zatem według twego zdania?

— Gabinet Folgefuchtla wraz z okiennicami i okratowanymi oknami. Nie ulega żadnej wątpliwości, że Folgefuchtel kryje w nim jakąś niezwykłą tajemnicę.

— Chciałbym jednak wiedzieć, co sądzi pan o tym pokoju, panie Stampe?

Zmieszany Stampe miał swoją czapkę na wszystkie strony.

— Oczywiście — sprawa jest bardzo... bardzo zagadkową... ale panowie... mnie trudno... bardzo trudno.

— Jednak co pan myśli? — nalegał Krag.

— Doprawdy, że nie wiele więcej wiem. Chyba to jedno, że przecież spotykam się ze swoimi chlebodawcami i nie jedno słowo wpadnie w uszy, chociaż nie podsłuchuję. Zupełnie zrozumiałe.

— Otóż onegdaj słyszałem, jak młoda pani mówiła do swojej siostry: Mój mąż w swej zazdrości jest wprost przerażający. To też, gdy nad tym wszystkim zastanawiam się, to zdaje mi się, że w gabinecie mego chlebodawcy jest uwięziony jakiś człowiek.

— Człowiek?

— Na przykład kochanek pani Folgefuchtel Oczywiście, że są to tylko podejrzenia.

Krag roześmiał się ironicznie.

— Czy podejrzenia pana nie są trochę fantastyczne? Więc pan przypuszcza, że ten okropny krzyk, który słyszymy, jest krzykiem torturowanego kochanka?

— Tak jest... ja... myślałem... że....

— Nie, panie Stampe. Podejrzenia pańskie są za daleko posunięte. Przypuszczam raczej, że Folgefuchtel ukrywa w gabinecie jakiegoś obłąkanego krewnego — rzekł Dr. Hoft i spojrział pytająco na Kraga.

— I tę hipotezę wykluczam również — rzekł Krag — jest ona trochę nieprawdopodobną. W każdym jednak razie gabinet Folgefuchtla kryje jakąś fantastyczną i niezwykłą tajemnicę...

Nagle detektyw powstał z krzesła.

— A gdybyśmy tak odwiedzili Folgefuchtla?

Czerwona twarz rządcy przybrała nagle kolor szary.

— To nie możliwe — jękał rządcą przerażony. Folgefuchtel zabronił raz na zawsze...

— To nie przeszkadza mój przyjacielu. Zatem wejdziemy, jako nieproszeni goście.

— Ale tam są bardzo złe psy. Krag zwrócił się do przyjaciela.

— Musisz mój kochany dać panu Stampe jakiś środek nasenny, który on wmiesza psom do jedzenia.

— Do jedzenia? — Czy ma pan istotnie zamiar odwiedzić mego chlebodawcę tak późno?

— Bezwarunkowo. Przyjdziemy o godzinie jedenastej, a więc w chwili, gdy odzywa się krzyk.

— Na podwórze trudno wejść obcemu.

— Wejdę w bardzo prosty sposób — przez ogrodzenie. Zapewniam pana, że wspinani się jak kot.

— A jeśli Folgefuchtel odkryje pana?

— Trudno, musimy być na wszystko przygotowani.

Detektyw zwrócił się do przyjaciela.

— Czy nie mógłbyś przynieść w tej chwili środka, o który cię prosiłem, aby pan Stampe zabrał go ze sobą?

Dr. Hoft podał niewielkie pudełko.

— Jeśli pan dobrze wymiesza, psy będą spały 24 godziny.

Rządcą schował pudełko niechętnie. Zapowiedziana wyprawa nie podobała mu się zupełnie.

— Jeszcze o jedno poproszę pana — rzekł detektyw, zwracając się do rządcy. O naszej nocnej wyprawie nie wolno panu nikomu mówić. Nie śmie o niej wiedzieć nie tylko służba, ale nawet pańska żona.

Przestraszony Stampe zgodził się na wszystko. Złożył niezgrabny ukłon i już zdążył ku wyjściu, gdy nagle otworzyły się drzwi i w pokoju stanęła pani Anna.

Była ona tak zmieszana, że obaj zaniepokojeni panowie zapytali równocześnie:

— Co się stało?

— Ten człowiek... Folgefuchtel...

— Mów prędzej!

— On jest tutaj. Czeka w przedpokoju. Gdyby grom padł z jasnego nieba, Stampe nic byłby bardziej przerażony.

— Co ja zrobię? Co ja teraz zrobię? — rozpacział rządcą. Ten straszny człowiek śledził mnie widocznie i teraz przyszedł.

— Wątpię — odpowiedziała pani domu — gdyż wcale nie pytał się o pana. Pragnie tylko zobaczyć się z moim mężem.

Dr. Hoft aż podskoczył.

— Co, ze mną? — zapytał zdziwiony. Czegóż on chce ode mnie?

— Boże — jak ja stąd wyjdę? — rozpaczał Stampe, patrząc w okno. Nikt mu jednak nie odpowiedział. Dr. Hoft palił nerwowo papierosa a pani Anna wodziła bezradnie oczyma za detektywem.

Jedynie Krag nie stracił nic ze swojej zimnej krwi.

— Przede wszystkim proszę państwa, musimy zachować spokój. Czy Folgefuchtel czeka w przedpokoju?

— Tak jest.

— W takim razie pan Stampe wyjdzie z domu przez drzwi kuchenne. Pani doktorowa ułatwi mu to, a my tymczasem przyjmiemy pańskiego pracodawcę.

— Żeby on tylko mnie nie zobaczył! — lamentował Stampe.

Zdaje się, że Stampe wolałby się spotkać raczej oko w oko z samym Lucyferem, aniżeli ze swoim panem.

Pani Anna wyprowadziła rządcę z pokoju. Dr. Hoft podszedł ku drzwiom przedpokoju i już miał je otworzyć, gdy nagle zatrzymał się:

— Jak właściwie mam ciebie przedstawić?

— Pozostaw to już mnie. Głównie jednak on nie śmie domyślać się, że jestem detektywem.

— Naturalnie.

— Natomiast bardzo byłbym rad, gdyby się domyślił, że nie jestem tym, za kogo się przedstawię.

— Jak to zrobisz?

— Drobnostka. Przedstawię mu się jakimś niezwykłym nazwiskiem. To go na pewno zaskoczy.

Dr. Hoft otworzył drzwi.

Do pokoju wszedł niepozorny człowiek o rdzawo-rudym zaroście i złotych okularach na nosie. Ogromne oczy patrzyły nieufnie, a przez twarz przesuwaly mu się ustawicznie nerwowe skurcze. Ubranie jego nie grzeszyło czystością. Zadziwiająca jednak była nieodstępna, bardzo zniszczona narzutka.

— Widziałem go kiedyś — przesunęło się przez mózg Kragowi.

Folgefuchtel skinął głową i zapytał:

— Dr. Hoft — czy nie prawda?

— Tak jest — potwierdziła Hoft — czym mogę służyć?

— Pan mnie zapewne zna. Jestem Folgefuchtel, właściciel dóbr. — A ten pan? — zapytał przybyły, wskazując na detektywa.

Krag skłonił się uprzejmie i rzekł:

— Jestem Andrzej Gakelgukel.

Folgefuchtel cofnął się niemal ze zdziwienia. Dr. Hoft spojrział przez okno, aby ukryć śmiech. Jedynie detektywowi nie zadrgał ani jeden muskuł na twarzy. Zdziwienie Folgefuchtla minęło jak błyskawica.

— Bardzo mi miło poznać pana, panie Gakelgukel.

— Proszę, niech pan usiądzie — zapraszał Dr. Hoft. Czym mogę służyć? Może pomocą lekarską?

— Nie — zaprzeczył Folgefuchtel. — Powody mego przybycia są całkiem inne. Zapewne panu wiadomo, że dotychczas żyliśmy z żoną z rozmaitych powodów w zupełnym odosobnieniu. Jednakowoż teraz postanowiliśmy zmienić tryb naszego życia i oto przychodzę z bardzo uprzejmym zaproszeniem, aby oboje państwo, oraz pan Gakelgukel byli łaskawi zagościć do nas jutro, jako w dzień urodzin mojej żony.

— Że też pan sam fatygował się — rzekł Dr. Hoft, nie mogąc dłużej ukryć swego zdziwienia.

— Uważam to za swój święty obowiązek i przypuszczam, że państwo nie odmówią nam. Dotychczas obiecał nam wójt, że przyjdzie. Zarówno moja żona jak i ja będziemy bardzo zobowiązani, widząc tak miłych gości u siebie w domu.

— Jeśli się nie mylę — podkreślił Dr. Hoft — to państwo jeszcze przed niedawnym czasem usuwali się dość wyraźnie od wszelkich odwiedzin.

Folgefuchtel roześmiał się lekko. Śmiech jego był jednak jak zgrzyt noża po szkle.

— Właściwie ma pan rację — mówił Folgefuchtel — podkreślając moje niewłaściwe zachowanie się. Wybacz mi pan jednak, ale jestem człowiek szybko się unoszący i w dodatku czasami nawet nieobliczalny, gdy jestem zdenerwowany. Z tych właśnie powodów postąpiłem niewłaściwie i dlatego przyszedłem prosić osobiście. Proszę uważać moje przyjście jako towarzyską Kanossę.

— Mój przyjaciel źle by zrobił, gdyby chciał wyciągać konsekwencje z błędu, do którego się pan zresztą sam przyznaje — rzekł detektyw.

Słowa Kraga zdecydowały ostatecznie.

— Jeśli pan pozwoli, to ja i moja żona będziemy jutro u państwa.

Folgefuchtel podniósł się z krzesła.

— Bardzo ucieszymy się. A zatem jutro o godzinie trzeciej. Poza moją żoną i szwagrową spotkają się jeszcze państwo z urzędnikiem niemieckim, a moim przyjacielem.

— A... więc państwo mają gości?

— Jeszcze nie, panie doktorze. Mój przyjaciel przyjedzie dopiero jutro rano. Jest to niemiecki agent i nazywa się Dr. Peters.

Tymczasem, Asbjørn Krag zgłupiał. Wszak Dr. Peters, to był człowiek, o którym słyszał Asbjørn Krag w godzinie swego wyjazdu do Friedrichshald.

Jeszcze Krag nie pomyślał o rozwiązaniu zagadki, a już nici zbiegły się.

Lecz myśli Kraga nie mógł Folgefuchtel przejrzeć.

Folgefuchtel położył rękę na klamce od drzwi.

— Przepraszam, jeszcze chwileczkę — zatrzymał go Krag.

Folgefuchtel spojrzął na Kraga z ciekawością.

— Zainteresowała mnie pewna rzecz, którą może mi pan wyjaśni. Co to za jakiś straszny, upiorny krzyk, który rozlega się z pańskiego domu? Przyznaję, że dotychczas bardziej potwornego i przejmującego do szpiku kości krzyku nie słyszałem. Słyszałem go, kiedy jechaliśmy z dworca. Omal nie uniósł nas koń.

Właściciel dóbr roześmiał się.



— Moi panowie! Każdy z nas ma swoją maleńką tajemnicę, z którą nie chciałby się zdradzić.

— Naturalnie, — ale tym samym przyznaje pan, że niezwykle krzyk rozlega się z pańskiego domu.

Oczy właściciela dóbr zaświeciły złowrogo.

— Jeśli pan już koniecznie chce znać moją tajemnicę, to zdradzę ją panu w zaufaniu. To krzyczy mój kanarek, kiedy jest głodny.

— Kanarek, istotnie kanarek? Ależ to jest niesłychanie interesujące. Czy mogę się jednak jeszcze zapytać, jak duży jest ten kanarek?

— Bardzo chętnie odpowiem. Jest on tak duży, względnie tak mały, że utrzymam go na dłoni.

Folgefuchtel kpił wyraźnie, jednak Krag nie dał poznać po sobie, iż go to dotyka.

Asbjørn Krag zdawał sobie sprawę, że dalsze pytania ośmieszają go tylko. Nie mniej stawał je jednak z zadziwiającą wytrwałością.

— Czy ten mały kanareczek, co dnia ma taki apetyt?

— Nie, — ponieważ nie codziennie krzyczy.

— Wrzeszczy on zwykle około godziny jedenastej?

— Bardzo rozmaicie. Dziś na przykład upominał się o jedzenie o godzinie drugiej — odpowiedział Folgefuchtel i otworzył drzwi do przedpokoju.

— Przepraszam, że zabrałem panom tyle czasu, ale i ja się spieszę. Kanossa towarzyska jeszcze nieskończona. Zatem do widzenia jutro. Pani doktorowej proszę załączyć ode mnie ukłony.

Niezwykły człowiek wyszedł i w chwilę później brnął przez śnieg ulicy.

Dr. Hoft spojrzął na detektywa i roześmiał się serdecznie.

— Andrzej Gakelgukel. Co za śmieszne nazwisko. Cieszę się tylko, że prędzej zbliżymy się do tajemniczego ustronia, aniżeli pierwotnie sądziliśmy. W każdym razie dzisiejszą wycieczkę uważam za bezcelową.

— Przeciwnie — odpowiedział Krag — dzisiejsza wycieczka stała się niemal koniecznością.

## IV

### DEPESZA

Niespodziewana wizyta tajemniczego właściciela dóbr odurzyła Dr. Hofta. Był on w nie lada kłopotcie, jak się ma właściwie zachować. Ze względu na poprzednie zachowanie się Folgefuchtla, Dr. Hoft byłby zaproszeniu najchętniej odmówił. Przyjął je jednak na wyraźne niemal polecenie Kraga. Nie mniej jednak po wyjściu Folgefuchtla, żałował swego przyrzeczenia.

— Tego rudego, nieokrzesanego gburą powinno się trzymać zawsze w rezerwie. Nie wiem co skłoniło innych do przyjęcia tego zaproszenia — skarżył się Dr. Hoft.

— To da się łatwo wytłumaczyć — odparł, śmiejąc się Krag. — Kto jest twoim najbliższym sąsiadem?

— Wójt.

— A więc Folgefuchtel poszedł do niego i powiedział, że ty obiecałeś być na przyjęciu, wobec czego i on nie odmówił. W ten sposób obszedł on wszystkich swoich sąsiadów.

— Zdziwiająca zmiana trybu życia — mruzczał Dr. Hoft. Ciekaw jestem, jaka przyczyna skłoniła go do nawiązania stosunków.

— Słyszałeś przecie, że Folgefuchtel oczekuje gościa.

— Tak. Nazywa się dr. Peters.

— Nazwisko to nie jest mi całkiem obce. — Spotkałem się już z nim.

— Gdzie i kiedy — zainteresował się Dr. Hoft.

— W Christianii, w chwili mego wyjazdu. Wiem, że Dr. Peters zwracał się w Christianii do naczelnika oddziału detektywów.

— Do diabła i teraz on jest gościem tego rudobrodego — rzucił się Dr. Hoft.

— I to gościem, którego Folgefuchtel chce uhonorować — rzekł detektyw. Zaprasza więc swoich sąsiadów, ludzi przyzwoitych i statecznych, aby wyrzucić na swoim gościu jak najkorzystniejsze wrażenie. To są wedle mnie powody, dla których Folgefuchtel zmienia swój tryb życia.

— Czyli innymi słowy, że my jak idioci, barany, pomożemy mu tylko do odegrania sprytnej komedii. Sytuacja wcale niezachęcająca.

— Jednak jest konieczną, o ile chcemy dojść do prawdy.

— Masz słuszość — zgodził się Dr. Hoft. — Ale oto i moja żona, która prosi na obiad. Co prawda, nie jest to zbyt wcześnie.

— Tym lepiej będzie nam obiad smakował — odpowiedział Krag.

Padał zmierzch i pani Anna podała obiad przy świetle. Przez cały przeciąg obiadu mówiono prawie wyłącznie o niezwykłej wizycie.

— Czy zauważył pan — mówiła pani Anna, — że wygląd Folgefuchtla ma w sobie coś demonicznego. Typowy wygląd człowieka, który ma już szereg zbrodni na sumieniu.

— Zgadza się z tym w zupełności, a nadto dodaję, że krzyk ma w sobie coś z głosu ludzkiego — rzekł Dr. Hoft.

— Trudno jednak ten krzyk określić — odparł Krag. Ma on w sobie zarówno wiele z głosu ludzkiego, jak i nieludzkiego. Zresztą to jest rzecz najzupełniej obojętna. Uważani, że rozwiązanie tej zagadki nie doprowadzi nas jeszcze do celu.

— Dlaczego nie?

— To leży w naturze rzeczy. Tajemnic swoich krzykiem się nie obwieszcza.

W tej chwili Dr. Hoft parsknął śmiechem tak serdecznie, że omal nie wpadła mu kruszyna pieczeni do tchawicy.

— Z czego się śmiejesz? — zapytała go żona.

— Z nazwiska — odpowiedział krztuszając się doktor.

— Jakiego nazwiska? — zdziwiła się pani Anna.

— Od dziś — objaśniał Krag — nazywam się Andrzej Gakelgukel. Tym nazwiskiem bowiem przedstawiłem się naszemu gościowi. Zrobiłem zresztą tak jak on. Ten człowiek nie nazywa się Folgefuchtel. On nazywa się inaczej i dopiero po przybyciu w tę okolicę, przybrał fałszywe nazwisko. — Bóg wie, dla jakich celów. Ale, że ma on jakieś zamiary, to pewne. Nie troszczył się on jednak, co o tym powiedzą inni i czy mu uwierzą.

Ponieważ chciałem go trochę zaniepokoić, a równocześnie dać do zrozumienia, że czuwam nad jego działalnością, rzekłem mu wprost: Bardzo się cieszę, że poznałem pana, panie Folgefuchtel. Nazywam się Andrzej Gakelgukel. Jeśli jest mądry, domyśli się.

— Zdziwienia jednak wyraźnego nie można było poznać po nim — zauważył dr. Hoft.

— Było ono, jednak bardzo nieznaczące. W każdym razie ten człowiek ma zimną krew. Ale przepraszam cię. Muszę zaraz wysłać depeszę. Czy nie masz człowieka, któryby poszedł do miasta?

— Depeszę nadać możesz telefonicznie — odpowiedział Dr. Hoft. Telefon znajduje się w moim gabinecie.

Po obiedzie nadał Asbjørn Krag następującą depeszę:

„Naczelnik biura detektywów. Christiania.

Kim jest Dr. Peters? Dlaczego tu się zatrzymuje? Odpowiedź telegraficznie. Krag.”

— Odpowiedź powinna nadejść w paru godzinach — objaśniał Krag — a o godzinie wpół do dziesiątej udamy się do włości rudobrodego.

— Czy ciągle jesteś tego zdania, żeby od dziś obserwować domostwo Folgefuchtla?

— Bezwarunkowo.

— Czy nie dość czasu rozpocząć od jutra?

— Nie — ja muszę coś mieć, aby zająć moje myśli. Muszę mieć jakieś dane, aby pracował mój mózg. Niestety — ani to, coś ty mi opowiadał, ani to, o czym mówił rządca, nie zadowolają mnie w zupełności. Najważniejsze dla mnie spostrzeżenia zrobiłem sam, podczas wizyty Fogelfuchtla.

— Co ty mówisz? — nic szczególniejszego nie zauważyłem.

— A jednak, mój kochany doktorze, ja tego zadziwiającego człowieka poznałem.

— Czy sądzisz, że istotnie jest on zadziwiający?

— Tak jest — odpowiedział Asbjørn Krag. — W tej chwili pomyślałem o tym, gdy tylko Folgefuchtel usiadł i otoczył się obłokiem dymu papierosowego.

— I tyś poznał charakter człowieka w tak krótkim czasie? — zdziwił się Dr. Hoft — ależ to bardzo ciekawe.

— Przynajmniej zauważyłem, że jest to człowiek ogromnie opanowany. Mistrzostwo, z jakim ukrył zdziwienie z powodu mego śmiesznego nazwiska, utwierdza mnie w tym przekonaniu. Dalej jest to

człowiek bardzo odważny, co wskazuje całe jego zachowanie się i sposób wyrażania, a w końcu jest on na wszystko przygotowany.

— A jeśli ten człowiek odkryje, że chcesz wcisnąć się w jego tajemnicę? Cała ta znajomość może dla ciebie być bardzo niemiłą. Bardzo być może nawet groźną.

— Oto jest to właśnie — zawołał zadowolony Krag, — na co się tak bardzo cieszę. Takie małe starcie z twoim tajemniczym sąsiadem.

Wreszcie około godziny dziesiątej przysłała odpowiedź z Christianii, której treść wprowadziła Kraga w zdumienie:

„Dr. Peters jest agentem rządu niemieckiego z Berlina. Wie on o pańskim pobycie w Friedrichshald i zwróci się do pana, gdy tego będzie potrzebował. Obserwować ostrożnie Folgefuchtlą. Dalszych informacji nie udziela się. Naczelnik.”

— Dalszych informacji nie udziela się — mruzczał Asbjørn Krag w zadumie. To mi się zdarza po raz pierwszy. Muszą tu grać rolę nadzwyczajnie ważne powody. Niemiecki agent... hm... hm... Potrzeba pomyśleć o tajemnicach państwowych. Hm... Czy to jednak możliwe, aby w tym zakątku kryła się jakaś tajemnica o międzynarodowym znaczeniu? No — zobaczymy, zobaczymy. — Najciekawszym jest jednak to — myślał detektyw, chodząc po pokoju, że mnie naczelnik przed tajemniczym właścicielem przestrzega. Na razie przyjąć muszę, że niemiecki agent Dr. Peters przyjeżdża dla bardzo ważnych powodów i że prawdopodobnie porozumiał się z naczelnikiem i że cała ich rozmowa kręciła się około osoby Folgefuchtlą.

Ze wzrastającym zaciekawieniem przysłuchiwał się Dr. Hoft wywodom detektywa i w końcu zapytał:

— Czy treść depechy zbliżyła nas bodaj o krok do wydobycia tajemnicy?

— Nie — odpowiedział Krag — przeciwnie. Cała sprawa stała się teraz bardzo tajemniczą. Przyznasz, że zaszło wiele niespodzianek. Po pierwsze, zwrócenie się agenta niemieckiego do naczelnika biura detektywów, po drugie bezsensowne zaproszenie Folgefuchtlą, a więc człowieka, który dotychczas wszystkich unikał, następnie powtórzenie rozmowy przez rządcę między panią Folgefuchtel a jej siostrą i w końcu upiorny krzyk, doktorze — upiorny krzyk. Wszystkie te rzeczy — te bijące się sprzeczności przewyższają niemal moje siły, a w dodatku brakuje też bodaj jednej nitki przewodniej, któraby mnie wyprowadziła z tego labiryntu.

Dr. Hoft patrzył na przyjaciela bezradnie, a w dodatku nocna wyprawa nie podobała mu się wcale.

— Przyznam ci się — mówił detektyw, że byłoby mi najmilej, gdybyś pokazał mi tylko drogę, do siedziby Folgefuchtlą, a sam powrócił do domu.

Żądaniu temu jednak doktor odmówił. Wyprawa jest postanowioną i obaj wezmą w niej udział.

— Dotrze, dobrze — mówił Krag, kładąc na stoliku małą kasetkę. Suchy trzask i wieczko kasetki odskoczyło. Na dnie kasetki spoczywały

dwa rewolwery pięknie złożone, pistolety do pojedynku o długiej lufie, oraz dwa sztylety o pięknie rzeźbionych rączkach. Dr. Hoft przyglądał się broni z ciekawością. Na każdej sztuce był wygrawerowany monogram detektywa i data 25. 6. 1904.

— Nigdy bym nie przypuszczał, że masz taką precyzyjną broń. Wierzę, że zwykły rewolwer bardziej by ci odpowiadał.

— Tę kasetkę — mówił Krag — otrzymałem od pewnego Rosjanina za wykrycie pewnej rzeczy. Początkowo uważałem broń tę za luksus nie do użycia. Lecz wkrótce wykrył przypadek, że jest to jedna z najbardziej precyzyjnych broni. Szczególnie znakomite są rewolwery.

Niemal miłośnie wziął Krag broń do ręki.

— I od tego czasu — kończył detektyw — nie rozłączam się z nią więcej i to tym więcej, że nie wiele zabiera miejsca.

Krag podał doktorowi rewolwer.

— Nie, dziękuję — odpowiedział Dr. Hoft i przerzuciwszy szufladę biurka, wyjął zwyczajny rewolwer.

Obaj mężczyźni schowali broń do kieszeni. Im bardziej zbliżała się godzina nocnej wyprawy, doktor Hoft poważniał. Natomiast detektywowi błyszczały oczy i śmiał się rad, jak gdyby szedł na długo oczekiwaną zabawę.

Obaj panowie włożyli okrycia, a doktor był tak przejęty, że pożegnał się ze swoją żoną.

O godzinie kwadrans na jedenastą znaleźli się obaj na drodze, wiodącej do posiadłości Folgefuchta.

W pewnej chwili detektyw zatrzymał się nagle.

— Nie — rzekł detektyw — w ten sposób dalej pójść nie możemy. Księżyc nas tak oświeca, że widać jak w biały dzień. Czy nie ma innej drogi, któraby przez park prowadziła?

— Jest — odpowiedział Dr. Hoft — ale musielibyśmy przeleźć przez mur.

— Przeleziemy.

Wkrótce obaj mężczyźni przedostali się przez niski stosunkowo mur i wnurzyli się w zarośla parku.

Ogromny dom znaczył się przed nimi ciemną plamą. Między parkiem a domem była otwarta przestrzeń, którą trudno było przejść bez zobaczenia. Na podwórzu było cicho, nawet pies nie zaszczekał.

— Rządca nie zawiódł zaufania — szepnął cicho Krag — to on psy uciszył.

Większa część okien w ogromnym budynku była nieoświetloną, tylko tu i ówdzie światło wskazywało, że nie wszyscy jeszcze usnęli.

Dr. Hoft ujął detektywa za ramię.

— Co jest? — zapytał Krag.

— Jeżeli pójdziemy na lewo między drzewami, dostaniemy się na lewe skrzydło budynku, tuż pod jego okno.

— Dobrze — odpowiedział Krag — idźmy tamtędy, między drzewami prędzej się ukryjemy.

## V

### W KSIĘŻYCOWĄ NOC

Droga wiodąca przez park była jednak dłuższą, aniżeli Dr. Hoft przypuszczał.

Musieli oni przejść przez całą szerokość parku. Park był gęsty, nieco zaniedbany. Szli tedy wolno, prawie bezszelestnie w ciągłej obawie, aby potrącona gałąź nie zdradziła ich obecności. Droga była uciążliwa i detektyw zaproponował, aby zamiast przedzierania się przez krzewy, powrócić do muru i murem zbliżyć się jak najbliżej.

Po chwili szedł murem Asbjørn Krag, a w ślad za nim postępował Dr. Hoft.

Była to jedna z tych zimowych nocy, oświetlonych pełnią księżyca i miliardami gwiazd lśniących na ciemnym nieboskłonie. Z gęstych zarośli parku pełznął nastrój i brał w swe posiadanie stary dwór, park, drzewa, zwierzęta i ludzi. Na Dr. Hofta padła jakaś dziwna zaduma i ociężałość. Nawet Asbjørn Krag uległ nastrojowi i przesuwiał się cicho, zwracając baczną uwagę na najmniejszy szelest. Od czasu tylko do czasu stawał, wnrzuł wzrokiem w ciemne zarośla parku, nad słuchiwał i wreszcie szedł dalej. Legła taka cisza, że słyszeć mogli bicie własnych serc.

Tak doszli do miejsca, gdzie zaczynała się ścieżyna. Właśnie Krag miał zamiar zejść na nią, gdy nagle zatrzymał się i położył palec na ustach.

Dr. Hoft zrozumiał Kraga w tej chwili i stanął bez ruchu.

Cisza.

Krag przyglądał się długo w około, wreszcie dał znak, by Hoft poszedł za nim i obaj zsunęli się na ścieżynkę.

Zaledwie jednak uszli parę kroków, detektyw szarpnął przyjaciela. Prawie równocześnie wpadli w gąszcz parkowy, mając jednak przed sobą otwartą przestrzeń.

— Słyszałem czyjeś kroki — szepnął Asbjørn Krag.

— Gdzie? — zapytał Dr. Hoft, drżąc cały.

— Tam na ścieżynie.

— To niemożliwe. O tym czasie...

— Ciiiicho! — słyszę znowu czyjeś kroki. Zbliżają się.

Obaj mężczyźni nad słuchiwali, jednak żaden podejrzany nie doleciał ich szelest.

— Musiałeś się pomylić — szeptał Dr. Hoft — byłem pewien, że o tym czasie... to niemożliwe...

Krag uchwycił go za ramię.

Obaj słyszeli teraz wyraźnie skrzyp śniegu pod którymiś stopami, oraz coraz wyraźniejsze kroki po ścieżynie.

Asbjørn Krag i Dr. Hoft spojrzeli na dróżkę. Przed nimi była przestrzeń, przez którą musiałaby przejść osoba idąca ścieżką. Ale kroki uciszyły się i znów zapanowała cisza.

— Szczególne — szepnął Dr. Hoft — tego nie rozumiem wcale.

— Całkiem jasne — odpowiedział detektyw. — Ktoś skrada się bardzo ostrożnie, podobnie jak i my. Widać nie chce, żeby go ktoś zobaczył lub słyszał. Staje, przeto co chwilę i nadśluchuje.

Z gęstwiny wysunął się jakiś cień.

— Otóż i on — szepnął Dr. Hoft — spojrzuj, jak idzie ostrożnie.

— Ależ to jest jakaś kobieta!

Doktor przyglądał się ciekawie i nagle syknął.

— Znasz ją? — zapytał Krag.

— Czeka — odpowiedział Hoft — w tej chwili zasłoniła się płaszczem, czy też kołnierzem — przecież sądzę... niech zwróci głowę w naszym kierunku, a gdy oświeci ją księżyc...

W tej chwili spojrzała kobieta w ich stronę i obaj mężczyźni mogli się jej przypatrzeć.

Miała ona najwyżej lat 30 i była bardzo piękna.

— Ona, ona, na pewno — rzekł Dr. Hoft tak głośno, że Krag chwycił go za ramię.

— Kto taki?

— Szwagrowa. Szwagrowa Folgefuchtlä.

— Gdzież u diaska mogła ona chodzić?

— Nie wiem — może odwiedzała kogo w sąsiedztwie.

— Czy ma ona znajomych w okolicy?

— Prawdopodobnie tak. Spójrz tylko, jak ona ostrożnie idzie.

Kobieta posuwała się ostrożnie naprzód. Spoglądała niespokojnie na wszystkie strony, jakby ją kto śledził.

— Ona się skrada — szeptał Krag.

— I mnie się zdaje. Inaczej nie szłaby tą ścieżyną. Główna droga prowadzi obok.

Kobieta doszła do kępy drzew i teraz posuwała się szybko. Czasami tylko przystawała i oglądała się bacznie.

Mężczyźni patrzyli na jej ruchy z przyjemnością. Miała w sobie coś wężowatego.

Detektyw i Dr. Hoft postępowali za nią nieznacznie.

Kobieta zdążyła wprost w kierunku budynku.

— Zdąży ku głównej bramie — zauważył Krag. Tym razem pomylił się jednak detektyw. Kobieta minęła główną bramę i zdążyła wzdłuż budynku, do przeciwległego skrzydła budynku. Dzięki położeniu terenu około tej części domu, okna pierwszego piętra leżały zaledwie o metr nad ziemią. Kobieta wspięła się na wzniesienie, minęła szereg okien i zatrzymała się dopiero przed siódmym oknem z rzędu.

— Schyliła się — rzekł Dr. Hoft — widocznie szuka czegoś,

Ašbjørn Krag skinął twierdząco głową. Wreszcie podniosła się, trzymając w ręku coś bardzo ciężkiego.

— Czy widzisz może, co ona trzyma w ręku? — zapytał doktor.

— Ach teraz widzę — krata od okna.

— Tak jest — powiedział detektyw — widzisz... teraz ustawiła ją pod ścianą... chce wejść przez okno... ach, to przecież interesujące.

Kobieta wstąpiła na kratę. Krag nie mógł się powstrzymać od zachwyty, podziwiając jej nadzwyczajną zgrabność.

— Zupełnie jak artystka cyrkowa — zachwycił się Krag — ale patrz... już wspięła się do wysokości okna, otwiera je... ach... więc okno nie było zasunięte.

— Prawdopodobnie jest to jej pokój.

— Zdaje się — odpowiedział Dr. Hoft. No, teraz jest ona już na górze. Jakby w odpowiedzi uderzyła krata o zamarznąłą ziemię.

— Usunęła ją — zauważył Krag — słyszysz, jak cicho zamyka okno. Przysięgłbym, że mała już leży w swoim łóżku.

Obaj panowie stali chwilę w milczeniu, sądząc, że wywołany hałas upadkiem kraty, zbudzi kogoś z domowników.

Cisza zapanowała powtórnie. Nikt się nie poruszył. Nawet odległe ujadanie psów nagle ustało.

— Zatem jesteśmy — rzekł Dr. Hoft. Nocna wyprawa tej pani zaprowadziła nas pod okna gabinetu.

Krag był tak zajęty tym, co się wzdłuż domu działo, że dopiero teraz spostrzegł zakratowane okna. Widać je można było całkiem dokładnie. Nie tylko znajdowały się one na drugim piętrze, nie tylko miały okiennice, ale nado zaopatrzone je na zewnątrz potężnymi sztabami żelaznymi.

Asbjørn Krag przyglądał się chwilę oknom.

— A zatem — tu leży ten gabinet.

— Nie wiem — powtórzę ci tylko słowa rządcy. Tak chronione okno może mieć tylko cela więzienna.

— Więc z tego pokoju wydobywa się krzyk?

— Tak sądzą wszyscy. Słyszałeś zresztą sam, co mówił rządcą.

Asbjørn Krag chciał odpowiedzieć, ale słowa zamarły mu na ustach.

Obaj mężczyźni usłyszeli ciche warczenie rozlegające się równocześnie jakby z powietrza, parku i domu.

Dr. Hoft chwycił nerwowo Kraga za ramię.

— Słyszysz?... krzyki

— Więc on się w ten sposób rozpoczyna — rzucił Krag, na pozór obojętnie,

W rzeczywistości jednak detektyw z najwyższym zainteresowaniem badał wibracje głosu.

Ciche warczenie wzmagало się coraz bardziej i przeszło w jakieś zwierzęce wycie.

Asbjørn Krag przypomniał sobie bezwiednie wycie dzikich zwierząt w menażerii, które go zawsze wyprowadzało z równowagi.

Lecz krzyk wzmógł się jeszcze i przybrał tak inny charakter, a równocześnie jak gdyby gmach cały wstrząsnął się w swoich posadach.

Asbjørn Kragowi zdawało się, że krzyk wydobywa się z gabinetu, nie miał jednak tej pewności.

Były to straszne sekundy. A grozy dodawała noc księżycowa strojna w miliony światła, ogromny budynek i upiorny krzyk, mieszczący w sobie jakiś nadludzki ból — jęk, który się czołgał ze wszystkich kątów i wdierał w komórki mózgu... Wreszcie krzyk przeszedł w stłumiony jęk ginącego orła, charczenie umierającego człowieka.

Dr. Hoftowi krew spłynęła do serca.



Asbjørn Krag wyjął rewolwer i przesuwał się wzdłuż muru drogą, którą przed chwilą szła kobieta.

Dr. Hoft pozostał sam. Najchętniej uciekłby stąd, jednak ostatnim wysiłkiem woli opanował się i czekał na detektywa. Asbjørn Krag wrócił wkrótce, niosąc w ręku ogromną kratę.

— Co niesiesz? — zapytał doktor.

— Chcę wiedzieć, co się dzieje za oknami — odpowiedział Krag. Wierzę niezbitnie, że upiorny krzyk lęgnie się w pokoju. Kratę ustawiono przy murze, Hoft ją przytrzymał, a detektyw wspinał się po niej coraz wyżej. Wreszcie znalazł się pod samym oknem, wybrał wygodną pozycję, usiadł jak na koniu i patrzył.

W okiennicy była niewielka szpara, przez którą wydostawało się światło.

— A więc ludzie muszą tu być — pomyślał Krag.

Upłynęło pięć minut, gdy Krag usłyszał nagle stąpanie. Były to kroki człowieka przebiegającego pokój tam i z powrotem. Czasami zatrzymywały się na chwilę i znów zaczynały wędrówkę.

— To są kroki mężczyzny myślał detektyw — kobieta nie stąpa nigdy tak ciężko. Musi on być silnie podrażniony, gdyż kroki stają się coraz szybsze. Nagle zdawało mu się, że usłyszał silnie podniesiony głos.

— Ach, gdyby tak można ucho przyłożyć do okiennicy — myślał detektyw — i począł równocześnie zmieniać swą pozycję.

Szmer za oknem zwrócił uwagę człowieka chodzącego po pokoju.

Kroki zatrzymały się... ale nie... idą... tylko zbliżają się do okna.

Detektyw usłyszał głos z pokoju.

— Kto tam?

Był to głos Folgefuchtl

Krag zawisł nieruchomo na żelaznym szczeblu, jak śpiący ptak na gałęzi.

— Kto tam? — ozwało się pytanie powtórnie. Znowu milczenie.

I byłby może Folgefuchtel uspokoił się zupełnie, gdyby nie Dr. Hoft, który sądząc, że detektyw wykryty, krzyknął:

— Zeskocz! zeskocz!

Człowiek w gabinecie usłyszał głosy.

— Stój! — krzyczał on — złodzieje! złodzieje!

Detektyw skoczył na ziemię.

— Przez park — krzyknął Krag — ale pamiętaj na księżyc — on nie śmie nas widzieć.

Obaj mężczyźni pobiegli w stronę drzew i wkrótce znikli w gęstwinie parkowej.

Tymczasem właściciel wyszedł na podwórze.

Obaj zbiegowie słyszeli, jak Folgefuchtel krzyczał na podwórzu, wołał psy, wyciągał ludzi z łóżek, rzucał się jak oszalały i wreszcie wystrzelił w powietrze parę razy. Detektyw widział dokładnie jak otwierano i zamykano drzwi, widział przesuających się ludzi i światła.

A nad wszystkim górował głos Folgefuchtl.

Krag i Dr. Hoft wydostali się z parku i omijając światłem księżycowym zalane wolne przestrzenie, wielkim łukiem wracali do domu.

Zaledwie jednak weszli na ulicę, detektyw ujął przyjaciela pod rękę.

— Czy wiesz mój kochany — rzekł Krag — ale ta noc jest istotnie pełna niespodzianek. Patrz— oto on.

— Kto? — zapytał Dr. Hoft przerażony. Lecz nie długo czekał na odpowiedź. Z cieni drzew wynurzyła się postać i szła ku nim. Był to Folgefuchtel.

Z uprzejmością człowieka dobrze wychowanego ujął kapelusz i ukłonił się.

— Tak późno, a panowie jeszcze na spacerze?

Głos jego był spokojny i uprzejmy.

## VI

### GROŻBY

Przez ciało detektywa przebiegły jakieś nerwowe drżenia. Myśli zalewały mu mózg. Jak to się stało, że Folgefuchtel znalazł się niespodzianie na ulicy? Którędy on tutaj przyszedł? Wszak przecież przed niewielu minutami widział go detektyw, jak wzburzony biegał przed domem. A teraz stoi przed nim — jak gdyby wyrósł z pod ziemi — spokojny i zrównoważony, nie zdziwiony wcale tern spotkaniem.

Asbjørn Krag spojrział i zdawało mu się, że na twarzy Folgefuchtla widnieje jakiś ironiczny grymas, który miał oznaczać uśmiech.

— Dobry wieczór, moi panowie. — Tak późno, a jeszcze na spacerze?

— Tak jest — odpowiedział Krag najnaturalniejszym głosem w świecie. Wybraliśmy się na spacer do lasu. Dziś mamy przepiękną pogodę. Pan również z niej skorzystał — czy nie prawda?

Krag mówił celowo. Przypuszczał on mianowicie, że Folgefuchtel widział ich wychodzących z lasu. Bezpieczniej zatem było w ten sposób odpowiedzieć. Równocześnie jednak czuł podświadomie, że temat rozmowy należy jak najrychlej zmienić, zaczął więc mówić o spacerze Folgefuchtla.

— Nie byłem nigdzie daleko — objaśnił Folgefuchtel. — Idę wprost z domu, wybierając jak najkrótszą drogę. Zdaje mi się, że panowie o tym w tej chwili myśleli.

— Nie zastanawialiśmy się nad tym.

Folgefuchtel poruszył się niecierpliwie.

— Przed chwilą widzieliście mnie panowie przed moim domem.

— Na czym pan to spostrzeżenie opiera?

— Wychodząc z pańskiego stanowiska, nie dziwię się temu, że pan przeczy. Mam jednak to zadowolenie, że o wszystkim wiem.

— Nie rozumie, o czym pan myśli?

— Chciałbym pana tylko przestrzec — ciągnął Folgefuchtel spokojnie. - Pan mnie szpieguje albo usiłuje szpiegować.

— Dotychczas nie pomyślałem o tym — odpowiedział Krag, silnie akcentując swoje słowa.

— Naprawdę? — zapytał Folgefuchtel ironicznie.

— Przypuszczam jednak, że skoro pan mnie podejrzewa, musi mieć ku temu powody, a następnie i obawę.

— Głupstwo. Każdy człowiek ma swoją tajemnicę.

— Postaraj się pan, aby tajemnica pańska nie była tak hałaśliwą.

Krag przypuszczał, że Folgefuchtel skieruje teraz rozmowę na upiorny krzyk. Niestety — stał on prawie nieporuszony, mówiąc jak gdyby do siebie:

— Tego nie można uniknąć,

— Czy myśli pan o krzyku czy też o czym innym?

— Dokąd panowie zdążają — zapytał się Folgefuchtel nagle.

— Jest już dosyć późno — odpowiedział Krag — spoglądając na niebo. Pójdziemy już do domu.

— Jeśli panowie pozwolicie, odprowadzę was do willi. Lubię bardzo takie nocne spacerowanie.

— Prosimy bardzo — zapraszał Dr. Hoft.

Poszli. Folgefuchtel szedł między dwoma słusznymi, dobrze zbudowanymi przyjaciółmi i między nimi wyglądał jeszcze mniejszym i szczuplejszym, aniżeli był w istocie.

— Przestrzegam panów — mówił rudobrody właściciel — i zwracam się z prośbą, abyście nie mieszały się do moich spraw, gdyż w przeciwnym razie, mogłoby się to skończyć bardzo niebezpiecznie. Sądzę, że dałem dość duże dowody życzliwości, ostrzegając panów, teraz pójdę jeszcze dalej, gdy te ostrzeżenia powtórzę.

Folgefuchtel spojrział na Kraga.

— Tak daleko nie posunąłem się jeszcze nigdy.

Asbjørn Krag przystanął. Pewność siebie tego człowieka zaimponowała mu.

— Chciałbym panu zwrócić małą uwagę — rzekł detektyw. — Proszę się w przyszłości nie trudzić i nie poświęcać mi zbyt wiele cennych rad. W każdym wypadku, jest to najzupełniej zbędnym, bo jeśli jestem szpiegiem naprawdę, to pańskie ostrzeżenie nie pomoże, a jeśli mam osobisty interes kontrolować pańską działalność, ostrzeżenie mnie nie przestraszy.

— Jaki może pan mieć istotny interes?

— Pfi... Nie zastanawiałem się dotychczas nad tym. A gdyby tak interes ogólny? Przyzna pan, że przez cały przeciąg pańskiego tu pobytu nie wzbudzał zbyt wielkiego zaufania.

— Co to znaczy? — Czy zawadzałem komu?

— Kwestia zapatrywania.

— Hm... Więc sądzi pan, że krzyk jest tego powodem?

— Czy może się on komu podobać? — odpowiedział Asbjørn Krag.

— Jak już wspominałem — rzekł Folgefuchtel gniewnie — tego nie da się uniknąć. I właśnie z tego powodu wyprowadziłem się daleko od świata i ludzi, byleby tylko mieć spokój.

— Krzyk ten nie tylko nie budzi zaufania, ale wprost trwogę.

Folgefuchtel stanął i patrzył w dal przed siebie w zamyśleniu.

— Czy aż tak?

— Krzyk ten przypomina jęk maltretowanego człowieka — rzekł Asbjørn Krag.

— Może...

— Czy nie mógłby mi pan powiedzieć w jaki sposób on powstaje? — Uspokoiłoby to znacznie opinię.

— W tym tkwi moja tajemnica.

— Przypuszczałem.

— I tego nie dowie się pan nigdy.

— Bardzo możliwe odpowiedział detektyw — a zatem nie powie pan?

— Niczego więcej nie wyjaśnię.

Panowie doszli do willi doktora. Dr. Hoft otworzył furtkę.

— Ha, trudno — w takim razie muszą kontrolować pańską działalność.

— Pan żartuje.

Folgefuchtel zaśmiał się znów swoim niesamowitym śmiechem.

— Czy wie pan na co się naraża?

— Niewiele mnie to obchodzi.

— Chcę panu tylko powiedzieć — ciągnął spokojnie właściciel dóbr. — Przyjmijmy, że to pan był przed chwilą pod moim oknem, pragnąc dowiedzieć się, czym się zajmuję w gabinecie.

— Powiedzmy, że pański osąd jest słuszny.

— Czy byłby się pan włamał?

— Najprawdopodobniej.

— Wiedz pan, zatem, że gdyby się było panu udało wśliznąć do mego gabinetu — więcej by go pan nie opuścił.

— Byłby mnie pan zastrzelił? — zapytał obojętnie detektyw.

— Na podobne pytania nie odpowiadam.

— Czy wie pan, — rzucił Krag — że gdyby te pogroźki powtórzył pan przed jakimś urzędnikiem policyjnym, to już byłby powód do aresztowania pana?

— Nie obawiam się policji. Nie może mi ona niczego zarzucić.

— Sądzi pan!?

— I nie obawiam się, gdyż jestem silniejszy od policji.

— Bardzo ciekawe powiedzenie.

— Pan mnie zrozumie, gdy powiem, że od początku widziałem w panu urzędnika policyjnego. Powinien był pan wybrać mniej śmieszne nazwisko, aniżeli Gakelgukel, czy też coś podobnego.

Podrażnienie Folgefuchtla stawało się coraz bardziej widoczniejsze.

— Nie brzmi ono śmieszniej, aniżeli pańskie — rzucił cynicznie detektyw.

— Dlatego wybrałem to nazwisko, aby ludzie domyślali się, że nie jestem tym, za kogo się podałem. Rola pańska w tej chwili jest skończoną. Sądzę, że sprowadzili tutaj pana moi sąsiedzi, lecz teraz nie ma pan więcej nic do roboty. Zatem odjeżdżaj pan,

— Nie wyjadę dla różnych zresztą powodów, a między innymi i dlatego, że zaprosił mnie pan do siebie, gdzie będę miał możliwość poznać pana bliżej. Jest pan człowiekiem bardzo interesującym.

Spokój detektywa podrażnił Folgefuchtla.

— Zatem strzeż się pan mnie. Jestem niebezpieczniejszy, aniżeli pan sądzisz.

— Tym lepiej.

Asbjørn Krag wszedł już na ścieżkę ogrodową, gdy nagle odwrócił się i rzucił Folgefuchtlowi na pożegnanie:

— Dobranoc!

— Zatem pan zostaje?

— Tak jest. Do widzenia!

— Do spraw jednak moich nie będzie się pan mieszał.

— Zrobię to! Dobranoc!

Nie oglądając się więcej wszedł detektyw do willi. Za nim postępował Dr. Hoft.

Czerwonobrody właściciel, włókł się ociężale przez ośnieżoną ulicę do swej osiedli.

Dr. Hoft zapalił lampę u siebie w gabinecie. Gdy w pokoju zrobiło się jasno, spostrzegł on depeszę leżącą na biurku.

— Do ciebie adresowana — rzekł Dr. Hoft, wręczając depeszę przyjacielowi. Pilna jak widzę. Przyniesiono ją zdaje się w czasie naszej wyprawy.

Detektyw niecierpliwie rozerwał ją, a równocześnie przyszło mu na myśl, że musi być ona od naczelnika tajnej policji. Istotnie tak było. Treść depeszy była następująca:

„Wobec Folgefuchtla zachować rezerwę, oraz najdalej idącą ostrożność. W razie, gdyby opuszczał miejsce swego pobytu, aresztować. Dr. Peters w drodze. Naczelnik.”

Detektyw podniósł się z krzesła i nerwowo chodził po pokoju.

Tak wszystko się dzieje, gdy nie zna się całej sprawy. — Rudobrodego mam obserwować, ale równocześnie nie wolno niczego przedsięwziąć. To jest jednak niemożliwością. Ze Folgefuchtel w tej chwili miejsca swego pobytu nie opuści, jestem tego pewnym. W tej chwili odszedł dziś ostatni pociąg z Friedrichshald, zaś następny odejdzie dopiero jutro o godzinie dziewiątej. Zatem do tego czasu możemy być całkiem spokojni.

Dr. Hoft czytał w międzyczasie depeszę.

— To już druga depesza w czasie tak krótkiego pobytu — powiedział Dr. Hoft. Zdaje mi się, że tam się nieco denerwują.

— Bezwątpienia. W ogóle jest to bardzo ciekawa sprawa. Z jednej strony grożący Folgefuchtel, który nas formalnie wyzywa, z drugiej naczelnik policji i całkiem nieznaną Dr. Peters. Mimo, że Folgefuchtel jest bezwątpienia zbrodniarzem, mimo, że się niemal do swych zbrodni przyznaje, nie wolno mi go aresztować. Zachować najdalej idącą ostrożność — hm... hm...

Asbjørn Krag rzucił na stół depeszę.

— W tej chwili jestem zadowolony, że do czynnej policji nie należę więcej.

— Taaak? — Dlaczegoż to? Czyż należąc teraz do niej, nie byłbyś w znacznie szczęśliwszym położeniu?

— Wątpię. — W ogóle w całej sprawie jest coś niewyraźnego. Dlaczego w całej sprawie mam zachować nadzwyczajną ostrożność? Skąd nagle wyrasta niemiecki agent? Jeżeli naczelnikowi wolno poleceniami wiązać ręce swoim ludziom, to jednak nie ma on najmniejszego prawa mnie rozkazywać. Wszak ja jestem człowiekiem prywatnym i mogę działać we własnym imieniu. Nie mam wcale zamiaru być ostrożnym i już jutro przycisnę Folgefuchtla, żądając wyjaśnień. A jeśli one mi nie wystarczą, zdobędę je w przeciągu 12 godzin, chociażby mnie to życie kosztowało. Nie zapomnę nigdy, kochany doktorze, tego strasznego krzyku, któreśmy dzisiaj słyszeli. Pomyśl tylko, że jakiś człowiek jest w niebezpieczeństwie i potrzebuje naszej pomocy. Od dłuższego czasu jestem dziś poraż pierwszy zdenerwowany i wierzę, że tu musi się szybko działać. Pomyśl tylko, co mówił rządca. Pomyśl o rozmowie, prowadzonej między panią Folgefuchtlową a jej siostrą.

— Nie ma innej drogi odpowiedział doktor, — jeśli się pomyśli, że w celi znajduje się jakiś uwięziony człowiek.

— I ja byłem początkowo tego samego zdania — powiedział detektyw — dziś jednak mam inne przekonanie. W tym zakratowanym pokoju znajduje się jakaś inna rzecz.

— Co innego? — cóż to może być?

— Któż to może wiedzieć! Jednak zaszłe wypadki wskazują na to, że musimy być przygotowani na bardzo ciężkie przeżycia.

Doktorem Hoftem targnął lęk.

— Czy z wyniku naszej nocnej wycieczki jesteś zadowolony? — zapytał on.

— Częściowo tak. Do rozwiązania jednak samej zagadki nie zbliżyłem się ani o włos. Przekonała mnie o tym dzisiejsza rozmowa z Folgefuchtem.

— Oh — zauważył doktor — cała dzisiejsza rozmowa była w znacznej części szeregiem bezczelności i obustronnych gróźb.

— Czuwam jednak argusowym okiem nad każdym słowem tego człowieka — odpowiedział Krag. Co mnie jednak zastanawia, to niemal przyznanie się do łączności z upiornym krzykiem. Tego nie można uniknąć — rzekł on. A następnie również bardzo zagadkową jest dla mnie nocna wędrówka tej kobiety.

— To była szwagrowa Folgefuchtla — powiedział Dr. Hoft. — Poznałem ją. To ona była z pewnością.

— Czego ona szukała poza domem? Dlaczego nie powróciła przez bramę, ale skradała się jak zwykły złodziej? I wreszcie te groźby Folgefuchtla, co to wszystko znaczy?

Asbjørn Krag podszedł ku szerokiemu oknu zwróconemu na południe i otworzył je. Świeży prąd powietrza wpłynął do pokoju.

Detektyw pozostał przy oknie i patrzył na leżącą przed nim równinę. Wszystko było pogrążone w głębokim śnie, nie doleciało go nawet zwykłe ujadanie psów w księżycową noc. W dali majaczył na ciemnym horyzoncie niebios, pałac. Jego wieżyczka strzelała prosto ku niebu. Na widnokręgu rysował się stary, murowany kościół.

Z głębi pokoju doleciał detektywa głos przyjaciela. Krag odwrócił się i podszedł ku doktorowi. Ten przypadkowy ruch ocalił mu życie...

## VII

### GŁUCHY STRZAŁ

I nagle, gdy detektyw miał odpowiedzieć na zapytanie, pękło coś z trzaskiem.

Dr. Hoft zerwał się z krzesła, a Asbjørn Krag zapytał:

— Co się stało?

Zarówno kosztowna waza chińska jak i lustro wiszące naprzeciw okna były rozbite.

Obaj przyjaciele spojrzeli na siebie ze zdziwieniem.

— Czy to ty?

— Nie — a ty?

— Także nie!

Nagle błysnęła myśl w mózgu Asbjørna Kraga. Jednym skokiem znalazł się on przy oknie.

— Ktoś strzelił do pokoju — rzekł detektyw.

— Nie słyszałem wcale huków.

— To wszystko jedno, jednak ktoś strzelił — detektyw wskazał na otwarte okno.

— Jaki kto może mieć interes w rozbiciu mojej wazy porcelanowej — rzucił niepewnie Dr. Hoft, patrząc na detektywa.

— Nikt. Ten strzał był przeznaczony dla mnie. Tylko dzięki przypadkowemu ruchowi uratowałem się od śmierci. Zasłoń okno... stój...

Jeszcze jedno stuknięcie i część rozbitego zwierciadła wysunęła się z ram i z dźwiękiem upadła na podłogę.

— Na podłogę padnij — rozkazał Krag.

Dr. Hoft wykonał rozkaz.

Tymczasem detektyw podszedł ku lampie, miażdżąc pod stopami resztki rozbitego szkła i zgasił światło, odskakując gwałtownie od lampy. W tej chwili lampa została strzaskaną.

— Tego zupełnie nie rozumiem — krzyknął doktor przerażony. Czyżby jakiś niewidzialny duch krążył po pokoju i rozbijał mi moje rzeczy?

— To są strzały — odpowiedział detektyw — on strzela z pistoletu. Kula wylatuje z niego bez najmniejszego huków pod zgęszczonym powietrzem. Są to bezgłośnie pistolety.

— Kto strzela? Dla Boga? — czyż mógłby to być Folgefuchtel?

— Prawdopodobnie.

— W takim razie jest on wariatem — rzekł Dr. Hoft.

— Może być, ale równocześnie jest on najwykolejszym bandytą, z którym, o ile przypominam sobie, już się kiedyś spotkałem. W tej chwili — mówił Krag, podsuwając się ostrożnie pod okno — jesteśmy w znacznie szczęśliwszym położeniu. U nas w pokoju jest ciemno, podczas gdy tego draba oświetla księżyc.

Detektyw wychylił się przez parapet okna. W ręku jego błyszczał rewolwer.

Cisza panowała wokoło. Detektyw patrzył długo i uważnie na wszystkie strony. Na dworze nie było nikogo. Wreszcie Krag cofnął się od okna i zesunął storę.

Dr. Hoft przyniósł lampę z sąsiedniego pokoju, którą zaświecono. Dr. Hoft był bardzo blady.

— To jest najcięższe przeżycie, jakie kiedykolwiek miałem w swoim istnieniu—mówił doktor. — Ależ to niesłychane — w naszym cichym miasteczku napad morderczy, niesłychane...

— Cieszymy się raczej z tego, że jeszcze w ogóle żyjemy — śmiał się detektyw. — On ma diabła pewną rękę. Strzelił on do lampy, ponieważ stałem tuż koło niej, pragnąc ją zgasić. Kula przeleciała mi koło ucha. Na szczęście skończyło się na rozbiciu lampy.

Krag podniósł zdruzgotaną lampę i pokazał doktorowi otwór w zbiorniku.

— Czy widzisz, tędy kula przeszła i utkwiała gdzieś głęboko w ścianie.

— Musisz go natychmiast przyaresztować.

— Z jakiego powodu?

— Ależ człowieku — krzyczał Dr. Hoft — przecież to zwykły napad morderczy.

— Czy możesz mu udowodnić, że to on strzelił?

— Któż mógłby być inny?

— To nie jest żadnym dowodem, a zresztą, jeśli byśmy nawet oskarżyli go, że strzelał do nas z bezgłównego rewolweru, któż nam w to uwierzy. Wiem wprawdzie, że w kołach wojskowych niemieckich mówiono wiele o takiej broni, ale trudno przecież przypuścić, żeby ona znajdowała się w posiadaniu jakiegoś norweskiego właściciela dóbr. Jest to jednak, kochany doktorze, okropna broń.

— Przerazająca — potwierdził doktor.

— Uśmierca cicho, bez najmniejszego szmeru. Ten, którego trafia kula, pada jakby rażony piorunem. Nikt nie wie, z której strony padł śmiercionośny pocisk. I przyznaj, że gdyby kula zamiast twej chińskiej wazy mnie trafiła, czy nie sądziłbyś, że powodem mojej śmierci jest atak nerwowy?

— Bezwzględnie tak.

— A więc widzisz — wyszliśmy szczęśliwie z przygody — a teraz...

— A teraz spać — podchwycił doktor.

— Spać, spać — powtórzył bez namysłu detektyw.

— Czy jednak uśniesz, to wielkie pytanie.

— Usnąłem raz na zderzakach lokomotywy pociągu pospiesznego — odpowiedział Krag. — Ja usnę wszędzie. Wszelkie zdarzenia nie działają na mnie podniecająco i spać będę zawsze ilekroć razy mam ochotę i czas ku temu.

— Za bezpieczeństwo jednak w tym domu nie ręczę. Wprawdzie drzwi są zasunięte...

— O to nie troszczę się wcale — odpowiedział Krag, klepiąc doktora przyjacielsko po ramieniu. — Nicpoń już na pewno dawno uszedł. Nie słyszano nigdy o takim wypadku, aby zbrodniarz powtórzył swój napad po raz drugi, skoro mu się pierwszy nie udał.



— A gdybyśmy tak dla bezpieczeństwa twego pojechali na nocleg do miasta? Albo jak zechcesz, zatelefonuję po policję. W tej chwili ją przyślą — tłumaczył Dr. Hoft silnie zdenerwowany.

— Wszystkie te zabiegi są zgoła niepotrzebne. Wprawdzie Folgefuchtel pragnie się dobrać do mojej skóry, ja jednak nie uczynię nic takiego, co by wskazywało, że go się obawiam. Ale słyszę jakiś szmer nad nami. Twoja żona usłyszała hałas i pewnie niepokoi się.

— Już idę — odezwał się Dr. Hoft i począł się żegnać.

Krag odprowadził go do schodów, zostawiając w gabinecie świecącą się lampę.

Od doktora Hofta aż biło zdenerwowanie. Rychło zauważył je detektyw.

— Wierz mi, — mówił uspokajająco — że dzisiejszej nocy minęło wszelkie niebezpieczeństwo. Ty i twoja żona możecie spać całkiem spokojnie. Właściwą zwierzyną, na którą on poluje, to jestem ja.

— Czy nie byłoby lepiej, abyśmy noc razem spędzili w jednym pokoju — niepokoił się Dr. Hoft

Asbjørn Krag roześmiał się.

— Po cóż mamy trzy czy cztery godziny wytrzeszczać na siebie oczy. Nie, mój kochany — unikam wszystkiego, co zakrawa na śmieszność, a propozycja twoja jest śmieszną. Pozwól, że ja sam będę dziś strzegł twego domu. Doskonale wiem, gdzie leży mój pokój i zanim się położę, oglądnę dokładnie zasuwę w drzwiach.

— Może by zbudzić służbę?

— Całkiem zbyteczne — rzucił Krag niecierpliwie.

— W takim razie rób co chcesz, tylko proszę cię, bądź ostrożnym. Dobranoc.

— Dobranoc doktorze! Ach, jeszcze jedno — nie świeć dzisiaj lampy w swoim pokoju.

Dr. Hoft spojrział zaniepokojony na przyjaciela i zawahał się chwileczkę.

— Nie — odpowiedział doktor — dzisiaj nie będę świecił — i otworzył drzwi do sypialni.

Detektyw pozostał sam. Nie był on jednak tak spokojnym, jak przed chwilą. Zanim wszedł do swego pokoju, otworzył szeroko drzwi, jakby w obawie, czy się w nim kto nie ukrył. Detektyw rewolweru nie wypuścił ani na chwilę z ręki. Pokój był jednakowoż pusty. W zalanym powodzią światła księżycowego pokoju widniały dokładnie wszystkie sprzęty. Tuż pod oknem stała podróżna walizka Kraga. Detektyw zbliżył się do niej, otworzył skomplikowany zamek i wyjął z niej ślepą latarkę. Świeciła bardzo jasno, rzucając stosunkowo niewielki krąg.

Z latarką w jednej ręce i rewolwerem w drugiej, przeszukiwał cały dom. Zaczął od drzwi wejściowych, oglądając szczegółowo zamek i zasunięte zasuwę. Wszystko było w porządku. Następnie zbliżył się do każdego okna, próbował czy zamknięte i obchodził wszystkie kąty i wgłębienia, oświetlając je swoją latarką.

Wreszcie po półgodzinnej wędrówce po całym domu, powrócił detektyw do swego pokoju. Ale i teraz nie położył się do łóżka. Zupełnie ubrany usiadł wygodnie w szerokim krześle i zamknął oczy. Rewolwer i

latarka leżały koło niego. Asbjørn Krag spał jak mysz na pudle — najmniejszy szmer budził go.

Tylko w wyjątkowych okolicznościach przedsięwzięł detektyw podobne środki ostrożności. Teraz jednak zdawał sobie Krag sprawę, że sytuacja jest bardzo ciężką, a przeciwnik zupełnie bezwzględny.

\* \* \*

Dr. Hoft przepędził noc niespokojnie. Zaledwie tylko usnął na chwilę, śniły mu się potworne mary i doktor siadał na łóżku. Rozpętane nerwy ostatnimi wypadkami, tańczyły w organizmie jakąś szaloną sarabandę. W ten sposób przemęczył się w łóżku do godziny siódmej rano. O siódmej wszedł do swojego gabinetu.

Służąca sprzątała pokój.

Pana Asbjørna Kraga nie ma w domu. Zdaje się, że u nas wcale nie nocował.

Wiadomość ta zaniepokoiła bardzo Dr. Hofta.

Znał on przyzwyczajenia detektywa, iż ten nie zdradza się nigdy ze swoimi planami. Wierzył bez-względnie w zdolności i spryt Kraga. Mimo tego jednak doktor niepokoił się.

Powtórna wycieczka detektywa do osiedli Folgefuchtlą była niemal wykluczona. Zatem gdzie on mógł znajdować się. Doktor zbliżył się do telefonu i już miał powiadomić policję, że detektyw znajduje się w niebezpieczeństwie gdy nagle spostrzegł na ulicy przyjaciela

Detektyw powracał do domu z rannej wycieczki.

— Wierzę — mówił po przywitaniu się detektyw, — że mogłeś zatroskać się moim tajemniczym zniknięciem. Nie sądziłem jednak, że wstaniesz tak wcześnie.

— Nie należę istotnie do rannych ptaków, ale nie mogłem dłużej leżeć. Dla mnie była ta noc męczarnią.

— Ja spałem jednak doskonale — rzucił Krag

— Długo spałeś? — zapytał doktor niedowierzająco.

— Półtorej godziny. Wystarcza to dla mnie najzupełniej, gdy pracuję, a szczególnie, gdy sprawa jest powikłaną. Praca działa na mnie tak podniecająco, że nie czuję całkiem znużenia.

— Widzę, że jesteś w doskonałym humorze — zauważył Dr. Hoft.

— Tak jest i mam ku temu powody. — Po pierwsze cała ta sprawa zajmuje mnie coraz bardziej, dalej nęci mnie zarówno swoją tajemniczością jak i niebezpieczeństwem, a w końcu chciałbym się zmierzyć z tym człowiekiem tak strasznie brutalnym i do bezczelności odważnym. W dodatku zdobyłem dziś rano nowe szczegóły. Dr. Peters przyjechał.

— Rozmawiałeś z nim?

— Jeszcze nie, jednakowoż oczekuję jego odwiedzin. Zawiadomiłem go.

— Kiedy przyjechał? Dzisiaj w nocy?

— Dr. Peters przyjechał pociągiem o godzinie 2'40 w nocy. Folgefuchtel czekał na niego na dworcu kolejowym.

— O godzinie 2'40 — zawołał Dr. Hoft — czyż więc jest to możliwe, aby dziś w nocy do nas strzelał?

— Wykluczone. Po pożegnaniu się z nami Folgefuchtel pojechał natychmiast sankami na dworzec. Ustaliłem całkiem pewnie, że przybył on na dworzec dwie minuty przed nadejściem pociągu. Konie były spienione. Byłem na tyle przezorny, że bezpośrednio po strzałach spojrziałem na zegarek. Była godzina kwadrans na drugą. Zatem nie mógł tu być.

— Oczywiście, jeżeli był na dworcu, nie mógł równocześnie do nas strzelać.

— Właśnie dlatego powinniśmy być zadowoleni, że nas kule minęły — mówił detektyw. — Przyjmij bowiem wypadek, że któregoś z nas raniono śmiertelnie. I cóż dalej?... Nic, zupełnie nic. Folgefuchtel nie możnaby oskarżyć, gdyż natychmiast udowodniłby swoje alibi. Przecież w oznaczonym czasie był na dworcu kolejowym. Na to on właśnie liczył i dlatego tak celne padały strzały. Zależało mu, aby mnie zabić. Przed zdemaskowaniem go był zabezpieczony.

— Nie wiele z tego rozumie — zauważył Dr. Hoft. — Przed sekundą twierdziłeś, że on nie strzelał.

— Własnoręcznie na pewno nie strzelał. Ale prawdopodobnie z broni strzelił człowiek, który go fanatycznie podziwia i ślepo słuca.

— Któż to może być?

— Niewątpliwie zobaczysz go na dzisiejszym zebraniu. Jeśli go sam nie zauważysz, wówczas ci go wskażę.

— A czy ty pójdziesz na to zebranie?

— Naturalnie. Również musi być i twoja żona. Będą niemal wszyscy z okolicy.

W drzwiach stanęła gospodyni.

Detektyw ukłonił się grzecznie. Doktorowa odpowiedziała mu uśmiechem. Na pewno nie domyślała się nocnych wypadków.

— Wybaczcie panowie, iż nie wchodzę do pokoju, ale zabieram się właśnie do zrobienia śniadania. Chciałam tylko oddać ci list.

Gospodyni wyszła, Dr. Hoft rozerwał kopertę.

— To jest istotnie szczyt bezczelności — rzekł Dr. Hoft, oddając list detektywowi.

Krag spojrział na podpis i czytał:

„Kochany Panie Doktorze! Nie sędzę, aby wczorajsza różnica zdań miała państwa odstraszyć. Przeto zwracam się raz jeszcze z łaskawym przypomnieniem przyrzeczenia odwiedzenia nas. Równocześnie proszę bardzo o powtórzenie zaproszenia swemu przyjacielowi.

Z poważaniem Folgefuchtel.

P. S. Nie wątpię, że do moich wczorajszych słów nie przywiązują panowie zbytniej wagi. Wiadomo, że jestem prędko i chętnie przesadzam.”

Detektyw zamyślił się głęboko i po chwili rzekł:

— Taak? Dotychczas poznaliśmy sześć osób, a to: Folgefuchtlą, Dr. Petersa, obie kobiety, zarządcę, oraz tajemniczą istotę zamkniętą w gabinecie.

— Tak — to się zgadza.

— Dziś jednak rano odkryłem jeszcze jedną osobę. Mieszka ona stąd niedaleko i jej wmieszanie się w tę sprawę jest dla mnie bardzo zagadkowe.

## VIII

### ŚLADY NA ŚNIEGU

W godzinę później otrzymał Asbjørn Krag lakoniczną odpowiedź od Dr. Petersa:

„Wiem o pańskim sąsiedztwie. Zwrócę się, gdy zajdzie tego potrzeba. Dr. Peters.”

Detektyw rzucił gniewnie listem.

— Irytuje mnie to błędne koło tajemnic, którego nie mogę przeniknąć.

— Na razie musisz być cierpliwym. Wszak nikt ze związanych tajemnic, czy też sprawami osobistymi nie wezwał cię tutaj. Wprawdzie prosiłem cię abyś przyjechał, ale działałem we własnym imieniu, sądząc, że sprawę należy wyświecić.

Asbjørn Krag nie odpowiedział. Myśli jego uleciały gdzieś daleko poza toczącą się rozmowę.

— Dałbym wiele, mój drogi, abym wiedział o czym myślisz.

— Myślę o Folgefuchtlu, a raczej o jego rysach twarzy.

— O jego rysach twarzy?

— Tak, o rysach twarzy, a następnie o jego zaroście i dziwnie błyszczących oczach, patrzących nieufnie z poza okularów. Co prawda, to nie grzeszy on zbyt wielką czystością.

— Ach, że nie, to nie. Wprost bierze mnie wstręt, ilekroć razy pomyślę o jego brudnym zielonoszarym płaszczu.

— Zdaje mi się czasami — mówił detektyw — że gdzieś głęboko w moich komórkach mózgowych widnieje obraz, raczej fotografia, która mi bardzo jego przypomina. Prawdopodobnie spotkałem się z nim kiedyś, tylko nie pamiętam gdzie i kiedy. Kiedyś musi się to wyjaśnić. Ale zostawmy to i powiedz mi raczej, co to za człowiek praktykant leśnictwa Blande.

Dr. Hoft nie spodziewał się zgoła tego pytania.

— Czy znasz go? — zapytał doktor.

— Nie i dlatego się pytam.

— Dokładnie nie umiałbym ci o nim powiedzieć. O ile go znam, jest to młody, sympatyczny człowiek, syn bogatego konsula. Mówią o nim, że żyje dosyć rozrzutnie i że ojciec nosi się z myślą wysłania go do Ameryki. Na ogół nie jest on tutaj zbyt dobrze widziany, ale też i nic złego nie można o nim powiedzieć. Mieszka on niedaleko od nas w niewielkiej willi.

— I willa ta nazywa się „Furomoen” — dopowiedział detektyw. — Widziałem ją. Jest to bardzo piękna posiadłość.

— Byłeś kiedy w tej okolicy?

— Nie.

— Skądże więc znasz tę posiadłość?

— Dopiero dziś rano zobaczyłem ją po raz pierwszy.

— Masz szczególną pasję oglądania różnych domów.

— Byłem tam najzupełniej przypadkowo. Badałem ślady.

Dopiero teraz przyznał się detektyw, gdzie przebywał rankiem.

— Czy sądzisz, że ten młody człowiek, praktykant leśnictwa Blinde, mieszałby się w sprawy tajemniczego Folgefuchta?

— On nie tylko nie mieszałby się, ale już się wmieszał.

Zmieszany Dr. Hoft zerwał się z krzesła i nerwowo zaczął przechadzać się po pokoju.

— Wierz mi, że tym razem trudno mi uwierzyć w twoje słowa. Prawdopodobnie nie znasz go.

— Nigdy go nie widziałem.

— A z opowiadania?

— Także nie.

— A zatem powiem ci. Jest to człowiek najzupełniej przeciętny, nie wyróżniający się niczym. Jedyne na co sobie pozwala, to wesołe życie w kawiarniach i teatrzykach w Christianii. Teraz podobno siedzi w domu i uczy się języków, które mogłyby mu się przydać w Ameryce. W każdym razie sądzę, że on nie nawiązałby stosunków z tajemniczym właścicielem.

— Nie powiedziałbym tego.

— Powiedz mi, mój kochany, dlaczego chciałbyś go wplątać w całą sprawę?

— Powiedziałem ci już — odpowiedział spokojnie detektyw. — Dziś badałem ślady.

— Jakie ślady?

— Przypominasz sobie zapewne kobietę, którą widzieliśmy wczoraj.

— Oczywiście — szwagierka Folgefuchta, wślizgująca się tajemniczo do domu.

— Otóż dzisiaj rano poszedłem za jej śladem i już wiem skąd ona wracała. Ona była wczoraj u młodego człowieka w mieszkaniu.

Dr. Hoft spojrział na przyjaciela osłupiały.

— Uh, do diabła, — co za niespodzianka.

— I dla mnie to odkrycie było prawdziwą niespodzianką — zgodził się detektyw.

— Czy nie słyszałeś nigdy o jakichś awanturkach miłosnych praktykanta leśnictwa?

— Nic poza tym, że lubi prowadzić wesołe życie. Natomiast szwagrowa Folgefuchta jest uważana za osobę skromną i ostrożną.

Detektyw roześmiał się.

— Nie przeczę wcale, że jest skromną, ale trudno mi mówić o jej ostrożności. Śnieg jest diabło zdradziecki, a ślady na nim bardzo wyraźne i trudne do zatarcia.

— Próbowałeś może nawiązać z nim rozmowę?

— Nie — odpowiedział Krag. — Według wszelkiego prawdopodobieństwa, będzie on dziś wieczorem na przyjęciu. Wówczas będę miał sposobność z nim porozmawiać.

Czas wyjazdu na proszony wieczór zbliżał się.

Pomimo niezbyt wielkiej odległości, Dr. Hoft kazał zajechać saniom przed dom.

Doktorowa była silnie zdenerwowaną.

Wprawdzie żaden z mężczyzn nie wspomniał przed nią ani słowem o nocnych wypadkach, ale z zachowania się męża musiała się domyślać niezwykłych zajść. Poza tym nie cierpiała Folgefuchtl. Ogarniał ją zawsze paniczny lęk na widok tego małego człowieka o rudej, płonącej brodzie.

Krag i doktorowie byli pierwszymi gośćmi, którzy przybyli. Za ledwie tylko wjechali na ogromny gazon, spotkali Folgefuchtl, który wyszedł naprzeciw.

Detektyw omal nie roześmiał się na widok gospodarza.

Z racji uroczystości, zmienił Folgefuchtel swe wstrętne brudne, zielonkawo-szare ubranie na strój wizytowy. Folgefuchtel czuł się w nim najgorzej, a w dodatku ubranie leżało na nim fatalnie. Całe zachowanie Folgefuchla nosiło wybitne cechy parweniusza. Niezręcznie wpięta szpilka do krawata raziła niemiłościwie. W jednej chwili ocenił detektyw okiem wytrawnego znawcy jej wartość. Prawdopodobna jej cena przedstawiała majątek. Usta dziwnie wykrzywione, niby w uprzejmym uśmiechu, czyniły go odpychającym.

— Bardzo się cieszę, że państwo byli łaskawi zagościć w moje progi — mówił Folgefuchtel. — Szczególnie jednak dziękuję pani doktorowej. — I z galanterią podał jej ramię.

Weszli do mieszkania.

Asbjorn Krag i Dr. Hoft stanęli zdumieni. Mieszkanie było urządzone z wyszukany komfortem i luksusem. Każdy sprzęt, każdy drobiazg był starannie dobrany. Nie było śladu jakiegoś przeładowania, niedopatrzenia, czy też złego gustu.

Powoli zjeżdżali się goście.

Między innymi przybył Hardervogt pełniący funkcje naczelnika gminy, starsi, poważni właściciele dóbr i znaczniejsi kupcy ze sąsiedniego miasteczka. Prawie wszyscy przyjechali z żonami.

Tajemniczy gospodarz kręcił się między gośćmi, mówił grzeczne słówka, ścisnął serdecznie ręce nowo przybywającym i bawił panie komplementami.

Nagle rozsunęła się portiera i bardzo piękna pani weszła do pokoju.

— Ach, to ty Konstantino! — mówił z wyrzutem Folgefuchtel — że też wy kobiety nie ubieracie się nigdy na czas.

Folgefuchtel przedstawił młodą panią jako swoją żonę.

Detektyw nie mógł się w duszy nadziwić, widząc to miłe ładne stworzenie, żoną tego wstrętnego i starszego mężczyzny.

Pomimo nadzwyczajnej uprzejmości gospodarza i usiłowań jego żony, nastrój był niemiły.

Zdawało się, że jedni przybyli jakby pod przymusem, inni dla zaspokojenia własnej ciekawości.

Dr. Hoft nie był jedynym, który wyczuwał duszną atmosferę.

Detektyw usiadł w wygodnym fotelu i otoczył się dymem wybornego Havanna. Siedział z na wpół przymkniętymi powiekami, obojętny na otaczające go towarzystwo. Dr. Hoft miał wrażenie, że przyjaciel oczekuje czegoś, co się niechybnie stać musi.

Przed dom zajechały nowe sanie. Folgefuchtel wybiegł naprzeciw nowego gościa i wkrótce na progu salonu stanął Dr. Peters

Detektyw patrzył z uśmiechem na służalczy pośpiech gospodarza, z jakim przedstawiał swoich gości.

— Mój kochany sąsiad i przyjaciel Hardervogt, kochany i zacny doktor Hoft — przedstawiał Folgefuchtel.

Kolej przyszła na detektywa.

— Przyjaciel... hm... zaraz... hm... jak się pan nazywa... ach tak... mój przyjaciel, pan Gakelgukel.

Dr. Hoft, Hardervogt i przedstawiciel gminy roześmiali się. Inni nie rozumiejąc sytuacji, zrobili zdziwione miny.

Dr. Peters przywitał się uprzejmie i spojrzał na detektywa znacząco.

Asbjørn Krag był pewnym, że podstęp udał się.

W rzeczywistości tak było.

Niedługo później do detektywa zbliżył się Dr. Peters.

— Czy pan jest detektywem i nazywa się Asbjørn Krag? — zapytał Dr. Peters.

— Tak jest.

— Chcę z panem wspólnie pracować.

— Dobrze — zgodził się detektyw — kiedy rozpoczniemy?

— Muszę widzieć się z panem natychmiast po tym zebraniu.

— Z przyjemnością. — Czy wie pan, że Folgefuchtel zaaranżował na cześć pana to przyjęcie?

— Wiem o tym. On pragnął mnie olśnić swoimi znajomościami. On musi być na pewno wielki szubrawiec. W każdym razie jest to genialny człowiek.

— Nie rozmawiajmy tak żywo — zwrócił uwagę detektyw. — Oczy Folgefuchtla są zwrócone na nas.

— Ma pan rację. Dziękuję. — Zima norweska bardzo mi się podoba — dokończył Dr. Peters prawie głośno, a równocześnie szepnął do Kraga: teraz będę z nim rozmawiał. Zbliżył się pan i podsłuchaj o czym będziemy mówili.

Dr. Peters zbliżył się do Folgefuchtla, a Krag usadowił się tak wygodnie, że mógł słyszeć dokładnie każde słowo.

— Jak długo to potrwa jeszcze? — zapytał Dr. Peters.

— Jak powiedziałem, jeszcze dni kilka, o ile w międzyczasie nie natrafię na zbyt dużo przeszkód.

— A czy pan niczego nie zauważył u naszych nieprzyjaciół?

— Bezwarunkowo nie.

Dr. Peters zamyślił się głęboko.

Detektyw słyszał rozmowę, lecz trudno mu było o niej coś sądzić. Dwa słowa głównie uderzyły go: „Nasi przyjaciele”. To by wskazywało, że tajemniczy właściciel dóbr i Dr. Peters pracują wspólnie i mają wspólnych wrogów. A równocześnie Dr. Peters zwraca się przeciw Folgefuchtlowi i wzywa do pomocy detektywa.

Wszedłem w jakąś piekielną sieć intryg — myślał detektyw.

Dr. Peters zbliżył się do dużych drzwi, zasłoniętych cienką jedwabną portierę.

Asbjørn Krag zauważył drzwi te już wcześniej i przypuszczał, że prowadzą one do owej tajemniczej części domu, skąd rozlega się upiorny krzyk.

Niemiecki agent zapukał do drzwi. Odezwał się głuchy, metaliczny dźwięk.

— Czy drzwi są żelazne?

— Są stalowe — padła krótka odpowiedź. Dr. Peters skinął głową.

— Dobrze, że tędy nikt nie ma przejścia — zauważył Dr. Peters, rzuciwszy spojrzenie na detektywa.

Asbjørn Krag zdawał się być pochłonięty oglądaniem obrazów.— Ciekawy jestem, dlaczego te drzwi są zrobione ze stali — myślał detektyw, zwracając baczną uwagę na rozmawiających mężczyzn.

— Gdzie jest pańska szwagrowa — usłyszał detektyw pytanie Dra Petersa.

— Zajęta jest przygotowaniami do stołu.

— Pragnąłbym się z nią zobaczyć. Jest wyjątkowo miłą kobietą.

Folgefuchtel roześmiał się.

— Ona jest wdową — czy nie prawda?

— Tak jest.

— Wdową po niemieckim pułkowniku Linke, który padł w pojedynku.

— Tak jest.

— Prawdopodobnie jest ona bardzo bogatą?— badał Dr. Peters, patrząc równocześnie w okno, jakby dla podkreślenia obojętności.

— Tak — mąż pozostawił jej znaczny majątek. Lecz z czego pan wnioskuje, że jest ona bogatą?

— Widziałem ją na wyścigach w Ostendzie.

— Tak jest — potwierdził Folgefuchtel. Moja szwagrowa jest przyzwyczajona do życia dość wystawnego, a przy tym jest trochę wyróżniająca się... ekstrawagancyjna...

— Nawet bardzo i to do tego stopnia, iż zwróciłem na nią uwagę na wyścigach w Paryżu — mówił Dr. Peters.

— Mnie się zdaje, że pan mówił o Ostendzie.

— Także i tam. Spotkałem ją w obu miejscowościach.

Asbjørn Krag odwrócił się i spojrzał na mówiących.

Oczy Folgefuchtla z poza okularów miotały płomienie. Dorozumiewał się, że Dr. Peters umyślnie skierował rozmowę na jego szwagrową.



Bezwiednie przypomniał sobie detektyw jej nocne wycieczki i ślady wiodące pod dom praktykanta leśnictwa.

— W tej chwili ją poproszę. Istotnie bawi za długo — usłyszał detektyw.

I w tej chwili zaszedł wypadek, który wstrząsnął do głębi detektywem, ogólnie znanym ze swej zimnej krwi

## IX.

### NIESPODZIANKA

Detektyw przyglądał się Folgefuchtlowi przez cały przeciąg jego rozmowy z agentem niemieckim. Kragowi zdawało się ciągle, że gdzieś musiał się z Folgefuchtleem spotkać, ale gdzie i kiedy, nie pamiętał.

Niezwykłe rysy twarzy tego człowieka utkwiły głęboko w pamięci detektywa. Asbjørn Krag głęboko wierzył, że nadejdzie szczęśliwa chwila, w której zdemaskuje tajemniczego właściciela.

Tymczasem Folgefuchtel, kryjąc swoje zmieszanie, podszedł ku drzwiom i otworzył je wołając:

— Henryko, gdzie jesteś Henryko — prosimy cię.

Odpowiedział mu głos kobiety z przyległego pokoju:

— Idę!

Na progu stanęła Henryka, witając gości uprzejmym skinieniem głowy. Na jej ustach igrał uśmieszek. Była to kobieta bardzo piękna, mająca około trzydziestu lat. Pyszne jasno-kasztanowate włosy przechodziły niemal w odcień złotawy. Ubrana wytwornie, patrzyła na zebranych ogromnymi oczyma, w których się czaiły dziwnie fascynujące, niemal elektryczne błyski.

Z gośćmi witała się z ujmującym wdziękiem, mając każdemu słów kilka do powiedzenia; a więc, Dr. Hofta znała z widzenia, Hardervogta dawno pragnęła poznać i.t.d. Nagle skurczyła się w sobie. Wzdłuż jej ciała przebiegł dreszcz okropnego lęku a twarz przybrała kolor popielato-szary.

A stało się to w chwili, gdy spotkała się oko w oko z detektywem.

Tylko dwóch ludzi zauważyło jej zmieszanie się a to: przyjaciel Asbjørna Kraga i niemiecki agent.

Dr. Hoft spojrział na detektywa i zgłupiał.

Ten sam detektyw, którego nic nie było w stanie wyprowadzić z równowagi, stał teraz oszołomiony, z wół otwartymi ustami, patrząc na rudowłosą kobietę.

Ale detektyw opanował się prędko. Po paru sekundach tych dwoje ludzi rozmawiało ze sobą ze zwykłą towarzyską konwencjonalnością.

Nie długo później Dr. Peters, doskonały obserwator, zbliżył się do rozmawiających.

— Zdaje mi się, że pani znała już wcześniej tego pana — rzekł Dr. Peters, wskazując na detektywa.

Pani Linke roześmiała się serdecznie.

— Nie, panie doktorze. Mimo woli tylko wygląd tego pana przypomniał mi przyjaciela zmarłego przed paroma laty.

— Natomiast pani przypomina mi bardzo jedną z moich znajomych pań, którą poznałem przed laty. Pani ta nagle wyjechała.

— Nagle wyjechała? — zdziwiła się pani Linke.

— Tak — potwierdził detektyw. — Pani ta tak nagle wyjechała, że nie miała czasu pożegnać się.

Towarzystwo przechodziło do jadalni. Dr. Hoft tak lawirował, że zbliżył się do detektywa.

— Zauważyłem — mówił cicho Dr. Hoft, — że tę kobietę znałeś już pierwej. Czy to prawda?

— Tak jest — odpowiedział Krag.

— Kim jest ona?

— Prawdopodobnie tą za kogo się podaje — szwagrowa Folgefuchtlä. Nazywa się tylko inaczej.

— Jak się, więc ona nazywa? Ktoś zbliżył się do nich.

Asbjørn Krag ujął przyjaciela pod ramię i rozvodził się nad wartością wiszącego przed nimi obrazu. Kiedy znów byli sami, zapytał detektyw przyjaciela:

— Czy bardzo zdziwioną miałem minę?

— Tak jest. W pierwszej chwili byłeś bardzo zdziwiony.

— Pocieszam się tylko tym, że i ona była tym spotkaniem zaskoczona. Czy uważałeś jak gwałtownie zbladła?

— Widziałem doskonale, — ale dlaczego, dlaczego?

— Ponieważ oboje wzajemnie poznaliśmy się — odpowiedział detektyw.

— Nic z tego nic rozumie.

— Zrozumiesz, gdy powiem ci jej nazwisko. Czy wierzysz, iż jestem prawie zadowolony, że wziąłem ze sobą rewolwer, idąc w to niezwykle towarzystwo.

— Wziąłeś ze sobą rewolwer? Czyżby groziło jakie niebezpieczeństwo?

— Od tej chwili wszystkiego się spodziewam.

— Z powodu niej?

— Tak jest.

— Ale nazwisko — szeptał Dr. Hoft — powiedz mi jej nazwisko.

— Walentyna — odpowiedział Krag — Ona nazywa się Walentyna Kampel. To nie może być nikt inny jak tylko „Pająk”<sup>1</sup>. A teraz idź do jadalni, jak gdyby nie zaszło nic nadzwyczajnego. Nie potrzeba na siebie zwracać uwagi.

Zupełnie ogłuszony wszedł Dr. Hoft do jadalni. Musiał on użyć całego wysiłku woli, ażeby stłumić straszny lęk, rodzący się mu w duszy.

Detektyw zdążył również w stronę jadalni, gdy nagle ujął go ktoś za rękę.

---

<sup>1</sup> Bohaterka powieści „Kobieta Pająk”.

Był to Dr. Peters.

— Zna ją pan? — zapytał Dr. Peters.

— Tak jest — odpowiedział Krag i natychmiast dodał:

— Należy ona do pańskich przyjaciół, czy też nieprzyjaciół ?

— Tego nie wiem — odpowiedział niemiecki agent — Nigdy nie jest się jej zbyt pewnym.

— Jeżeli nie można jej na pewno zaliczyć do pańskich przyjaciół, musi się ją zaliczyć do nieprzyjaciół

— Więc zna ją pan aż tak dobrze? — zapytał Dr. Peters.

— Tak jest. Znam ją dobrze! — nawet bardzo dobrze! Należałoby ją natychmiast przyaresztować!

Agent niemiecki przestraszył się.

— Kto ją ma zamiar aresztować? — zapytał Dr. Peters.

— A gdyby tak na przykład ja — odpowiedział detektyw.

Dr. Peters ujął detektywa za rękę.

— Niech pan tej myśli zaniecha — mówił przerażony agent — otrzymał pan niewątpliwie instrukcje od naczelnika biura detektywów. W tej chwili położenie nasze jest bardzo niepewne, jednak jestem człowiekiem, który na razie trzyma wszystkie nici w ręku.

Z jadalni doleciał ich głos Fogefuchta:

— Czy wiele jeszcze spraw macie panowie do omówienia?

— Nie — zaprzeczył agent, siadając przy stole. Rozmawialiśmy właśnie o żegludze powietrznej. Wszak wie pan, jak ta sprawa mnie zajmuje.

Przez cały przeciąg obiadu siedział detektyw milczący. Niezwykle ożywienie Niemca Wydało się Kragowi zagadkowym. Czuł w powietrzu intrygę, nie wiedział jednak, na czym ona polegała. Do stołu usiadł detektyw w ten sposób, że mógł niepostrzeżenie obserwować Folgeruchta.

— Ta twarz... Ta twarz — myślał detektyw — gdzie ja już ją przedtem widziałem. W myślach swoich nie szukał jednak Folgefuchta ubranego w wizytowe ubranie, nie, wcale nie. Jego myśli sięgały dalej. On widział rudą głowę, wciśniętą między zapadnięte piersi. On widział tego człowieka w obrzydliwie brudnym, szarawo-zielonym płaszczu. Nagle przypomniał sobie. Tak! To nie mógł być kto inny, tylko jego stary znajomy — inżynier Barra.

\* \* \*

Asbjørn Krag zastanowił się nad położeniem. Podejmował walkę przeciw dwom osobom, które w walce były nieugięte. Genialny eksperymentator i wynalazca, stary wróg ludzkości inżynier Barra, oraz jego „szwagrowa”, niebezpieczna Walentyna, zwana także „krwiożerczym pajakiem”. W jakim celu wdarł się w mieszkanie Folgefuchta? Wszak tutaj nie działo się nic takiego, aby mogła wkroczyć policja. Wprawdzie on sam i sąsiedzi wzdrygali się na odgłos upiornego krzyku, jakby pochodzącego od maltretowanego człowieka. Ale czy istotnie był to człowiek? Nie — na pewno nie powiedziałbym tego. Raczej nie, jak tak. A przecież ma się uczucie, że w tym domu dzieją się jakieś przerażające rzeczy. Prawie

mógłby detektyw przysiąc, że Barra razem z „Pająkiem” przeprowadzają jakieś tajemnicze plany.

Po wstaniu od stołu, goście podzielili się na kółeczka.

Asbjørn Krag szukał między obecnymi praktykanta leśnictwa. Lawirując między zebranymi zbliżył się detektyw do Dr. Hofta.

— Czy nie wiesz, dlaczego nie ma dziś praktykanta?

Dr. Hoft ruszył ramieniem.

— Jestem sam tym zdziwiony — odpowiedział Dr. Hoft. — Blinde należy do towarzystwa i obraca się w kołach ustosunkowanych.

— Ale „szwagrowa Walentyna” zna go — ironizował detektyw. — Widziałem jej ślady wiodące do jego mieszkania.

Odpowiedź przyjaciela nie zadowoliła detektywa. Za każdą cenę postanowił dotrzeć do prawdy i dowiedzieć się, dlaczego praktykanta nie ma. A spodziewał się jego tu spotkać.

Tuż obok niego przechodziła właśnie piękna Konstancja, usiłując wprowadzić miły nastrój pośród towarzystwa.

— Zdaje mi się — zagadnął ją detektyw, — że mąż pani zdobył sobie tutaj wiele przyjaciół i sympatyków.

— Ach, tak — odpowiedziała z westchnieniem gospodyni, patrząc równocześnie na detektywa.

— O ile wnioskuję, to przyszło do państwa wszystko, co żyje.

— Tak. Czy zna pan dużo osób z tego towarzystwa?

— Bardzo niewiele.

— 1 ja nie znam prawie nikogo — skarżyła się gospodyni. Jednak mój mąż życzył sobie tego zebrania. Dziś wieczorem zapowiedział mi znowu, że za parę dni odbędzie się jeszcze jedno przyjęcie. Będą również produkcje muzyczne. Brrr...

Pani Konstancja mówiła tak naiwnie i szczerze, że Krag omal nie roześmiał się. Krag postanowił zaryzykować.

— W towarzystwie tym jednak, mówił detektyw, brakuje jednego człowieka, a którego znam.

— Któż to jest taki? — Zapytała Konstancja, udając zainteresowanie, choć całe zachowanie się i sposób zapytania temu zaprzeczała.

Krag chciał powiedzieć: Siostra pani zna go. Ale się ukąsił w język i powiedział:

— Ten, o którym myślę, jest to młody sympatyczny człowiek. Nazywa się Blinde.

Twarz młodej kobiety zbladła jak płótno. Detektywowi zdawało się, że Konstancja zachwiała się i uchwyciła wiszącej obok portieri, aby nie upaść.

— Czy pani nie czuje się dobrze? — zapytał Krag.

— Tak... nie... to przejdzie... tak... dziękuję... już mi jest całkiem dobrze.

Pani Konstancja spojrzała na detektywa. W jej spojrzeniu leżało tyle beznadziejnej rozpacz, że detektywowi zrobiło się jej żal.

Więc wzmianka o praktykancie leśnictwa zrobiła na niej tak straszne wrażenie — myślał detektyw.

Asbjørn Krag podał ramię gospodyni. Szli wolno. Cała drżąca, usiłowała ukryć swoją bladą twarz w piórach wachlarza.

— Bardzo przepraszam, jeśli czymkolwiek panią dotknąłem. Zrobiłem to nieświadomie — tłumaczył się detektyw.

— Nie było to dla mnie nic niemiłego — zaprzeczyła Konstancja.

— O jedno tylko prosiłabym. Proszę to zrobić dla mnie — i nigdy, nigdy nie wspominać o tym memu mężowi.

— Nigdy nie powiem.

— A teraz chcę panu powiedzieć — mówiła Konstancja, oglądając się trwożliwie, czy ktoś ich nie podsłuchuje. Odjedź pan natychmiast — wracaj do Christianii. Radzę panu dobrze.

Asbjørn Krag zaniepokoił się.

— Czy zna mnie pani? — zapytał.

— Naturalnie. Pan nie jest tym za kogo się przedstawia. Pan jest detektywem. Mój mąż mi o tym powiedział.

Detektyw nie znalazł odpowiedzi.

— Czy uważa mnie pani za bojaźliwego? — zapytał.

— Nie — nigdy. Ale musi pan wyjechać. Strzeż się go pan!

— On?! On także nie jest tym, za kogo się podaje. On jest inżynier Barra!

— Zna go pan, zatem i w tej chwili jest on od pana silniejszym. A szczególnie teraz...

Konstancja zamyśliła się głęboko i powtórzyła:

— A szczególnie teraz...

— Zapewniam panią — mówił powoli Krag — że nie pozwolę się stąd usunąć; nigdy... nigdy... dopóki nie odkryję tajemnicy.

— Jakiej tajemnicy?

— Krzyku — tego nieludzkiego upiornego krzyku.

— Ach — to nie dla pana. A więc, jak powiedziałam... jedź pan.

Asbjørn Krag chciał jej odpowiedzieć, ale ta skinęła mu głową i weszła do sąsiedniego pokoju.

W myślach detektywa powstał szalony chaos. Nie wiedział co o całej sprawie sądzić. Szedł z pokoju do pokoju, oglądał wiszące obrazy i rozmawiał z gośćmi. Opanowała go szalona żądza odkrycia zagadki.

Co oznaczał ten krzyk? Czego chciał niemiecki agent? W jaki sposób spotkał się „Pająk” z inżynierem Barra? Co robi tajemniczy, na wpół zwariowany uczonek w tej okolicy? Jaka jest rola praktykanta leśnictwa? Dlaczego nie wolno mu wspominać tego nazwiska w obecności Barry. A później — najważniejsze, w jaki sposób zdobył ten wstrętny, obrzydliwy człowiek — tę czarującą istotę.

— Co pół godziny nowa tajemnica — myślał Krag. — Naturalnie, że każda zagadka stoi z sobą w ścisłej łączności. Ach, gdyby znać główne motywy! Jak łatwo można by to wszystko rozwiązać. Ale jak te motywy znaleźć?

Dr. Peters stanął naprzeciw detektywa.

— Nie ma innego wyjścia — rzekł niemiecki agent.

— O czym pan myśli? — zapytał Asbjørn Krag.

— Muszę pana prosić o pomoc.

— Stało się co?

— W jednym wypadku coś zaszło — odpowiedział Dr Peters.

Detektyw zauważył niepokój agenta.  
— Muszę się z panem później zobaczyć!  
— Chętnie, ale kiedy?  
— W godzinę po przyjęciu. Właściwie jestem tutaj gościem, ale pod pozorem nadania ważnych depeesz przenocuję w hotelu.  
— Zatem spotkamy się w hotelu.  
— Dobrze — albo u Dra Hofta. Wszak pan tam mieszka?  
— Tak. Nawet może będzie lepiej u Dra Hofta. Bliżej osiedli Folgefuchta. Być może, że wieczorem usłyszymy krzyk.  
Dr. Peters spojrział zdumiony.  
— Krzyk?  
— Tak krzyk. Czy nie słyszał pan jeszcze niczego o tym potwornym krzyku, wydobywającym się z tego budynku?  
Dr. Peters chwycił się za czoło.  
— Ja — powiedział agent — tak, to prawda, teraz rozumie nieco... ten krzyk...  
— Czym jest?  
— Później panu to wytłumaczę — brzmiała odpowiedź agenta.

## X

### CZŁOWIEK ZE STRZELBĄ

Poczęto się żegnać bardzo wcześnie. Miłego nastroju nie udało się stworzyć gospodarzom między gośćmi. Nawet Walentyna, mająca duże zalety towarzyskie, niczego nie zdziałała. Wszyscy zaproszeni wyczuwali ciężką, męczącą atmosferę.

Przy końcu zwrócił się gospodarz do odjeżdżających:

— Prosiłbym bardzo, aby łaskawi państwo zaglądnęli do nas za parę dni. Mój przyjaciel Dr. Peters chciałby usłyszeć narodową norweską muzykę.

Gdy goście wypraszała się, zabrał głos Dr. Peters:

— Kochany panie Folgefuchtel! Prośbę moją wyraziłem tylko warunkowo. Nie chciałbym bezwarunkowo krępować nikogo. Ponieważ jednak gospodarz był tak uprzejmy i już zamówił muzykę telegraficznie, przeto i ja przyłączam się do jego prośby, aby państwo raczyli mnie zaszczyścić swoją obecnością.

Nie pozostało gościom nic innego, jak tylko zapewnić, że przyjadą na wieczór muzyczny.

Pospiesznie opuszczano pałac.

Niemal ostatni wyszli detektyw i Dr. Hoft.

Folgefuchtel zachowywał się do końca tak, jak gdyby detektywa nie poznawał. Asbjørn Krag był jednak przekonany, że Barra poznał go na pierwszy rzut oka.

Zachwycająca gospodyni nie pokazała się więcej. Folgefuchtel tłumaczył ją chwilową niedyspozycją.

Miejsce gospodyni zajęła Walentyna.

Przez cały przeciąg przyjęcia zachowywała się ona z niezwykłą uprzejmością i ujmującą prostotą.

Ileokroć razy detektyw zetknął się z nią. Rozmawiali ze sobą, jak gdyby nic nie zaszło. Przy pożegnaniu podała mu rękę mówiąc:

— Do widzenia!

— Do widzenia — odpowiedział detektyw i równocześnie zniżył głos do szeptu, aby go nikt nie usłyszał.

— Nigdy nie przypuszczałem, że będę miał szczęście tutaj spotkać panią.

— Miałby pan więcej szczęścia, gdyby mnie pan nie spotkał — brzmiała odpowiedź Walentyny.

Przed domem czekały sanki na Dra. Hofta i detektywa. Z alei dolatywał brzęk dzwonek i odgłosy odjeżdżających sań.

Patrząc na gęste zarośla, ciągnące się około pałacu, zapowiedział detektyw przyjacielowi, że do domu powróci piechotą.

Dr. Hoft nie tylko się tą propozycją zdziwił, ale i przeraził.

Nie pomogły tłumaczenia, Asbjørn Krag był uparty.

Detektyw wszedł w długą aleję.

W parę minut później minęły go ostatnie jadące sanie Dra Holta. Doktor pozdrowił przyjaciela. Pogrążony w własnych myślach, odpowiedział detektyw ukłonem.

Wreszcie długi szereg jadących sań znikł na horyzoncie. Krag stanął i patrzył długo uważnie, badając okolicę, a kiedy się przekonał, że nikt go nie szpieguje, rzucił się pędem w stronę lasu, gdzie wkrótce utonął. Możliwie cicho grzązł w śniegu. Co chwilę przystawał, nadśluchiwał i szedł dalej.

W pobliżu domu stały ogromne drzewa. Grube ich pnie były dla detektywa doskonałą kryjówką.

Asbjørn Krag był pewny, że coś wypatrzy. Goście rozjechali się, a domownicy nie spodziewali się szpiegowania.

Zaledwie tylko detektyw ukrył się za drzewem, usłyszał kroki stąpające po ubitej ścieżynie, wiodącej prawie pod próg domu praktykanta leśnictwa.

Ktoś szedł ostrożnie, zatrzymywał się chwilami i znów szedł dalej. Zupełnie jak kroki słyszane tak nie dawno.

Także i tej nocy świecił księżyc bardzo jasno. Na śnieżno białych polach kładły się fioletowe ci nie. Zarośla jednak były czarne i nieprzenikliwe.

Nagle Krag zobaczył w poświacie księżycy człowieka. Był to mężczyzna wzrostu średniego, ubrany w sportowy garnitur ze strzelbą na ramieniu.

Strzelec stał na wzniesieniu i patrzył w kierunku pałacu.

Detektyw widział doskonale profil jego twarzy. Strzelec był w średnim wieku, o ostrych rysach, szczupły i zgrabny.

Na ciemnym tle lasu strzelec nie mógł być widzialny z okien pałacu. Natomiast detektyw ukryty w cieniu drzew widział go znakomicie.

Obserwowany zrobił kilka kroków na lewo, stanął i znów patrzył. Okna w pałacu były ciemne, wokoło panował spokój. Nieznajomy pozostał nieruchomo prawie przez dziesięć minut. Jakby z okna doleciał ich uszu trzask.

Psy zaczęły cicho warczeć i gniewnie szczekać. Wkrótce potem otworzyło się okno cicho, ostrożnie, prawie bez szelestu. Detektyw widział dokładnie, gdyż otwarte okno znaczyło się na tle budynku ciemną plamą. Okno otworzyło się tylko na sekundę. Asbjørn Krag widział jak wysunęła się biała ręka i okno zamknięto znów cicho i ostrożnie jak przedtem.

Lecz tym razem nie było trzasku. Widoczne otwierające okno nie odważył się go całkiem domknąć, może z obawy, aby nie zwrócić na siebie uwagi.

Człowiek ze strzelbą zniknął detektywowi z przed oczu. Asbjørn Krag już miał zamiar szukać go w gęstwinie, gdy nagle nieznajomy wynurzył się z pośród drzew. Zbliżał się on ku oknu.

Asbjørn Krag śledził z napięciem, co się dalej stanie.

Czyżby mężczyzna chciał wtargnąć przez okno? Mężczyzna ze strzelbą działał bardzo ostrożnie. Jednak skrzyp śniegu obudził czujność psów. Psy

usłyszały jego kroki i głośniej poczęły warczeć, wreszcie zajadłe szczekać. Nieznajomy stanął bezradnie, nie wiedząc, co zrobić. Wreszcie zdecydował się i w kilku susach dopadł okna.

Detektywowi zdawało się, że strzelec wdrapie się na sztachety i wlezie przez okno.

Nie stało się tak jednak.

Nieznajomy schylił się i szukał czegoś na śniegu. Widocznie znalazł, gdyż schował do kieszeni i biegł tą samą drogą z powrotem. Psy warczały i ujadły coraz to głośniej. W domu obudzili się mieszkańcy, zabłyśły w oknach światła.

Kraga w tej chwili interesował strzelec. Detektywa nie obchodziło, co w pałacu dzieć się będzie.

Śladu strzelca nie mógł detektyw stracić. Roztrącone gałęzie drzew znaczyły doskonale drogę, kędy nieznajomy uciekał. W gorszym jednak znalazł się detektyw położeniu, gdy doszli do gościńca.

Asbjørn Krag musiał użyć wszystkich środków ostrożności, aby go nieznajomy nie zauważył.

Strzelec jednak nie oglądał się poza siebie. Po kwadransie drogi skręcił on na boczną drożynę, która prowadziła do domu.

Asbjørn Krag nie ścigał go więcej. Detektyw poznał dom i wiedział teraz kim był strzelec.

Dom należał do praktykanta leśnictwa Blindego, a ponieważ Blinde tylko sam ten dom zamieszkiwał, detektyw był pewnym, że ściganym mężczyzną był Blinde.

— Czego jednak Blinde chciał? — myślał Krag. — Zdaje się, że nie miał on zamiaru wtargnąć przez okno, raczej chciał otrzymać jakąś wiadomość. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że przez otwarte okno wyrzucono list. Tego listu Blinde szukał i znalazł go.



Ale kto ten list pisał? „Pająk?” Czy też młoda pani, która w ten sposób ze światem komunikuje się.

Po tym co zaszło, zarówno jedno jak i drugie było możliwe. Detektyw postanowił poznać osobiście praktykanta leśnictwa. Kiedy Krag powrócił z powrotem pod pałac, w oknach było ciemno, a wokoło panował spokój. Po gwałtownym ujadaniu psów nastąpiła cisza.

Podczas swej wycieczki Asbjørn Krag unikał każdego szmeru. Dlatego szedł on po głębokim śniegu.

Chwilę stał Krag w gęstwinie parkowej przed budynkiem, a kiedy nic się nie poruszało, wszedł detektyw w las, dotarł do gościńca i stanął przed willą doktora.

Willą była oświetlona i doktor Hoft wyszedł naprzeciw przyjaciela do przedpokoju.

— Obawiałem się o ciebie — rzekł doktor Hoft. — Po tym co zaszło, można się najgorszego spodziewać.

— Masz zupełną słuszność — odpowiedział Krag — dlatego byłem tak ostrożny, że przez cały czas kryłem się w cieniu drzew, gdzie by mnie nawet kula bezgłośnie z pistoletu nie dosięgła.

Dr. Hoft nie rozumiał znaczenia tych słów, a Krag nie tłumaczył mu ich wcale.

Kiedy detektyw wszedł do salonu, podniósł się pan z krzesła stojącego pod oknem.

Był to niemiecki agent Dr. Peters.

— Byłem pewny, że pan jest tutaj — mówił Asbjørn Krag. — Czy Barra wie, że pan jest tutaj?

— Nie — on przypuszcza, że jestem w hotelu. Sanki moje pojechały próżne.

— Zatem tutaj możemy porozumieć się swobodnie?

— Tak jest.

— Czy sądzi pan, że Barra dowie się o naszym spotkaniu?

— Czy on się dowie, jest to dla mnie zupełnie obojętne, jestem tylko zmuszony strzec własnych interesów.

Detektyw usiadł naprzeciw Dra Petersa.

— Czy sprawy aż tak szybko rozwijają się?

— Jestem coraz bardziej niespokojny — odpowiedział Dr. Peters.

— Prawdopodobnie ma pan do tego powody?

— Sądzi pan?

— Zapewne, jeżeli ma się do czynienia z takimi ludźmi jak Barra i Walentyna.

— Ta jest najgorsza — powiedział Dr. Peters. — Jej obecność napełnia mnie szaloną nieufnością. Nazywają ją także „Pajakiem”.

Asbjørn Krag potwierdził skinieniem głowy.

— Ona jest przyzwyczajona do ogromnych sum.

— I do ich marnotrawienia — dopowiedział detektyw.

— Walentyna jest to czysty diabeł — zauważył Dr. Peter. Jest ona olśniewająco piękna, ale mimo tego nie jest człowiekiem. Kiedyś wspominał mi pan, że ma wystarczające powody, ażeby ją przyaresztować.

— Tak jest — przed dwoma laty przebywała ona w Christianii. Jestem przekonany, że cała jej działalność była zbrodniczą! Jednego człowieka zrujnowała, innego doprowadziła do samobójstwa; tylko nieszczęście szerzyła wkoło siebie. Mógłbym ją ciężko oskarżyć i przeprowadzić dowód winy przed sądem.

— Nie wolno jednak jej panu aresztować — zdecydował Dr. Peters — a głównie inżynier Barra nie śmie być ruszony!

— Dlaczego nie?

Dr. Peters spojrzął wokoło siebie.

— Czy może kto naszą rozmowę podsłuchać?

— Nie — Dr. Hoft poszedł do pokoju swej żony.

— Zatem panu powiem. To byłoby wbrew interesom mojego rządu.

— A zatem rząd pański musi mieć bardzo ważne sprawy do inżyniera Barra?

— Pytał się mnie już pan o to. Dlatego też przyszedłem, aby całą sprawę panu wyświetlić i równocześnie prosić o pomoc. Panie Krag! Ja powierzam panu wielkiej wagi tajemnicę. Pan mnie rozumie...

Asbjørn Krag spojrzął tylko na agenta. Agent zrozumiał to spojrzenie i mówił dalej.

— Dobrze — zatem panu wierzę. Zanim jednak przejdę do rzeczy, chciałbym wiedzieć, co zauważyli tutejsi mieszkańcy, co opowiadają i co sądzą.

— Główną rzeczą, na którą sąsiedzi zwrócili uwagę — mówił detektyw — jest nieludzki, upiorny krzyk, rozlegający się przeważnie nocą.

Agent skinął głową.

— Wyobrażam sobie, ale mów pan dalsi.

— Świergocą wróble o tym na dachu, że do Folgefuchtlą przywieziono trumnę.

— Trumnę?

— Tak jest trumnę i to niezwyklej wielkości. Trumnę tę przywieziono z niezwyklej ostrożnością. Barra sam był obecnym przy przewożeniu i mówił o niej jak o żyjącej istocie.

Dr. Peters roześmiał się.

— To podobne do niego. On mówi o tym jak o swoim dziecku.

— O trumnie czy też jej zawartości?

— Właściwie nie jest to żadna trumna.

— Podobnie i mnie się zdawało!

— Ten przedmiot ma otwory. Czy nie prawda?

— Istotnie — potwierdził Krag. — Pan jednak obiecał wyświetlić istotę krzyku.

— Krzyku? Powiem panu, to jest...

W tej chwili rozległ się krzyk. Cichł, potężniał i leciał z pałacu potworny krzyk, ścinający krew w żyłach swoją dysharmonią. Napełniał on powietrze grozą i boleścią, jakby całego świata

Na progu stanął blady i rozstrojony Dr Hoft.

Doleciał go suchy dźwięk głosu agenta. Słowa te brzmiały dziwnie wobec otaczającej grozy. Agent powiedział tylko:

— Istotnie — Barra jest zupełnie bezwzględny.

## XI

### TRUDNE ZADANIE

Dr. Hoft wszedł do pokoju.

Suche słowa rzucone przez agenta zastanowiły go.

— Nazywa to pan bezwzględnością? Przecież to jest zupełnie potworne!  
Przysłuchaj się pan tylko temu krzykowi!

Dr. Peters poruszył obojętnie ramionami.

Krzyk doszedł do punktu kulminacyjnego i nagle zamarł. Ostatni jednak dźwięk długo brzmiał w uszach siedzących w pokoju.

Asbjørn Krag zwrócił się do Dra Petersa.

— Krzyk ten przypomina nieco głos ludzki, jest jednak o wiele silniejszy i nie jest prawdopodobnym, aby pochodził od jednego człowieka.

Detektyw zwrócił się do przyjaciela.

— Żeby tylko twoja żona nie złąła się znowu.

— Już idę — odpowiedział doktor i zniknął za drzwiami pokoju.

— A zatem jesteśmy znów sami — mówił Dr. Peters. — Szczególny zbieg okoliczności, że właśnie w chwili, gdy chciałem wyjaśnić całą sprawę, przeszkodził nam krzyk.

— Zanim rozpocznie pan opowiadać, prosiłbym o zamknięcie okna — powiedział Krag.

Dr. Peters spojrział na detektywa zdziwiony.

Wszak Asbjørn Krag otworzył okno i grzeczność nakazywała sam je zamknąć, a nie polecać to gościowi.

— Ja tymczasem postawię lampę na stole — tłumaczył się Krag tak głośno, że słowa musiałby słyszeć człowiek stojący pod oknem.

— Czy sądzi pan, że komuś zależy na tym, aby mnie w oknie zobaczyć? — zapytał Dr. Peters.

— Nie wiem tego dokładnie, lecz mój interes osobisty wymaga, aby człowiek, kryjący się ewentualnie w cieniu drzew, widział doskonale, że nie ja zamykam okno.

Agent spojrział uważnie na Asbjørna Kraga. Detektyw stał spokojnie, lekko poświstując.

— Czy doszło aż do tego? — zapytał Dr. Peters.

— Tak jest. Wczoraj na przykład strzelano do mnie z bezgłośnego pistoletu, czy też karabinu.

Dr. Peters cofnął się o krok.

— Czy widział pan tę broń? — zapytał agent.

— Nie — zaprzeczył Asbjørn Krag. Nie słyszałem nawet huku. Doleciał mnie tylko poświst kuli i brzęk rozbitej lampy oraz zwierciadła.

Asbjørn Krag przypatrywał się agentowi bardzo uważnie i zdawało mu się, że przez twarz Dra Petersa przesunęły się błyski zadowolenia.

— Skąd pan jednak ma pewność, że to strzelał inżynier Barra?

— Tego nie powiedziałem.

— Zdawało mi się jednak, że...

— To nie mógł strzelać Barra, gdyż w tym czasie, kiedy padły strzały, jeździł on po pana na dworzec kolejowy.

— Któż zatem u licha mógł strzelać?

— Mam nieprzyjaciela, który mnie bardziej nienawidzi, aniżeli inżynier Barra

— Naprawdę? Któż to jest taki?

— Ona — Walentyna — szwagrowa — odpowiedział detektyw

Dr. Peters skinął ręką i mruzczał:

— Tak jest — Wierzę niezbcie, że im więcej się o niej myśli, tym bardziej staje się niebezpieczną.

Niemiecki agent chodził po pokoju i nagle zatrzymał się przed detektywem.

— Dlaczego mnie pan teraz nie zapyta o istotę tego krzyku?

— Ponieważ chcę, aby pan powiedział mi sam dobrowolnie.

— Częściowo już pan to osiągnął.

— Długo o tym krzyku rozmyślałem — mówił detektyw — i przyszedłem do przekonania, że człowiek nie jest w stanie tak krzyknąć. Krzyk ten nie może bezwarunkowo pochodzić od żyjącej istoty. Raczej może w daje go jakieś mechaniczne urządzenie. Podejrzenia moje utwierdziły się, gdy w Folgefuchtlu poznałem inżyniera Barrę. Niewątpliwie należy on do najgenialniejszych eksperymentatorów świata. Niestety geniusz jego służy tylko złu.

Dr. Peters potwierdził skinieniem głowy.

— Proszę — niech pan dalej mówi — zachęcał agent.

— Nie — odpowiedział detektyw — teraz ja z kolei poproszę o dalsze wyjaśnienia.

Dr. Peters oglądnał się znów wokoło, a następnie otworzył drzwi, aby przekonać się, czy kto nie podsłuchuje.

— Czy nie słyszał pan nigdy o torpedzie powietrznej? — zapytał cicho agent niemiecki.

Asbjørn Krag spojrział zdumiony.

— Nie — nie słyszałem o tym wcale. Czy inżynier Barra zajmuje się nią?

— Tak jest — potwierdził Dr. Peters. — Kiedyś wspomniał pan do mnie, że inżyniera Barrę zalicza do najgenialniejszych eksperymentatorów świata. Tak jest, ma pan najzupełniejszą rację. Ten człowiek ma niespożyte zasługi, głównie w dziedzinie techniki wojennej. On to rozwiązał problem bezgłośnego strzału. Barra uczynił wiele dla mojego rządu. Co prawda płaciliśmy dobrze, ale on może nas bardzo wiele kosztować. Pan mnie rozumie. — My nie wierzyliśmy mu zbyt nigdy, a teraz, gdy związał się z tą straszną kobietą, wierzymy jeszcze mniej. Jak ważnym dla nas jest wynalazek inżyniera zrozumie pan, gdy powiem, że jutro wypłacę mu sumę 250. 000 Mk.

Detektyw aż podskoczył na krześle.

— Tego pan nie zrobił — krzyknął detektyw.

— Jednak to się stać musi! Jest to czwarta jego rata za torpedę powietrzną. Całe honorarium jego wynosi 1,000.000 Mk, z czego 750.000 już otrzymał.

— Wysokość wynagrodzenia jest niemal nieprawdopodobną.

— Tak jest, ale i torpeda jest zupełnie genialnym wynalazkiem. Moje ministerium wojny oczekuje pierwszego modelu z drżeniem serca.

— Dlaczego chce mu pan wypłacić tak wysoką sumę, skoro pan nie wierzy?

— Widziałem jego rysunki. Zresztą nie mam innego wyboru. Wręczając nam swoje szkice udzielił nam tylko 24 godzin do namysłu, a równocześnie zagroził, że jeżeli po upływie tego czasu nie damy stanowczej odpowiedzi lub zwlekać będziemy z oddaniem jego rysunków, zwróci się do Anglii z prośbą o interwencję. Na wniosek ministra wojny, postanowił rząd wypłacić 1,000.000 Mk. z funduszy dyspozycyjnych w ten sposób, że 250.000 Mk. otrzymał Barra zaraz i co trzy miesiące otrzymywał po 250.000 Mk. Ostatnią ratę mieliśmy mu zapłacić po złożeniu modelu. Model obecnie jest już gotów. Długo wahaliśmy się, ponieważ mamy do tego człowieka coraz to mniejsze zaufanie. Jednak termin spłaty ostatniej raty nie da się już więcej przesunąć. Wiemy dobrze, że gdyby Barra zauważył tylko jakiś cień niechęci dotrzymania umowy, sprzedałby natychmiast swój wynalazek komuś innemu.

— A więc to torpeda powietrzna wydaje ten straszny krzyk? — zapytał Asbjørn Krag.

— Tak jest. — Jednak szczegółów mechanizmu nie umiem panu opisać. Na ogół jest ona zbliżona do torpedy wodnej. Ma kształt cygara, po bokach skrzydła i jest zakończona śmigłą. Cały przyrząd porusza się za pomocą ściśnionego powietrza, co jest właśnie wynalazkiem inżyniera. I właśnie to zgęszczenie powoduje hałas, znany w całej okolicy pod nazwą upiornego krzyku.

Krzyk ten jednakowoż nie pochodzi z gabinetu inżyniera, ale z powietrza. Dach pałacu ma otwór z zewnątrz niewidzialny. Początkowo torpeda i poruszała się po linii, umieszczonej na dachu. Od kilku jednak dni porusza się już bez uwięzi.

— Czy torpeda powietrzna wraca zawsze do tego samego miejsca skąd wyleciała?

— Tak — i na tym właśnie polega genialność wynalazku. On to wynalazł torpedę sterującą. Pierwszych dziesięć minut kieruje się nią za pomocą fal elektrycznych. Pan rozumie niewątpliwie, jakie ogromne znaczenie ma dla nas ta torpeda i jaką rolę odegrają w przyszłej wojnie podobne wynalazki.

— Rzeczywiście. — Wynalazek ten jest wart miliona marek — powiedział Krag.

— Nie ulega żadnej wątpliwości. I wypłacilibyśmy inżynierowi milion marek, gdybyśmy byli pewni, że ta torpeda dostanie się w nasze ręce. Ale właśnie w to wątpimy. Ustaliliśmy mianowicie, że Barra znajduje się w bardzo trudnym położeniu finansowym.

— Mimo ogromnych sum, które inżynier otrzymał?

— Pomimo tego. — Na ogół pieniądze nie przedstawiają dla niego dużej wartości. W ostatnich jednak czasach wydawał wprost zawrotne sumy. Jakaś chorobliwa mania rozrzutności. Podejrzewamy, że powodem takiego marnotrawstwa jest „Pająk”, w którego sieci dostał się inżynier. Ona gotowa wyssać go do ostatniej koszuli, a następnie popchnąć do zbrodni.

— O jakiej zbrodni pan myśli?

Dr. Peters zamyślił się głęboko, a następnie powiedział wolno, akcentując dobitnie niemal każde słowo.

— Walentyna gotowa go na przykład nakłonić do zbrodni sprzedaży swego wynalazku innemu państwu.

Asbjørn Krag powstał z krzesła i przeszedł się po pokoju.

— Czy ma pan podejrzenia w tym kierunku? — zapytał detektyw.

— Tak jest — odpowiedział Dr. Peters. — Nieufność jest silnie uzasadnioną, nie mamy jednak nic pewnego. Kiedy inżynier Barra zawarł umowę z moim rządem, postanowiono, że wyprowadzi się on w jakąś odludną okolicę i tam zamieszka. Nikt o tym nie miał wiedzieć. Barra wybrał tę okolicę i urządził się w ten sposób, że wszystkie składowe części torpedy przetransportował w dużej pacy podobnej do trumny. Od czasu do czasu przyjeżdżałem tutaj, aby go kontrolować. Mimo tego, że go osobiście nie znoszę, nie mogłem mu niczego zarzucić. Nagle jednak pokazuje się, że nie wszystko jest w porządku.

— W jaki sposób dowiedział się pan o tym?

— Przez dyplomatyczną tajną policję. Mogę spokojnie powiedzieć, że jest ona równie dzielna i podstępna jak policja kryminalna. Ponadto rozporządza ona dużą ilością ludzi inteligentnych.

W rzeczywistości nic nie może się ukryć przed jej baczynym okiem. Jej cień wciska się w korytarze poselstw, podsłuchuje pod drzwiami gabinetów, wyłapuje depesze telegraficzne i telefoniczne. Znajduje się w urzędach pocztowych i dziurkuje bilety w pociągach, w których jadą kurierzy. Nie można jej nigdzie zobaczyć, a jest wszędzie. Przez tę właśnie policję dowiedzieliśmy się, że rząd obcego państwa zna zarówno eksperymenty jak i torpedę inżyniera.

Detektyw spojrział zdziwiony na Dra Petersa.

— Oczywiście — ciągnął dalej Dr. Peters, — że obce państwo zna wynalazek tylko w najogólniejszych zarysach, wie następnie, że Barra pracuje nad takim wynalazkiem oraz, że Niemcy ten wynalazek finansują.

— Istotnie — jest to bardzo poważna rzecz — rzucił detektyw. — Przyjmujemy jednak, że to się już stało.

— Co — że nas podeszli i Barra pracuje dla innego państwa?

— Tak jest — i cóż byście panowie zrobili w tym wypadku?

— Poruszylibyśmy niebo i ziemię, aby ten wynalazek zdobyć.

— Inne państwo zrobiłoby to samo bez wątpienia. Ale o jakim państwie pan myśli?

Agent nachylił się do ucha detektywa i nazwał państwo.

Asbjørn Krag skinął głową, że zrozumiał.

— Państwo to — mówił detektyw — ma również taką samą dyplomatyczną policję, jak pański rząd. A gdyby tak to państwo ofiarowało inżynierowi dwa miliony za torpedę powietrzną?

— Wówczas Barra sprzedałby swój wynalazek bez wahania i to tym więcej, że słucha we wszystkim tej strasznej kobiety.

— Czy mogę panu postawić jedno ważne pytanie?

— Proszę.

— Z jakich powodów przyjechał pan tak nagle do Norwegii?

— Istotnie, jechałem tutaj na złamanie karku z dwóch powodów. Pierwsze to zapłacenie inżynierowi ostatniej raty, a drugi... no... tak... a ten drugi dotyczy pewnej osoby. Przypuszczalnie nie zna pan jej zupełnie, gdyż nigdy nie słyszał o niej. Jest to Żyd Stefan.

— Żyd?

— Tak rosyjski Żyd. On to stoi właśnie na usługach dyplomatycznej policji państwa, o którym panu wspomniałem. Jest on najniebezpieczniejszy ze wszystkich agentów. On to kieruje całą akcją i jest motorem.

— I?

— Otóż dowiedzieliśmy się, że Walentyna Kampel spotkała się z Żydem Stefanem w Hamburgu, gdzie odbyli godzinną konferencję. Bezpośrednio po tej rozmowie wyjechała ona do inżyniera.

— A zatem nieszczęście jest pewne.

— Bez wątpienia — dlatego zwracam się do pana.

— Co mam uczynić? — zapytał Krag.

— Podejmie pan walkę z Żydem Stefanem, z „Pajakiem”, no i z inżynierem, jeśli zajdzie tego potrzeba. Musi pan przeszkodzić, aby wiadome panu państwo wynalazku tego nie kupiło, zaś nam ułatwić tegoż nabycie.

— To zadanie jest bardzo ciężkie.

— Pewnie — ale równocześnie i szczytne. Czy zgadza się pan zatem?

— Tak — odpowiedział Krag, nie poruszywszy nawet powieką. — Kiedy torpeda ma być gotową?

— W trzech dniach.

— Pięknie. Dramat zatem rozegra się w tym czasie. A że będzie to dramat, jestem o tym święcie przekonany.

Asbjørn Krag powstał z krzesła i wyprostował członki, aż zatrzeszczały stawy i roześmiał się, pokazując dwa rzędy białych, zdrowych zębów.

## XII

### POWIETRZNA TORPEDA

Było już późno i agent, który poprzedniej nocy spał niewiele, zapragnął udać się na spoczynek.

Zawiadomiony o tym Dr. Hoft, zaprowadził agenta do jego pokoju. W salonie pozostał jeszcze detektyw, paląc z przyzwyczajenia papieros za papierosem.

Cała sprawa dopiero teraz obudziła żywe zainteresowanie w Asbjørnie Kragu.

Z wieloletniego doświadczenia detektyw wiedział, jak zręczne, a równocześnie be względne są międzynarodowe intrygi. Zwykli zbrodniarze byli to zwyczajnie osobnicy wyjęci z pod prawa. Natomiast dyplomaci byli nie tylko pod ochroną prawa, ale jeszcze każde państwo chroniło swoich ludzi potężnymi wpływami.

Dr. Peters wyraźnie podkreślił, że policja nie śmie wmieszać się w całą sprawę, a zatem aresztowanie inżyniera czy też „Pająka” było niemożliwe.

Asbjørn Krag postanowił najpierw podjąć walkę przeciw Walentynie Kampel.

Detektyw by pewnym, że Walentyna życzyła sobie śmierci Krag a i pragnęła go usunąć ze swojej drogi, a szczególnie teraz, gdy jej pozycja była wyjątkowo szczęśliwa.

Następnie musiałby usunąć Żyda rosyjskiego, Stefana, mającego do swej dyspozycji cały zastęp tajnej policji swojego państwa. W końcu zostawała mu walka z genialnym, jednakowoż na wpół zwariowanym inżynierem, znanym ze swego okrucieństwa i mściwości. Wszystko troje poruszy niebo i ziemię, byleby tylko detektywa unieszkodliwić.

A gdyby nawet udało mu się wygrać walkę z tymi trzema potężnymi przeciwnikami, to któż mu zaręczy, że w międzyczasie nie wypłynie czwarty osobnik?

Być może, że będzie to nawet sam Dr. Peters tym niebezpieczniejszy, że wtajemniczony we wszystkie arkany.

Pośród tego morza intryg stał Asbjørn Krag sam.

Na pewno mógł na razie detektyw liczyć na Dra Hofta. Ale jak to może trwać długo?

Takie stosunki zdecydowały, że detektyw postanowił wezwać pomocy. Należałoby przypuszczać, że detektyw zwróci się do najwybitniejszych agentów w Christianii.

Tak się jednak nie stało.

Krag prosił telefonicznie o nadanie następującej depeszy:

„Oddział detektywów — Christiania.

Wysłać Jens'a. Krag.”

Jens był to młody człowiek, urodzony i wychowany w jednej z najniebezpieczniejszych ulic miasta.

Krag spotkał się z nim w zakładzie poprawczym i widząc nadzwyczajny spryt chłopca, wziął go do siebie jako pomocnika. Jens był ślepo przywiązany do swego zwierzchnika i brał zawsze udział we wszystkich niebezpieczniejszych sprawach.

Po nadaniu depeszy Asbjørn Krag położył się na sofce i natychmiast usnął.

Jak na dziś, detektyw miał dość.



\* \* \*

Nazajutrz rano detektyw siedział już w pokoju, , paląc papierosy, gdy do pokoju wszedł Dr. Peters.

Detektyw wrócił właśnie z dworca kolejowego w Friedrichshald, dokąd wyszedł naprzeciw Jens'a, który przyjechał rannym pociągiem.

Jens siedział w pobliżu drzwi. Ubranie jego było zniszczone. W tym zbytkownie urządzonej pokoju Jens nie czuł się dobrze.

Kiedy Asbjorn Krag przedstawiał Dr. Petersowi pomocnika, agent skrzywił się nieznacznie. Jens zauważył to natychmiast i spojrzał na niego oburzony.

— Jak się spało panie doktorze ? — zapytał Krag.

— jak najgorzej — odpowiedział agent — ciągle przychodziła mi na myśl cała sprawa.

— Ja także o niej myślałem i właśnie dlatego spałem doskonale.

— Do jakiego pan doszedł przekonania?

— Ze trudno kryć już dłużej.

— Jak to pan sobie wyobraża?

— Musimy pójść do inżyniera i powiemy mu szczerze o wyniku naszej rozmowy. Jestem przekonany, że Barra wie o naszej dłuższej rozmowie. Jedźmy natychmiast i powiedzmy mu o naszych podejrzeniach.

— A jeśli są one niesłuszne?

— Może pan być pewnym, że podejrzenia nasze nie są nieusprawiedliwione najprostszą drogą będzie całą prawdę powiedzieć. Poza tym jest bardzo ważną sprawą, aby Barra i „Pająk” wiedzieli, że z panem współpracuję. Niech oni wiedzą, że zwrócone ostrze przeciwko mnie, zwraca się równocześnie przeciwko panu.

— Czy obawia się pan ich zemsty?

— Nie — zemsty Walentyny nie obawiam się wcale. Raczej ona powinna mnie bać się. Wiem jednak, że najwyższym jej pragnieniem jest usunąć mnie ze swej drogi. Powiedzenie pana wzmocni tylko moje stanowisko.

— Dobrze — zastosuję się do pańskiego życzenia.

Chwilę jeszcze rozmawiali oni ze sobą, a następnie ruszyli w drogę do Barry.

Śnieg topił się pod nogami i rześiste kropę wody spadały z drzew. Niespodziewanie nastąpiła odwilż. Ciepły wietrzyk wiał od strony morza. Szła wiosna. Jeszcze kilka dni takiej pogody, a śnieg znikłby bez śladu.

Obaj mężczyźni szli z rozpiętymi okryciami.

W domu Folgefuchta, względnie inżyniera Barry szło wszystko zwyczajnym trybem.

Psy poruszały się ociężale i pozwoliły mężczyznom wejść na podwórze. Asbjørn Krag lubił zaprzyjaźniać się ze stworzeniami, głaskał je przyjacielsko po głowach i ciągnął za uszy.

Psy zadowolone biegały wokoło i wywijają ogonami. Z okien pałacu nikt przybyszów nie zauważył. Natomiast Krag ujrzał rządcę, który szedł od stodoły.

Inżynier Barra przywitał gości z rozwartymi rękoma.

— Ach — jakże mi jest miło widzieć znów panów — mówił gospodarz.

— Przychodzimy w pewnej sprawie — podkreślił detektyw.

— Domyśliłem się tego. — Dopiero godzina dziesiąta, proszę usiąść.

Barra był znowu dawnym brudnym człowiekiem. Nieogolony, bez kołnierzyka, o rozburzonych włosach i ubrany w stary, obrzydliwy płaszcz. Inżynier nie wyglądał zachęcająco.

„Pająk” i młoda pani nie pokazali się wcale.

Dr. Peters był poważnym, czując niemiłe położenie.

— Przyszliśmy w bardzo ważnej sprawie, lecz najpierw muszę pana prosić, aby nas źle nie zrozumiał.

Inżynier nie odpowiedział. Stał przed nimi, patrząc na jednego to na drugiego.

— Chciałem panu powiedzieć — mówił Dr. Peters, wskazując na detektywa — że ten pan nie jest tym, za kogo podał się pierwotnie.

Barra skinął głową.

— Wiem o tym — powiedział — jednak nie dziwiłem się temu wcale. Myślałem, że ten pan, podobnie zresztą jak i ja ma ku temu ważne powody, aby ukryć prawdziwe nazwisko. Ja tego pana znam, to jest detektyw Krag. Myśmy się spotkali już przedtem.

Asbjørn Krag nie odpowiedział. Uważał on ponowne przedstawienie się za zbyteczne.

— Przyszedłem pana zawiadomić, że pański wynalazek jest w niebezpieczeństwie — powiedział agent.

— Mój wynalazek? — Czy pan rozmawiał już może o nim z panem Kragiem?

— Tak jest

— Czyżby właśnie dlatego mój wynalazek był w niebezpieczeństwie?

— Panie Barra — rzucił agent ostro — proszę nie zapominać, że pan Krag jest w mojej służbie,

— Na pańskim żołdzie?

Dr. Peters powstał rozgniewany z krzesła.

— Jeśli dobrze rozumie Dra Petersa — rzucił detektyw — to myślał on o przygotowaniach, które zmierzają do wykradzenia panu genialnego wynalazku, powietrznej torpedy.

— Dlaczego nie nazwie pan mego wynalazku „upiornym krzykiem” — drwił Barra.

— Sytuacja nie zasługuje wcale na żart — zaznaczył Dr. Peters.

— Być może — ale śmiać mi się chce na samą myśl, że ktoś odważyłby się wykraść mój wynalazek.

Inżynier Barra splótł ręce, uśmiechając się ironicznie.

— Co? — u inżyniera Barry odważyłby się ktoś skraść wynalazek?

— Jednak istnieją panie inżynierze potężne siły!

— Jakie siły ?

— Powiedzmy, że „w drugim obozie” — odpowiedział Dr. Peters, równocześnie głową wskazując kierunek. Nie chcę rzucać grochu o ścianę. Ja kieruję się zawsze pewnymi danymi, opartymi na spostrzeżeniach,

zapodaniach oraz wskazówkach. Pan wie dobrze, Jak doskonałą mam służbę wywiadowcą i przez nią trafiłem na ślad.

Barra zamyślił się głęboko.

— Tak — mówił inżynier, chodząc po pokoju i obserwując z pod oka detektywa.

— Na razie zwróciłem się do pana Kraga z prośbą, aby zaopiekował się powietrzna torpedą.

Czoło inżyniera pokryło się zmarszczkami.

— Niepotrzebnie pan to zrobił — powiedział zachmurzony Barra.

— Jestem innego przekonania — odpowiedział Dr. Peters. Otrzymuję polecenia, do których muszę się zastosować. Jutro wypłacę panu 250.000 Mk., będzie więc razem 1,000.000 Mk. Jest to bardzo, a bardzo poważna kwota i nie chciałbym, aby przepadła wskutek naszego niedbalstwa czy też nieostrożności.

— Co — wskutek nieostrożności? Jak pan może nawet o czymś podobnym myśleć — oburzał się inżynier. — Czy mogę panów poprosić, aby oglądnęli moją „jaskinię”?

Asbjørn Krag podniósł się natychmiast z krzesła. On dawno i niecierpliwie oczekiwał podobnego zaproszenia.

Barra przeszedł przez pokój i stanął przed ciężkimi żelaznymi drzwiami, prowadzącymi do jego gabinetu.

— Proszę zapukać — zaproponował Barra.

Asbjørn Krag zapukał palcami i przyszedł do przekonania, że drzwi są zrobione z silnej blachy stalowej.

— Dobrze — a teraz zbadał pan zamek.

Detektyw schylił się i oglądał chwilę starannie, wreszcie wyprostował się.

— Zamek ten można dopiero otworzyć, znając litery, względnie słowo. Otworzyć go bardzo trudno, przyznaję, lecz można drzwi wysadzić.

— Bardzo słusznie — lecz kto to ma w moim domu uczynić?

Dr. Peters mruzczał pod nosem, że ostatecznie każde drzwi można wysadzić, ale tym razem inżynier nie odpowiedział mu wcale.

Barra nachylił się nad zamkiem, ustawił zręcznie litery i obrócił wielką klamkę. Drzwi wolno otworzyły się.

— Proszę wejść — zapraszał uprzejmie gospodarz, robiąc równocześnie wolne przejście.

Dr. Peters chciał już wejść do gabinetu, gdy nagle zwrócił uwagę na trzymany w ręku Barry przedmiot.

— Co u licha trzyma pan w ręku, panie inżynierze ?

— Rewolwer — odpowiedział uśmiechając się Barra — nabity rewolwer. Kiedyś przysiągłem sobie, że dopóki znajduje się w mojej pracowni torpeda, nie wejdzie do niej żadna żyjąca istota. A jednak doszło do tego, że jestem przy tym, co prawda z rewolwerem w ręku, jak wchodzi obcy ludzie. Nigdy nie jest się dosyć ostrożnym panie doktorze.

— Cieszę się, że pan jest tak przezornym. Zrozumiałe jest to dla mnie zupełnie, gdyż pana Kraga nie zna pan zbyt dużo.

— Myli się pan — odpowiedział inżynier. — Pana Kraga znam dobrze, tylko pana nie znam, panie doktorze. Proszę, niech panowie wejdą.

Dr. Peters spojrział zdumiony na inżyniera, nie reagując jednakowoż na bezczelne słowa. Dr. Peter? wszedł do gabinetu. Barra szedł na samym końcu, trzymając w ręku rewolwer. Kształt pokoju, do którego weszli mężczyźni, był dziwaczny. Był on kształt owalnego, zarzucony najrozmaitszego rodzaju narzędziami. Dwie potężne baterie elektryczne zwracały na siebie uwagę. Pokój nie posiadał sufitu, ściany biegły skośnie ku górze, tworząc kształt, mający wygląd cygara. Otwór ten zamykał się zasuwą szklaną, którą przesuwano się za pomocą łańcuchów. Do otworu tego powadziły szyny zrobione z wypolerowanej i dobrze naoliwionej stali. Szyny u góry łączyły się z belką, zaś u dołu ze szczelnie okrytym przedmiotem.

Inżynier Barra podniósł nakrywę i Asbjørn Krag ujrzał po raz pierwszy w życiu powietrzną torpedę.

Nie była ona długa i dochodziła zaledwie do jednego metra długości. Kończyła się ona ostro i świeciła na wszystkie strony błyskiem wypolerowanej stali. Niepozorna ta zabawka miała zniszczyć najpotężniejsze aeroplany bojowe.

Inżynier przykrył torpedę starannie, prawie miłośniczo.

— Oto cud 20-go wieku — zauważył Barra — a najważniejszą jej zaletą jest to, że można nią sterować.

Panowie skinęli głowami.

— A zatem — mówił Barra — czy panowie są jeszcze ciągle tego zdania, że pokój jest za mało zabezpieczony?

Pokój robił wrażenie niedostępnej twierdzy. Okna o silnym żelaznym okratowaniu widział detektyw już przedtem.

— Mam jednak wrażenie, że temu pokojowi jeszcze czegoś brakuje. Ogromnie bowiem łatwo uciec z tego pokoju.

Barra roześmiał się.

— Czy sądzi pan, że będę zmuszony z niego uciekać?

Asbjørn Krag nie odpowiedział.

Drzwi stalowe wiodące do pokoju stały otworem. Na korytarzu rozległy się lekkie kroki i na progu stanęła kobieta.

Był to „Pająk”.

— Czy mam państwo jeszcze raz sobie przedstawić? — zapytał Barra.

— To jest pan Krag, detektyw — moja szwagrowa Walentyna Kampel.

Walentyna roześmiała się i podała detektywowi rękę.

Ale uścisk ich dłoni był zapowiedzią nowej i zacieklej walki między nimi.

## XIII

### WALENTYNA ZRZUCA MASKĘ

Stała się rzecz nie do uwierzenia. Asbjørn Krag i niemiecki agent zamieszkali w domu inżyniera. Detektyw jeszcze bardzo niedawno o podobnym zbiegu okoliczności nie mógł nawet marzyć.

Asbjørn Krag zauważył, że Barra ogromnie się zmienił. Ten twardy, okrutny i bezwzględny człowiek w ostatnich czasach złagodniał. Detektyw nie przypuszczał, by ostatnie lata tak go zmieniły. Nie postarzał się wprawdzie bardzo, ale nie posiadał już tej zimnej krwi oraz kamiennego spokoju, którym zawsze detektywowi imponował.

Nad tymi zmianami zastanawiał się Krag często.

Czyżby te zmiany w usposobieniu inżyniera? spowodowała młoda i urocza żona, siostra przyrodnia „Pająka”?

Z rozmaitych drobnostek wywnioskował detektyw, że musiała ona wywierać na męża ogromny wpływ. Jej dobroć, rozkoszny uśmiech i żywy temperament działały na Barrę.

Pokoje detektywa i niemieckiego agenta leżały we wschodnim skrzydle domu, daleko od pracowni inżyniera.

Asbjørn Krag czuł się dobrze na nowym mieszkaniu. Z okna mógł oglądać prześliczną okolicę.

Detektywowi przewieziono rzeczy z mieszkania lekarza. Krag natychmiast je rozpakował i oglądnął broń.

Nazajutrz o godzinie 12. był ostateczny termin, w którym Dr. Peters miał złożyć inżynierowi 250.000 Mk, a tegoż wieczoru miał się odbyć koncert. W dwa dni później inżynier miał oddać wynalazek wraz z planami.

Późnym rankiem widzimy inżyniera, jak wzburzony chodzi po salonie. W tej chwili nadchodzi jego żona, niosąc naręcze kwiatów. Lekko zdenerwowana usiłuje pokryć swój niepokój.

— Dlaczego włożyłeś znowu to wstrętne okrycie? zapytała Konstancja.

Inżynier zamilczał pytanie i radził, jak żona ma rozdzielić kwiaty.

— Jutrzejszy wieczór jest drogą przyjemnością — skarżyła się młoda kobieta.

— Wiesz o tym, że nie wolno mi niczego oszczędzać, jeśli idzie o Dra. Petersa.

— A słyszałam że on lubi tylko dobrą muzykę. Osobiście jest on dla mnie bardzo miłym człowiekiem.

— Tak, tak i przy tym przywiózł nam bardzo dużo pieniędzy, Potrzebuję ich jednak wiele. Gdzie jest Walentyna. Kilka godzin już jej nie widziałem ?

— Pojechała jeszcze wczesnym rankiem. Ona będzie już zawsze niespokojnym duchem.

— Przed godziną jeszcze rozmawiałem z nią. Musi więc być gdzieś w pobliżu.

— Już słyszę dzwonki od sanek. To pewnie ona przyjechała.

Inżynier Barra i młoda pani podeszli do okna. Na podwórzu ze sani wysiadała Walentyna.

— Nie domyślam się nawet, gdzie mogła jeździć Walentyna. Droga, którą pojechała, prowadzi do lasu.

Inżynier przyglądając się uważnie saniom, nie patrzył w tej chwili na żonę. On oglądał silnie zabłocone sanie.

Gdyby Barra spoglądnął na żonę, musiałby zauważyć niechybnie jej zdenerwowanie.

— Na pewno z miasta nie przyjechała — mówił Barra, — gdyż musiałyby jechać inną drogą. Co to za domy, które tam widać?

— Należą one do wójta i do właściciela dóbr Folgensa.

— Te domy właśnie znam, ale pytam się o trzeci z rzędu dom. Widać tylko dach. Czyja to własność?

— Ktoś mi o tym mówił. Czy nie jest on własnością praktykanta leśnictwa Blindego? Z tej właśnie strony nadjechała Walentyna. Bóg raczy wiedzieć, czego ona tam chciała.

— Także i ja nie wiem.

Młoda kobieta nie przyzwyczajona do ukrywania swych myśli, była coraz więcej zmieszana.

Inżynier byłby na pewno to spostrzegł, gdyby do pokoju nie wszedł „Pająk”. Walentyna weszła w płaszczu i kapeluszu.

Inżynier podszedł do niej.

— Przysięgłabym, że mówiliście o mnie — mówiła Walentyna, siadając wygodnie na fotelu.

— Tak jest — potwierdził Barra. — Dajesz zresztą ku temu powody.

Walentyna roześmiała się a inżynier zbliżył się do okna.

— Sanki są zupełnie obłocone — powiedział Barra.

Walentyna wykorzystała tę chwilę i szepnęła siostrze cicho:

— Znowu z nim rozmawiałam.

Konstancja spojrzała na nią przerażona.

— Zobaczysz, że stanie się nieszczęście.

— Zostaw to mnie i bądź spokojną. Inżynier powrócił od okna i spojrzał znacząco na żonę. Konstancja zrozumiała męża. Barra chciał sam pozostać z „Pajakiem”. Młoda kobieta wyszła z pokoju, zabierając ze sobą resztę kwiatów.

Walentyna śmiała się, siedząc w fotelu. Lecz śmiech jej drażnił tylko inżyniera.

— Co mówiliście o mnie? zapytała Walentyna.

Inżynier spojrzał na nią w milczeniu.

— Dr. Peters widział ciebie zagranicą — powiedział po chwili Barra.

— Gdzie mnie spotkał? — zapytała.

— Najpierw w Ostendzie. Jak zwykle wywołałaś wrażenie, a następnie w Paryżu. Twoje występy na wyścigach robią cię sławną.

— Więcej nigdzie mnie nie spotkał? — zapytała Walentyna, powracając do zwykłej pewności siebie. — A czy nie spotkał mnie w Hamburgu?

— Nic mi o tym nie wspominał.

— Wybornie. Prawdo podobnie byłby ci i tak nie powiedział, gdyby mnie spotkał.

Barra stał przy kominku i zacierał ręce, jak gdyby zmarzł.

— Zanim wyjechałaś sankami wspominałaś, że chcesz mi powiedzieć coś ważnego.

— Tak jest.

— Mam wrażenie, że coś bardzo ważnego.

— Istotnie. Chcę mówić o twoim wynalazku.

Inżynier uśmiechnął się.

— Wreszcie! – rzekł Barra.

— Co przez to rozumiesz?

— Wreszcie czegoś się dowiem. Wiem, że ty równocześnie z moim wynalazkiem zaczęłaś kuć własne plany.

— A gdyby?

— Czego więc żądasz?

— Chcę ci przeszkodzić w popełnieniu jednego głupstwa.

— Co nazywasz głupstwem?

— Sprzedaż wynalazku Petersowi.

— Gdybym tego nie zrobił, byłbym zwykłym oszustem, tego więcej robić nie mogę i nie zrobię. Sprzedałem wynalazek rządowi Dra Petersa, część pieniędzy otrzymałem i wedle umowy za trzy dni oddam mu plany i model. Chcę umowy dotrzymać uczciwie.

Walentyna roześmiała się.

— Nie jestem już więcej dawnym Barra. — powiedział inżynier.

— Uważam to — odpowiedziała Walentyna. — W ostatnich czasach wpadłeś w ogóle w ton moralizatorski. Dziwi mnie tylko, że taki... jak... ty człowiek...

Barra zmarszczy brwi.

— Dobraliśmy się doskonale. Znasz moje czyny i całą działalność i nie możesz mi zaprzeczyć, że wszystkie moje dotychczasowe zbrodnie były wyłącznie z ideowych względów.

— Ideowe względy — rzuciła Walentyna. — Chcę ci tylko przypomnieć noc 25 października w Berlinie.

Barra przeszedł gniewnie kilka kroków.

— A gdyby tak policja dowiedziała się o wypadkach owej nocy, czy uwierzyłaby w twoje idealne zamysły? Sądzę, że nie.

— Sądziś tak Walentyno, ponieważ jesteś zła do szpiku kości.

— Czy ciebie ten niewinny gołąbek tak umoralnił?

— Proszę cię bardzo, nie mów źle o niej. Ona jest wszystkim dla mnie na świecie. Ale ja ciebie znam i wiem, że użyjesz każdego środka, byleby przeprowadzić swoje zamiary. Wyrzuć Konstancję poza nawias. Ona właśnie jest tą, która godzi mnie z życiem. Bez niej wróciłbym do życia zbrodniarza. W tej chwili czuję się tak dobrze nawet w obecności tego detektywa i nieufności niemieckiego agenta.

Walentyna przymrużyła oczy krótkowidza.

— Dotychczas nie uważałam ciebie za tak naiwnego, ale od tej chwili zmieniam zdanie.

Barra odpowiedział jej dopiero po chwili.

— Znowu myślisz o czymś! Zawsze w ten sposób zaczynasz.

– Czyś ty dotychczas nie pomyślał o tym — rzuciła Walentyna — że się gwałtownie starzejesz? Na skroniach masz już siwe włosy. W czerwone płomienie twego zarostu wplotły się już białe smugi. Widzę jesteś coraz bardziej niespokojny.

— Proszę — wróć do swoich pokojów.

— A ja znam moją siostrę!

— Walentyno!

— Ona jest jeszcze młoda i ma tak czarowny uśmiech...

Barra zbliżył się do niej groźnie.

Walentyna siedziała jednak spokojnie, uśmiechając się cynicznie.

Przez twarz inżyniera przesunęła się chmura zwątpienia.

— A jeżeli zdołam cię przekonać?

— Nie potrafisz tego!

— A jeżelibym przecież zdołała?

Barra uderzył pięścią w stół i rzekł zmieszany.

– Nie dokażesz tego — ale wiedz, że wówczas byłbym znów dawnym Barra.

– Oo! — Takim podobasz mi się więcej.

— Idź — idź — ja wiem, że dla twoich celów nie cofniesz się nawet przed zerwaniem małżeństwa między mną a twoją siostrą przyrodnią. Ale to ci się nie uda Walentyno.

— Oglądnij się tylko dobrze.

— Idź!

— Nie pójdę, dopóki nie powiem do czego zmierzam.

— O Konstancji więcej nie mówimy.

— Jak chcesz — mówmy zatem o twoim wynalazku? Dostałeś za niego milion — czy nie prawda?

— Tak jest i wypłacono mi już 750.000 Mk. Zresztą wiesz już o tym.

— Tak, ale ja ci ofiarowuję za niego półtora miliona.

Barra cofnął się o krok.

— Półtora miliona — półtora miliona.

Propozycja szwagrowej nie zdziwiła go zupełnie. Wiedział doskonale, że w podobnych wypadkach ona nie żartuje wcale i że stoi w stosunkach z międzynarodowymi ryerczami przemysłu.

— Kto kryje się za tym? — zapytał inżynier.

— No — a gdyby tak „inne państwo”?

— Zaraz ci na to odpowiem Walentyno. W tej chwili potrzebuję bardzo pieniędzy, choćby dla ukończenia mego wynalazku. Ale mimo braku pieniędzy tego nie zrobię.

— A dwa miliony? Być może, że ci dadzą, dwa miliony. Wszak wiesz, jaka jest sytuacja polityczna Każdego dnia należy się czegoś spodziewać A żadne państwo nie da się ubiec drugiemu.

— Nie chcę!

— Być może, że po upływie pewnego czasu nikt nie kupi twego wynalazku. O ile wiem, nie wiele ci zostało z tych pieniędzy, które otrzymałeś. A co wówczas? Wtedy zostaniesz bez pieniędzy i bez wynalazku.

— To mi wszystko jedno.



- Zrób jak ci radzę, a dostaniesz dużo pieniędzy.
- Jesteś bez sumienia, Walentyno.
- Pająk roześmiał się.
- Jak widzę zaczynasz znowu umoralniać.
- A ponadto jesteś Walentyno niesłuchanie lekkomyślną. Swoimi machinacjami sprawiłaś, że Niemcy nie ufają mi. Wreszcie zapytam się ciebie, w jaki sposób wyobrażasz sobie przeprowadzenie tej transakcji? Wszak by mnie natychmiast uwięziono.
- Pozostaw tę sprawę mnie. Nie jestem naiwną. Potrzeba całą sprawę tak pogmatwać, aby nikomu nawet na myśl nie przyszło ciebie oskarżyć.
- Ślicznie, jednak twój projekt odrzucam stanowczo i nieodwołalnie. Proszę cię idź do twego pokoju.
- Nie — odpowiedział Walentyna — widzę, że będę musiała zastosować groźby.

## XIV

### FOTOGRAFIA

- Inżynier powrócił do kominka.
- Mnie chcesz grozić? Mnie... ? – Śmiał się inżynier drwiąco.
  - Czy przypominasz sobie — mówiła spokojnie Walentyna, noc 25 października w Berlinie!
  - Dzisiaj już raz wspominałaś mi o tym!
  - Przypominam raz jeszcze
  - Tak, pamiętam ją dobrze. Zabiłem człowieka, który stał na mojej drodze.
  - A co byś powiedział na to, gdyby ktoś miał zamiar ciebie oskarżyć? Czy sądzisz, że nie aresztowano by ciebie?
  - Barra wskazał na drzwi.
  - Nie potrzebujesz nawet trudzić się daleko. W domu mieszka urzędnik policyjny, tylko że takie gołosłowne oskarżenie nie pomogłoby ci. Nie masz żadnych świadków.
  - Walentyna roześmiała się cynicznie.
  - Mylisz się, taki świadek istnieje.
  - Ten o kim myślisz, dawno znikł bez śladu.
  - Czy wiesz o kim myślę?
  - Wiem, myślisz o moim śmiertelnym wrogu, – rzucił inżynier głucho.
  - Abraham Telechow, lecz wiedz, że gdybym go kiedy w życiu spotkał.. kto wie... czy nie popełniłbym.. nowego mordu.
  - Nie wiadomo, któryby z was poległ w tej śmiertelnej walce.
  - Barra podszedł ku Walentynie.
  - A więc grozisz mi?
  - „Pająk” podniósł się z fotelu.

Walentyna wiedziała co oznaczają niebieskie żyłki, występujące coraz wyraźniej na czole inżyniera.

— Chyba wiesz kiedy żartuję.

Walentyna podeszła ku drzwiom.

— Namyśl się jeszcze... radzę...

— Jestem pewny, że w głowie twojej lęgnie są znów jakaś zbrodnia. Gdzie tylko staniesz, wszędzie wloką się za tobą nieszczęście i nędza. Początkowo, gdyś do nas przybyła, udawałaś świętoszka, ale teraz rzuciłaś pozory i jesteś sobą. Walentyno, dlaczego zrobiłaś to teraz?

— Ponieważ zbliżasz się do końca swojej pracy, wreszcie ponieważ w swoim domu gościsz detektywa.

— Myślisz o Asbjørnie Kragu?

— Tak.

— Czy sądzisz, że Krag pozwoliłby na to, aby mój wynalazek wymknął się z rąk Dra Petersa?

— Nie oddaję się złudzeniom. W tej chwili wybuchła pomiędzy nami ponowna gorąca walka. Lecz tym razem, ja zwyciężę. Mam potężnych sprzymierzeńców.

— Ach, więc już powiadomiłaś ich o swoich zamiarach. Powiedz mi jednak, jak przedstawia się sprawa senatora Jose Isayo? Czy siedzi jeszcze ciągle w więzieniu?

— Ten przypadek zupełnie. Ale mój nowy wspólnik jest silniejszym od senatora. Powiedziałabym nawet, że nie znałam dotychczas człowieka jemu równego. Jest on bezwzględniejszym nawet jak... ty...

— Znam go?

— Znasz!

— Któż to jest? Walentyna otworzyła drzwi.

— On... on... on... jest tajnym agentem drugiego mocarstwa.

— Jak się nazywa?

— Prawdopodobnie słyszałeś o jego nazwisku. Powszechnie nazywa się Żyd Stefan, ale jest to tylko jego pseudonim. Prawdziwe jego nazwisko brzmi Abraham Telechow, ów zaginiony świadek twojej zbrodni w Berlinie w dniu 25 października.

„Pająk” zniknął za drzwiami.

Inżynier stał ogłupiały i patrzył bezmyślnie na zamknięte drzwi.

Walentyna szła szybko długim korytarzem, zaglądając do różnych pokoi i wreszcie zatrzymała się przed drzwiami pokoju siostry przyrodniej.

Konstancja przeglądała swoje listy. Stos białych kartek majaczył przed nią na biurku, na dywanach leżały strzępy podartych papierów.

Gdy Walentyna weszła do pokoju, Konstancja podniosła się szybko od biurka.

— Czekałam na ciebie, – mówiła Konstancja silnie podniecona. – Mówiliście ze sobą?

— Owszem, rozmawialiśmy. Mówił niemal jak ksiądz na kazalnicy. Mam wrażenie, że z wiekiem uspokoił się on znacznie. W czasie mojej bytności rozmawialiśmy długo o jego przeżyciach we wielkich miastach. To byłoby wszystko.

— Nie wiem dlaczego, ale ogarnął mnie jakiś lęk. Czasami zdaje mi się, że zbliża się nieszczęście, i wówczas mam ochotę zaniechać całej sprawy.

— Wówczas unieszczęśliwiłabyś go naprawdę. Gdybyś tylko widziała, jak on cieszył się na to ostatnie wasze spotkanie. Zupełnie jak małe dziecko. Przygotowuje się od szeregu dni na spotkanie ciebie. Czy to jest zbrodnia, że on chce zobaczyć raz jeszcze swoją byłą narzeczoną?

— Zapewne że nie. Ja sama cieszę się na to spotkanie.

— Drażni mnie tylko tajemnica. Czy nie byłoby lepiej powiedzieć o wszystkim mężowi? Przecież to nie zbrodnia, że praktykant leśnictwa był ze mną zaręczony i że wskutek rozmaitych okoliczności rozstaliśmy się. Blinde opuszcza kraj i pragnąłby się ze mną pożegnać. Wierzę, że gdyby mój mąż o tym wiedział, zaprosiłby go niechybnie na jutrzejszy koncert.

— Przyznanie się do prawdy zirytowałoby tylko całkiem niepotrzebnie twojego męża. Wiesz jaki on strasznie zazdrosny. Właśnie wtedy mogłoby cię spotkać owo przeczuwane nieszczęście. Znam doskonale twego męża. Nie umie on zupełnie zapanować nad sobą, a tym więcej, gdy będzie czuł się dotkniętym w swej ambicji. Raczej nie mów mu ani słowa. Musisz być tylko bardzo ostrożną. Barra nie śmie o niczym wiedzieć. Ja to już przeprowadzę, spuść się na mnie.

— Dobrze, Zrobię jak chcesz. A czy wspominał może o fotografii ?

— Był nią zachwycony. Całował ją ustawicznie, W ten sposób rozmawiały długo jeszcze siostry.

Konstancja nie przypuszczała, że „Pająk” rozpina swą zbrodniczą sieć, pragnąc oplatać własną siostrę.

\* \* \*

Słowa Walentyny przeraziły inżyniera do najwyższego stopnia.

W pierwszej chwili chciał się zapytać Walentyny, w jaki sposób związała się z jego śmiertelnym wrogiem, ale zaniechał tego.

Musiał w tej chwili myśleć o czym innym.

Z rękoma założonemu w tył, spacerował Barra podrażniony.

Półtora miliona... a może nawet dwa miliony ogromna, ogromna suma.

Nagle inżynier przypomniał sobie o słowach Walentyny odnoszących się do Konstancji.

Złośliwość... to najzwyczajniejsza złośliwość. To niemożliwe, aby ta dobra, słodka kobieta, podobna do „Pajaka” tylko z zewnętrznego wyglądu...

Barra rozważał nad sowami Walentyny.

Ona pragnie rzucić między nas kość niezgody. Walentyna pragnie wzniecić nienawiść, ponieważ wie, że ja pozostaję pod dobrym wpływem Konstancji, myślał inżynier, tak, pod szlachetnym wpływem. Walentyna pragnie mnie zepchnąć do dawnego, zbrodniczego trybu życia. Ale jej się to nie uda, nie uda.

Barra uderzył z wściekłością w stół.

— Nie uda się, nie uda!

Inżynier przeszedł szybko przez pokój i otworzył drzwi wiodące na korytarz, pomyślał chwilę i zawołał głośno na służbę.

— Proszę poprosić do mnie na chwilę Dra Petersa oraz pana Kraga.

Dopiero po dobrej chwili stanął przed Barrą młody człowiek o twarzy nieinteligentnej, w wieku najwyżej 20 lat, ubrany w zielone ubranie służącego.

Młody człowiek ukłonił się.

— Czego chcesz i w jaki sposób dostałeś się do tego domu, – zapytał inżynier.

— Jestem służącym pana Kraga, – brzmiała odpowiedź.

— W takim razie poproś swego pana, aby zaraz przyszedł do mnie na chwilę.

— Jak proszę?

Głupota służącego podrażniła inżyniera.

— Czy nie słyszałeś? Masz poprosić swojego pana, aby tu przyszedł.

— Pana Kraga?

Barra podszedł do smużącego i złapał go za kark.

— Jak się nazywasz? krzyczał rozzłoszczony inżynier.

— Jens.

— Pięknie, ale ty jesteś głupi!

— To samo mi zawsze powiada mój pan.

— Jens, słuchaj dobrze, idź do swojego pana i poproś, aby tu przyszedł. Chciałbym z nim pomówić.

— Rozumiesz?

— Rozumiem doskonale.

— Zatem idź.

— Już biegnę.

Służący znikł, a inżynier wrócił do pokoju zdumiony głupotą służącego.

Nagle drzwi otworzyły się i w progu stanął Jens.

— Jeszcze nie poszedł?

— Chciałem się tylko zapytać, czy mój pan ma zaraz przyjść?

— Natychmiast, natychmiast, – krzyczał rozsierdzony inżynier, – co za barania głowa, co za osioł, co za osioł.

Po chwili weszli do pokoju inżyniera detektyw i Dr. Peters. Barra zaprosił ich do zajęcia miejsca, sam zaś usiadł na fotelu zajmowanym niedawno przez „Pająka”.

– Ośmieliłem się panów do siebie poprosić, – tłumaczył się Barra, – w ważnej sprawie.

– Poza pańskim wynalazkiem nie istnieją dla nas żadne inne ważne sprawy.

– Chcę właśnie mówić o moim wynalazku.

Detektyw i Dr Peters spojrzeli równocześnie na siebie. Z ich twarzy można było łatwo wyczytać, że podejrzenia ich rosły.

Barra mówił.

– Panowie pewnie zauważyli mój nadzwyczajny spokój, gdyście powiadomili mnie o możliwości wykradzenia wynalazku wraz z planami.

– Tak jest, – potwierdził Dr. Peters, – pański dziwny spokój bardzo nas zaniepokoił.

– Spokój mój wy pływał stąd, tłumaczył się inżynier, że ja nie wierzyłem nigdy w taką możliwość.

– A teraz zmienił pan swoje przekonanie?

— Zmieniłem.  
— Szybko pan to zrobił  
— Pewne zdarzenie przekonało mnie, że istotnie istnieją takie zamiary. Dlatego więc teraz zwracam się do panów z prośbą, aby działając niesłychanie ostrożnie, przeszkodzili zbrodnicy zamiarom wykradzenia czy też zniszczenia wynalazku.  
— Proszę być o tym przekonany, zapewniał Dr. Peters. Wszak nam najbardziej zależy na tym wynalazku.  
— Z drugiej strony wiem, że panowie odnoszą się do mnie z niezwykłą nieufnością – mówił spokojnie Barra.  
Milczenie było wymowną odpowiedzią.  
— Zapewniam jednak panów, że co do mnie, okropnie pomyliliście się. Wiem, że były podstawy do tej nieufności, lecz chciałbym te wątpliwości rozproszyc.  
— Może pan to zrobić każdej chwili – rzucił detektyw.  
— Proszę, powiedz pan.  
— Wypraw pan z domu swojego Walentyne.  
Inżynier powstał z krzesła, zbliżył się do Kraga i rzekł głosem zupełnie zdecydowanym.  
— Walentyna opuści ten dom jeszcze dzisiaj wieczorem.  
— Jeśli się to naprawdę stanie, uwierzmy panu – rzucił detektyw. — Pan mnie zna dobrze i wie pan, że umiem przeprowadzać moje życzenia – odpowiedział Krag.  
— Znam pana, ale równie dobrze znam Walentyne.  
Inżynier powracał do swojego krzesła, gdy nagle schylił się i podniósł białą kartkę papieru leżącą na dywanie. Prawdopodobnie zgubiła ją Walentyna, myślał Barra i spojrzał na kartkę.  
Detektyw zauważył, jak twarz inżyniera przybrała nagle kolor szary. Asbjørn Krag przybliżył się nieznacznie i spojrzał na kartkę.  
Była to fotografia żony inżyniera.

## XV

### NOWA ZNAJOMOŚĆ

Inżynier Barra, bardzo blady, patrzył długo na fotografię. Usta wykrzywiły mu się w jakimś potwornym uśmiechu, ręce drżały mu nerwowo. Wyglądał strasznie.

Detektyw wdział dokładnie kilka słów napisanych na fotografii, był jednak za daleko, aby je mógł odczytać

Wreszcie inżynier opanował się i fotografię schował do kieszeni.

— Tyle tylko chciałem panom powiedzieć, mówił inżynier, siląc się na spokój.

— Jeśli się domyślam, powiedział Krag, to zaszło coś bardzo ważnego.

— Słusznie. W tej chwili stałem się znów dawnym Barra.

— To brzmi jak groźba.

— Groźba, ale nie przeciw panu – powiedział inżynier otwierając drzwi.

— A co będzie z Walentyną? – zapytał Dr. Peters.

Barra stał już na progu.

— Czy wyjedzie ona dziś wieczorem?

— Nie, Walentyna pozostanie – odpowiedział inżynier i znikł za drzwiami.

Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie.

— Szybko zmieniła się sytuacja, zauważył detektyw.

— Niestety, zmiana o ogromnym znaczeniu, – odpowiedział Dr. Peters.

– Lecz proszę mi wyjaśnić, co było właściwym powodem tak gwałtownej zmiany.

— Barra znalazł fotografię swojej żony waz z dopiskiem kilku słów. Dlatego zmienił się w jednej chwili. Czy zauważył pan, jak strasznie był podrażniony?

— Walentyna nie wyjeżdża, – niepokoił się Peters.

— Innymi słowy, to inżynier przeszedł do nieprzyjaciela.

— W tej chwili jest to bardzo poważnym niebezpieczeństwem. Gramy w otwarte karty i wiemy co sądzić.

– W każdym razie mamy czyste sumienia – rzucił detektyw.

— Czy skutek tego zmienią się nasze plany?

— Nie, zupełnie nie, – odpowiedział detektyw. – Przyspieszymy tylko bieg wypadków W przeciwnym bowiem razie wynalazek przepadł nam niechybnie.

— Czy pan jest pewnym, że Jens stanie na wysokości swego zadania i wykona pańskie polecenie?

— Wyśmienicie. Przecież pan sam uważał go za półgłówka. Przyzna pan, że świetnie odegrał swoją rolę. A teraz chodźmy, muszę jeszcze omówić z nim kilka szczegółów.

Mężczyźni szli ku drzwiom, gdy nagle zajeżdżający przed dom powóz zwrócił uwagę Dra Petersa.

— Powóz, – szepnął niemiecki agent detektywowi...

Asbjørn Krag spojrział przez okno Po grząskim śniegu powóz poruszał się z trudnością. Powóz musiał przyjechać z miasta, gdyż na wsi używano jeszcze sanek. Powóz zatrzymał się przed domem, woźnica zeskoczył z koźła i pomagał wysiąść mężczyźnie we futrze.

Asbjørn Krag chwycił agenta za ramię.

— Usuńmy się nieco w bok, aby nas nieznajomy nie zobaczył przez okno.

— Sądzę, że ten pan przybywa z daleka. Nie znam go wcale.

Obaj mężczyźni cofnęli się w głąb pokoju. Z zewnątrz nie byli oni zupełnie widzialni, natomiast sami mogli wybornie widzieć całe podwórze.

– Nie widać dobrze twarzy, – mówił Dr. Peters, – nie płaci jednak woźnicy, aha, więc ma zamiar natychmiast wrócić, teraz... teraz zwrócił twarz, aaaa...

Dr. Peters krzyknął niemal głośno.

— Zna go pan? zapytał Asbjørn Krag.

- Znam
- Któż to jest?
- Żyd!

— Żyd? – zdziwił się detektyw.

— Rosyjski Żyd Stefan. Patrz pan. Oto nasz najniebezpieczniejszy wróg. Barra jest chytry, ale chwiejny „Pająk” straszliwi przebiegły i wyrafinowany, ale ten jest stokroć gorszy, aniżeli ci dwoje razem. Czy widzi pan jego spokój? Jak swobodnie rozkazuje woźnicy? A przecież inżynier jest jego najzaciętszym wrogiem. Przysiągłbym ponadto, że wie on znakomicie o naszej tutaj bytności. A jednak idzie tak spokojnie, jak gdyby o niczym nie wiedział i niczego nie domyślał się Teraz schował rękę do kieszeń, Na pewno ma tam ukryty rewolwer. Zdaża do bramy wchodowej. Czy spotkamy się z nim? — Nie, on szuka na pewno inżyniera. Prawdopodobnie chce, aby wyjaśniła się między nimi sytuacja. Jeśli oni połączą się, będziemy mieli troje niebezpiecznych wrogów.

— A jeśli nie połączą się?

— Wówczas uciekniemy się do wybiegów.

Agent zmarszczył brwi.

— Żyd jest śmiertelnym wrogiem Barry, – powiedział Dr. Peters, – a wówczas Żydem zaopiekuje się doskonale inżynier.

Obaj mężczyźni powrócili do zaminowanego przez nich mieszkania. Na progu przywitał ich „głupkowaty służący” przyjaznym uśmiechem.

– Zajęcie? – powtórzył Jens z głupkowatą miną.

– Proszę cię, – powiedział Asbjørn Krag, – porzuć tę minę idioty gdy jesteśmy sami.

Idiotyczny wyraz twarzy zniknął w mgnieniu oka z twarzy chłopaka, ustępując lęgnącemu się sprytowi.

— Chwała Bogu, że ta moja rola skończyła się, – skarżył się przed detektywem Jens, – bo przyznam się, że gdyby ona trwać miała dłużej, to wolałbym, aby mnie pan zamknął w szpitalu wariatów. A teraz proszę mi powiedzieć, co mam robić.

\* \* \*

Mężczyzna we futrze, znany powszechnie pod pseudonimem „Żyd Stefan” wysiadł z powozu i zadzwonił do drzwi wchodowych.

Otworzyła mu służąca w białym czepeczku.

Żyd Stefan nie prosił wcale o rozmowę z gospodarzem, nie wchodził w to, czy Barra zechce z nim mówić, lecz głosem rozkazującym rzekł:

— Muszę się widzieć z panem inżynierem.

Niesłychany tupet i pewność siebie zaniepokoiły służącą.

— Mojego pana nie ma w domu, odpowiedziała dziewczyna.

— Pan inżynier jest w domu, – powiedział agent drugiego mocarstw. – Czy panienka dobrze mnie zrozumiała? Ja chce i muszę zobaczyć się z panem.

Służąca wahała się.

— Pan inżynier jest bardzo zajęty i nie wiem czy...

— Nie zabiorę mu więcej czasu, jak pięć minut, – mówił Żyd Stefan mieszaniną języka szwedzkiego i norweskiego z domieszką słów niemieckich. – Dopóki z twoim panem nie zobaczę się, nie wyjdę stąd.

— Kogo mam zaanonsować?

— Nie potrzebujesz wcale mego nazwiska. Powiedz tylko, że pan, który przyjechał z zagranicy, pragnie z nim mówić. Można dodać, że przyjechał jeden z jego dawnych przyjaciół.

Słowa dźwięczały jak rozkaz i dziewczyna nie ociągając się więcej opuściła pokój.

Tymczasem gość gospodarzył w pokoju. Zdjął futro i położył je obok siebie na fotelu. Następnie wyjął z kieszeni futra rewolwer i schował go do marynarki.

Służąca powróciła, zawiadamiając gościa, że inżynier pragnie go przyjąć.

Na ustach agenta zjawił się drwiący uśmiech.

Służąca przeprowadziła przybysza przez długą amfiladę pokojów i nagle zatrzymała się przed drzwiami salonu.

— Proszę!

Żyd Stefan wszedł.

Inżynier stał przed kominkiem w swej ulubionej pozie, z rękami w tył założonymi.

Żyd przeszedł szybko przez pokój i zatrzymał się dopiero przed samym inżynierem.

Na odgłos kroków inżynier odwrócił się, spojrzał na przybyłego i nagle rzucił się ku dzwonnkowi.

— Pan zapewne szuka dzwonnka – drwił Żyd Stefan.— Czy nie prawda, panie inżynierze?

Inżynier nie odpowiedział ani słowa.

— Zdaje mi się, że tam jest dzwonek, mówił agent, ale nie radzę panu zbliżyć się do niego

— Dlaczego?

Żyd Stefan wyjął z kieszeni rewolwer i uderzył kolbą tak silnie w stół, że aż płyta zadrżała. Barra nie ruszył się z miejsca,

— Ne boję się tego zupełnie,

— Powodów jednak byłoby dość.

Inżynier popatrzał na gościa i ruszył obojętnie ramieniem.

— Nie ma pan wcale zamiaru mnie zabić!

— Z czego to pan wnioskuje?

— Gdyby to było pańskim zamiarem, byłby pan mnie zaraz zastrzelił.

— Możliwe. Jednak po owej nigdy niezapomnianej nocy w Berlinie przysiągłem sobie, że gdziekolwiek pana spotkam, zabiję.

— Mówi pan o nocy 25 października?

— Nie zapomniał pan o niej?

— Niczego nie zapominam.

— Czasy zmieniły się jednak, – mówił Żyd Stefan, – i nie mam wcale zamiaru mścić się na panu za kogoś. Jeśli tu ogóle przyjechałem, to tylko dlatego, aby się z panem pogodzić.

Inżynier spojrzał badawczo.



— Czy uważa pan naszą zgodę za rzecz naturalną? zapytał Barra.

— Tak jest.

— A gdybym się na nią nie zgodzi?

— Pan domyśla się dlaczego tu przyjechałem?

— Znam powody.

— Zatem nie będę, panu tłumaczył, co by się stało, gdyby pan odmówił.

— Groźby pana już dzisiaj słyszałem i nie przerażają mnie one zupełnie. Gdyby pan przyszedł, jeszcze przed półgodziną, nie rozmawiałbym z panem wcale. W tej półgodzinie zmieniło się jednak wiele. Obecnie chcę z panem mówić, aby przekonać się, czy dojdziemy do porozumienia. Rewolwer, który trzyma pan w ręku jest w tej chwili najzupełniej zbędny. Proszę go schować.

Agent udał, że nie słyszy.

— Kiedy model będzie gotowy! – zapytał Żyd Stefan.

— W przeciągu trzech dni – brzmiała odpowiedź inżyniera.

— To dla mnie za późno. Czy w dniu dzisiejszym nie mógłby go pan wykończyć?

— Wykluczone!

— Jednak ja go muszę mieć jeszcze dzisiaj.. Przy pańskiej pomocy wykończą go nasi inżynierowie. To byłoby drobnostką, tym więcej, że plany są w pańskich rękach.

— Tak jest, ale jak pan sobie wyobraża całą sprawę? Proszę pomyśleć, że gdyby wyszło na jaw. nasze porozumienie się, aresztowane by mnie natychmiast. Co ja mam wówczas z tego?

— Nikt nie dowie się o tym. Kłopoty zabrania stąd modelu proszę zostawić mnie i pańskiej szwagrowej.

— Na pański jednak projekt nie godzę się, – rzucił inżynier, - dopóki nie dowiem się szczegółowo, w jaki sposób przeprowadzi pan tę sprawę.

— Wykradnę panu torpedę, – odpowiedział agent, spoglądając równocześnie na stalowe drzwi. – Model znajduje się u pana w gabinecie Czy nieprawda?

— Przez drzwi nikt się do gabinetu nie dostanie, a klucz noszę zawsze przy sobie.

— Agent zmarszczył brwi.

— Drobnostka, wysadzimy drzwi.

— Zwracam panu uwagę, że tu mieszka detektyw. Żyd roześmiał się.

— Ach! detektyw prowincjonalny!!? odpowiedział agent, skinąwszy lekceważąco ręką.

— Pan go lekceważy, ale zwracam panu uwagę, że walka z nim może pana dużo kosztować.

— A zatem pogodziliśmy się?

— Jeszcze nie. Proszę mi pokazać wpierw swoje papiery.

Żyd wyjął plik papierów i podał go inżynierowi.

Barra przeglądał je uważnie.

— Widzę, że posiada pan wszelkie potrzebne pełnomocnictwa.

Żyd przytaknął.

— A wysokość sumy, którą mi pan oferowuje? Agent podał kwotę, równocześnie dodając że nawet pewna nadwyżka nie zaciąży na szali.

— Kiedy otrzymam pieniądze?

— Jeśli pan chce, wypłacę je za godzinę.

— Zgoda, a kiedy ma pan zamiar przeprowadzić swoje plany?

— Jeszcze dzisiejszej nocy.

Wiedz pan jednak, – rzucił inżynier, – że kogo spotkam w swym gabinecie, zastrzelę.

Agent roześmiał się.

— Och, na to pozwalam panu.

## XVI

### NIEBEZPIECZNE MINUTY

Po tej rozmowie mężczyźni opuścili pokój i weszli do gabinetu, aby omówić szczegóły nocnej wyprawy. W chwilę później Walentyna z Konstancją odwiedziły ich w pracowni. Wizyta jednak nie trwała długo. Obaj mężczyźni nie lubili dużo mówić.

Ostatecznie agent pozostał, a powóz powrócił do miasta.

Asbjørn Krag i Dr. Peters śledzili uważnie wehikuł.

Rozmowa inżyniera z agentem trwała za długo i detektyw postanowił podsłuchiwać ich z przyległego pokoju. Wkrótce jednak powrócił z niczym. Przyległy pokój był zamknięty na klucz.

Wreszcie Krag zauważył, że z okna dawane woźnicy jakieś znaki.

Woźnica skinął porozumiewawczo głową, wskoczył na kozioł i ruszył z miejsca, zostawiając swojego gościa.

Dr. Peters spojrział na detektywa zaniepokojony.

— A zatem... porozumieli się obaj, – mówił Dr. Peters – Abraham Telechow względnie Żyd Stefan jest obecnie gościem inżyniera.

— Czyli innymi słowy, – odpowiedział Drag – że dwulicowa gra Barry nie ulega już żadnej wątpliwości. Tak jest, w tej chwili inżynier chce pana oszukać. Aby jednak odzyskać pieniądze pańskiego rządu lub uratować wynalazek musimy natychmiast zacząć działać.

— Czuję to i oddaję panu w ręce całą inicjatywę.

— Naradę ustaliliśmy, że Barra wzbrania się wydać nam swój wynalazek.

— Tak, gdyż o terminie wydania nie chce nawet mówić. Rzekomo po trzech dniach ma być torpeda wykończoną. Są to jego własne słowa. Jak pan jednak sądzi? Czy pańscy inżynierowie nie wykończyliby jej sami, gdyby mieli plany?

— Nie wiem. Na to pytanie odpowiedziałby tylko wojskowy attache. Niestety, nie ma go tutaj jeszcze. Zatrzymał się nadspodziewanie dłużej w

Ber-linie i przybędzie o 12 godzin spóźniony. Spodziewam się go dopiero jutro przedpołudniem.

— To bardzo źle się stało – zauważył Asbjørn Krag. – Musimy zatem działać bez niego.

— Koniecznie?

— Bezwarunkowo. Jak długo Żyd Stefan znajduje się w tym domu, nie jest się pewnym ni dnia ni godziny.

— Jestem tego samego zdania. Sama myśl, że ten człowiek znajduje się w pobliżu, napawa mnie lękiem.

Asbjørn Krag włożył na siebie okrycie.

— Pan wychodzi? — spytał zdumiony agent.

— Przejdę się trochę, odpowiedział detektyw,

— Jakież ma pan dalsze zamiary?

— Zamiary?

— Jak długo będzie pan na spacerze?

— Godzinę, odpowiedział Krag, uśmiechając się chytrze.

— Założyłbym się, że będzie pan gdzieś w pobliżu.

— Tak jest i proszę, aby mi pan pomógł w powrocie.

— Proszę mówić jaśniej.

— Nie lubię zdradzać swoich planów, – odpowiedział Krag, – jednak w tym wypadku...

Detektyw podprowadził Dra Petersa do okna.

— Widzi pan przed oknami zarośla?

— Widzę!

— Czy mógłbym niespostrzeżenie powrócić oknem do mieszkania?

— Prawdopodobnie tak, gdyż z tej strony budynku rzadko kto przechodzi.

— A zatem uważaj pan dobrze co powiem. Wyjdę z budynku i pójdę drogą w kierunku lasu. Po dziesięciu minutach jestem tu z powrotem. Pan wyrzuci mi przez okno sznur, po którym dostanę się do mieszkania.

— Dopiero teraz zaczynam się nieco domyślać. Chce pan mianowicie w mieszkańcach pałacu wywołać przekonanie, że jest pan na spacerze, podczas gdy w rzeczywistości będzie pan w domu.

— Tego właśnie pragnę.

Asbjørn Krag posunął się już ku drzwiom, gdy nagle zatrzymał się i ubiełił swemu pomocnikowi ostatnich wskazówek.

Jens siedział właśnie przed lustrem i charakteryzował się. Wprawa i pośpiech, z jakim to robił wskazywała, kto był jego mistrzem.

Ostatnie polecenia detektywa musiały być niezmierniej wagi, gdyż Jens wytężył całą swoją uwagę. Coś miało się stać w ściśle określonym czasie, gdyż obaj porównali zegarki. A nie zapominaj, mówił Asbjørn Krag wychodząc, że każda minuta za późno lub za wcześniej może zepsuć cały nasz plan.

Niepokój niemieckiego agenta wzrósł nagle. Dr. Peters zrozumiał, że godzina czynu zbliżyła się.

A jednak Dr. Peters nie znał całej grozy położenia. Gdyby Dr. Peters mógł być świadkiem rozmowy prowadzonej między Żydem Stefanem a inżynierem, stan duchowy agenta byłby jeszcze gorszy.

Agent drugiego mocarstwa omówił dokładnie sprawę kradzieży i torpeda miała się jeszcze tego wieczora dostać w jego ręce.

Dr. Peters nie znał zamiarów detektywa. Krag ujął sprawę w ręce i nie w tajemnicza! w nią nikogo.

Niemiecki agent domyślał się tylko, że detektyw podjął niebezpieczną grę i że wierzył w zwycięstwo Jensa.

Dr. Peters odprowadził detektywa aż do alei wjazdowej. Przez całą drogę rozmawiali oni głośno o wizycie u Dra Hofta, do którego miał się udać detektyw.

Obok nich przesunęła się od czasu do czasu jakaś postać a Krag był przekonany, że inżynier w parę minut później będzie wiedział o wizycie detektywa.

Detektyw zapowiadał głośno, że przed godziną do domu nie powróci.

Kiedy Krag wszedł już w aleję, zauważył, że Z poza firanki jednego okna śledzi go para oczu.

Był to „Pająk”.

Krag szedł dobrą chwilę długą aleją, rozglądając się na wszystkie strofy. Wszędzie było cicho i nic nie wskazywało na to, że za chwilę...

Inżynier Barra pracował w gabinecie nad swoim wynalazkiem, a „Pająk” i Konstancja rozmawiały w salonie. Podrażnienie nerwowe u młodej kobiety było coraz bardziej widoczne.

— W ostatnich niemal godzinach mąż mój zmienił się nie do poznania, skarżyła się Konstancja. Nie domyślam się nawet, czego on chce. Tak dziwnie na mnie patrzy. Walentyna uspakajała siostrę, choć domyślała się, że zdradziecka fotografa dostała się w ręce inżyniera. Na dywanie nie było jej wcale.

— Nie dziw się temu – mówiła Walentyna, – Barra jest zajęty swoim wynalazkiem. Wszak musi się spieszyć. Jutro przyjedzie attache i zapragnie oglądnąć torpedę, nim wypłaci należne honorarium.

Konstancja już chciała odpowiedzieć gdy otworzyły się drzwi i weszła służąca.

— Jakiś pan chce się koniecznie zobaczyć z panem inżynierem, mówiła dziewczyna.

— Mąż pracuje, odpowiedziała młoda kobieta. Czy ten pan nie mógłby przyjść później?

— Nie, prosił tylko bardzo, aby pokazać tylko jego kartę wizytową.

Służąca podała Konstancji bilet.

— Boże! krzyknęła młoda kobieta, spojrzawszy na kartę.

— Co się stało? zapytała Walentyna.

— Attaché, wojskowy attaché przyjechał.

Walentyna zerwała się z krzesła.

— Już – mówił „Pająk” silnie zaniepokojony. – Poproś natychmiast swojego męża.

Konstancja zapukała do drzwi stalowych. Szmer w gabinecie nagle ustał.

Kto tam? – zapytał inżynier.

Półgłosem zawiadomiła młoda kobieta swojego męża o przyjeździe wojskowego attaché.

Drzwi otworzymy się gwałtownie i do pokoju Wpadł podniecony do tego stopnia Barra, że zapomniał pozostawić w gabinecie część składową maszyny, którą trzymał w ręku.

— Gdzie jest attaché?

— Czeka w poczekalni.

— Dlaczego nie poprosiłyście go natychmiast do gabinetu, złościł się Barra. Dziwnie zachowujesz się wobec ludzi, na których mi zależy.

Barra wyszedł do poczekalni, a po chwili słyszały kobiety, jak inżynier tłumacząc się nieporozumieniem zapraszał gościa do wejścia.

Obaj mężczyźni weszli do pokoju.

Attaché mówił językiem dyplomatów, po francusku.

Był to dobrze zbudowany mężczyzna, osiwiaty na skroniach, z monoklem na oku.

Barra przedstawił go kobietom. Attaché ukłonił się grzecznie, ale znać było, że nie bardzo zadowolony był z rozmowy z kobietami.

Już po pierwszych banalnych słowach, attaché wyjął jakiś papier i położył go na stole przed inżynierem.

— Proszę, oto moja legitymacja.

— Dziękuję, odpowiedział Barra, spojrzawszy na arkusz papieru. Pragnie pan zobaczyć się z Dr. Petersem czy też najpierw odglądnie pan wynalazek?

— Wybieram to ostatnie, odpowiedział attaché, chcę bowiem odjechać za godzinę. Spieszę się bardzo.

— Lubię bardzo ludzi, którzy szybko załatwia ą swoje sprawy. Model możemy w tej chwili oglądnąć. Proszę w te drzwi, panie hrabio.

Attaché spojrział na drzwi i rzekł.

— Zabezpieczenie naprawdę imponujące.

— Być może, ale i wynalazek jest bardzo cenny.

— Nie przeczę, ale co pan zrobił z oknami?

— Z zewnątrz okien są żelazne kraty.

— Z zewnątrz?

Pytanie to zastanowiło inżyniera.

— Czy w tym co dziwnego?

— Ach, nie, - odpowiedział attaché, - chciałem tylko poznać środki ostrożności, których pan użył.

— Uważam to za słuszne - zauważył inżynier - ale może wejdziemy do gabinetu.

Attaché zastanowił się chwilę, a potem ro zaśmiał serdecznie.

Był o śmiech żołnierza.

— Cha, cha, cha, jakie potworne drzwi, czy ja jednak wrócę przez nie.

Barra roześmiał się również,

— O to może być pan zupełnie spokojny.

Mężczyźni weszli do gabinetu, a drzwi żelazne zamknęły się za nimi.

Obie panie spojrzały na siebie ze zdziwieniem.

— Bardzo nieuprzejmy człowiek, zauważyła Konstancia.

— Bardzo, powiedziała Walentyna w zamyśleniu, a przy tym jedna rzecz uderzyła mnie.

— Cóż takiego?

— Dlaczego nie pytał się zupełnie o Dra Petersa?  
— Otrzymał zlecenie oglądnięcia wynalazku, rozmowa zaś z Dr Petersem należy do spraw osobistych, a wiesz jacy dyplomaci są skrupulatni.

W przedpokoju rozległ się hałas i wrzawa.

## XVII

### RUDOWŁOSY MĘŻCZYZNA

Ktoś usiłował wejść do pokoju.

Gruby głos mężczyzny mieszał się z głosikiem pokojówki.

— Proszę mnie w tej chwili wpuścić Muszę widzieć się z panem inżynierem.

— Pan inżynier zajęty. Nie mogę nikogo wpuszczać.

— Chcę mu powiedzieć rzecz bardzo ważną. Życie inżyniera wchodzi tu w grę.

Dziewczyna zawahała się.

Ale nieznajomy, nie zwracając więcej uwagi na służącą, usunął ją lekko z drogi i wszedł do pokoju. Tuż za nim weszła pokojówka, usprawiedliwiając się ze łzami w oczach, że czyniła wszystko, co możliwe, byle tylko natręta nie wpuścić do pokoju.

Konstancja była przerażoną. Jedyne Walentyna zachowała zimną krew.

„Pająk” podszedł do intruza z błyskiem wściekłości w oczach.

Nieznajomy patrzył wylękniony na zbliżającą się kobietę.

Był to mężczyzna wzrostu niskiego, ubrany z przesadną i krzyżącą elegancją, świadczącą o braku gustu. Włosy koloru rudego przechodziły niemal w odcień czerwony. Wzrok wskazywał człowieka chytrego i przebiegłego. Ubrany był we futro i lakierki, zaś w ręku trzymał monokl.

— Jakiem prawem wszedł pan siłą do prywatnego mieszkania i czego pan chce? – zapytała Walentyna,

Nieznajomy spojrział przez monokl.

— Nie miałem wcale zamiaru tutaj w ten sposób wchodzić – tłumaczył się nieznajomy głosem niskim nosowym.

— Więc nie powinien był pan tego robić, – rzuciła Walentyna ostro, przyglądając się równocześnie podejrzliwie nieznajomemu.

Rudowłosy mężczyzna spostrzegł ten wzrok i roześmiał się,

— Temu wszystkiemu winna jest ta panienska – powiedział nieznajomy, wskazując na pokojówkę.

— Służąca spełniła tylko swój obowiązek. Nie wolno jej nikogo obcego wpuszczać do mieszkania i to tym więcej, że inżynier zajęty. Czym mogę panu służyć?

— Chcę widzieć się z inżynierem.

— W tej chwili jest to niemożliwe.

Nieznajomy zrobił tak zdziwioną minę, że monokl spadł mu z nosa.

Służąca wyszła z pokoju, a rudowłosy mężczyzna pozostał sam z dwiema kobitami.

Konstancja niecierpliwiła się.

— Kim jest pan właściwie?

— Fiu... tego wam nie powiem łaskawe panie.

— Jak pan śmie w ten sposób...

— Kim jestem, powiem tylko inżynierowi, skoro się z nim zobaczę.

— Mówiłam już panu, że w tej chwili jest to wykluczone. Mój mąż jest na bardzo ważnej konferencji, której nie mogę przerwać pod żadnym warunkiem.

— To mi zupełnie obojętne, gdyż muszę się widzieć z panem inżynierem, moje kochane panie.

— Pan używa tonu zbyt poufatego – oburzyła się Walentyna. – Będzie nam bardzo miło, jeśli pan skróci swą wizytę.

Nieznajomy nie dał się jednak wyprowadzić z równowagi. Jak gdyby nie słysząc słów Walentyny, podjął swój monokl i przecierał go najspokojniej rękawiczką.

Walentyna spiorunowała go wzrokiem.

— Muszę pani zwrócić uwagę, że chcę się widzieć z panem inżynierem.

— Po raz setny odpowiadam, że inżynier jest na ważnym posiedzeniu.

— Gdzie? – zapytał intruz, wskazując równocześnie na żelazne drzwi.

— To pana nie powinno obchodzić!

Nieznajomy zrobił zdziwioną minę i znów monokl wypadł mu z oka.

— Jak długo potrwa ta konferencja?

— Nie wiem, być może, że i godzinę.

— Zatem poczekam, odpowiedział rudowłosy mężczyzna, siadając wygodnie na krześle.

Kobiety spojrzały na siebie. Konstancja oburzała się coraz bardziej, podczas gdy Walentyna traktowała sprawę humorystycznie

— Jeżeli pan w tej chwili nie opuści mieszkania, wezwę służbę.

— W jakim celu?

— Ażeby pana stąd wyprowadziła.

Monokl znów poruszył się, a Walentyna głośno się roześmiała.

— Gdyby panie bodaj na chwilę przypuściły kim ja jestem – skarżył się nieznajomy.

— Ależ tego właśnie, nie chce nam pan powiedzieć!

— I nie powiem, dopóki nie zobaczę się z inżynierem.

— Nie wyjdzie pan zatem?

Monokl poruszył się znowu.

— Nie.

— A więc wołam służbę.

Nieznajomy wskazał na dzwonek elektryczny.

— Proszę.  
Walentyna zbliżyła się do natręta.  
— Ale wtedy niech pan przygotuje się na wyprowadzenie go siłą.  
— Trudno, nie obejdzie się więc bez walki – odpowiedział nieznajomy, przyjmując równocześnie postawę obronną.  
— Czy chce pan wywołać skandal?  
— Jak najokropniejszy!  
Walentyna zawahała się.  
— Pragnie więc pan mówić z inżynierem w sprawie bardzo ważnej?  
— Tak.  
— Czy nie podałby nam pan powodów?  
— Nie.  
— W razie gdyby inżynier zgodził się jak długo potrwałaby rozmowa.  
Nieznajomy zastanowił się chwilę,  
— Najwyżej trzy minuty.  
Konstancja zbliżyła się do Walentyny.  
— Pozostaw go. Lepiej poprosić inżyniera, aniżeli wywołać skandal.  
— Czy poprosisz go na chwilę? – zapytała Walentyna.  
— Nie, ja nie, w każdym razie nie teraz, kiedy jest w tak okropnym nastroju. Ty masz więcej odwagi  
Nieznajomy wmieszał się do rozmowy.  
— Mnie nie wiele to obchodzi, która z pań poprosi inżyniera, gdyż i tak przed zobaczeniem się z nim nie ruszę się z mieszkania.  
Walentyna zapukała.  
— Kto tam? zapytał inżynier ze swego gabinetu.  
— Wyjdź na chwilę – mówiła Walentyna – jakiś natarczywy pan chce koniecznie widzieć się z tobą.  
Nieznajomy znów zdziwił się, chwytając równocześnie spadający monokl.  
— Poproś, aby ten pan przyszedł kiedy indziej na przykład jutro, albo dopiero w przyszłym tygodniu. Wszak wiesz, że mam ważną konferencję z attaché.  
— Właśnie z tego powodu chcę mówić z panem, rzekł nieznajomy.  
— Ten pan zapewnia, że wasza rozmowa nie potrwa dłużej jak trzy minuty. Może znajdziesz tyle czasu, gdyż inaczej nie pozbędziemy się go z domu wcale. Wreszcie grozi skandalem.  
Barra zaklął, a parę minut później stanął w progu. Rudowłosy mężczyzna zasadził swój monokl i przyglądał się ciekawie wynalazcy. Barra był nie mniej zdziwiony.  
— Czy ten pan życzy sobie widzieć się ze mną? zapytał Barra wskazując na nieznajomego mężczyznę  
— Ten sam.  
— Czegóż on chce?  
— Zapytaj go sam. Nam nie chciał podać powodów. Mówił, że powie tylko tobie.  
Inżynier zwrócił się do nieznajomego.  
— Czym mogę panu służyć?



— Ja chciałbym panu powiedzieć, hm... o tym tak hm... o tym – jękał się nieznajomy i wskazał na niedomknięte drzwi od gabinetu.

Zaniepokojenie wzrosło. Przybysz zachowywał się dotychczas tak dziwnie, że Barra najchętniej wyrzuciłby go za drzwi. Jednakowoż zdecydowane spojrzenie nieznajomego wskazywało, że tenże jest przygotowany na wszelką ewentualność. Należało raczej zachować przezorność. A nuż ten natrętny człowiek rzeczywiście miałby jakąś nadzwyczajnie ważną sprawę?

Barra przymknął nieco drzwi, niedomykających jednak. Widocznie inżynierowi zależało na tym by attaché słyszał całą rozmowę.

— Nie domyślam się nawet, – mówił inżynier, – o czym chce pan ze mną mówić. Obiecał pan, że nasza rozmowa potrwa trzy minuty, a tymczasem dwie już upłynęło. Czym więc mogę panu służyć?

Nieznajomy zawahał się chwilę. Spojrzał on najpierw na inżyniera, podniósł swą laskę ze srebrną gałką do wysokości nosa i lekko przymrużył oczy.

— Czego pan chce?

— Więc to pan jest tym genialnym wynalazcą No, ale wyglądu nie ma pan imponującego.

Ogłupiały Barra spojrzął na kobiety. Walentyna zaśmiała się

— Jak pan śmie? Jak się pan nazywa? – krzyczał inżynier.

— Ja. ja, a nazywam się Fitz Patryk – odpowiedział nieznajomy osadzając równocześnie swój nieszczęśliwy monokl.

— Jak? – skoczył inżynier.

— Patryk, ale to wszystko jedno, gdyż nazwisko i tak nieprawdziwe. Również i od pana nie życzę sobie niczego.

— W takim razie po co pan tu przyszedł?

— Ażeby zobaczyć pana i poznać go. Czy to nie jest jeszcze dostatecznym powodem?

Barra rzucił się z wściekłością.

— Mój panie, albo jest pan wariatem, albo najbezczelniejszym człowiekiem pod słońcem.

Nieznajomy zrobił minę niewiniątka.

— Panie, jestem... jestem naprawdę bardzo zdziwiony...

Barra zadzwonił, ale służba nie zjawiała się wcale.

Inżynier wzburzony biegał po pokoju.

— Co za bezczelność, przekłeta hołota, poco pan tu przyszedł? – wył niemal inżynier.

Lecz tych wykrzykników nie wziął do siebie nieznajomy.

— Panie, ja jestem doprawdy bardzo zdziwiony – powtarzał rzekomy Patryk.

Nagle inżynier zatrzymał się przed rudowłosym mężczyzną i przyglądał mu się uważnie.

Nieznajomy spojrzął w stronę żony inżyniera,

— Ta pani jest prawdopodobnie pańską małżonką. Czy wierzy mi pan, że ona mi się nadzwyczajnie podoba? Powiadam panu, śliczna dziewczyna.

Barra chwycił nieznajomego za kark.

— Panie, panie, ja jestem bardzo zdziwiony, krzyczał nieznajomy wylatując za drzwi.

## XVIII

### CIOS

Bezczelnego mężczyznę, przedstawiającego się. nazwiskiem Fitz Patryka, inżynier wyniósł z pokoju niemal na rękach.

Przez cały czas tej osobliwej podróży, nieznajomy zapewniał inżyniera o swoim najwyższym zdumieniu, usiłując równocześnie wyrwać mu się z rąk.

W pewnej chwili nieznajomy wypuścił z rąk laskę o srebrnej gałce.

— Panie, panie, darł się w niebogłosy nieznajomy, moja laska, moja laska ze srebrną gałką.

Barra podał mu laskę i otworzył wchodowe drzwi.

W parę sekund później nieznajomy wraz z laską i monoklem znalazł się w śniegu.

— Panie, panie – krzyczał wyrzucony, – ja jestem bardzo, bardzo zdumiony

Nieznajomy wstał, otrzepał się ze śniegu i zapewniając o swej niewinności i nieporozumieniu zniknął w długiej wjazdowej alei.

Wyprowadzony z równowagi inżynier, kłął i gromił niemiłosiernie służbę, za wpuszczenie do domu człowieka niepoczytalnego.

Służąca, brunetka o smagłej cerze tłumaczyła się ze łzami w oczach.

— Panie inżynierze zapewniam pana, że robiłam wszystko, aby nie dopuścić do katastrofy.

Hałas i krzyk na korytarzu zwróciły uwagę Dr. Petersa.

— Co się stało? Czy pali się? – spytał rozsierzonego inżyniera niemiecki agent.

— Proszę sobie wyobrazić, – odpowiedział inżynier ocierając pot z czoła – że te baranie głowy wpuściły do mieszkania człowieka obłąkanego.

— Dlaczego jednak wyrzucił go pan tak bezwzględnie. Z ludźmi umyślowo chorymi należy obchodzić się spokojnie.

— Łatwo panu w ten sposób mówić – odpowiedział Barra, – żeby pan jednak wiedział w jaki sposób on wdarł się tutaj, zaraz by pan zmienił zdanie. Gdybym nie posądzał go o obłąd, nie przypuściłbym nigdy, że tyle bezczelności znajduje się na świecie. Nosilem się z myślą wezwania policji.

Barra zbliżył się do drzwi pokoju i jakby przypomniawszy sobie zarzut Dra Petersa powiedział:

— Nic uważam abym był bezwzględny. Wyrzuciłem go, ale przypuszczam, że to go uzdrowi nieco. Niech nauczy się, że nie wolno mu nachodzić bezkarnie ludzi spokojnych.

Barra wszedł do pokoju, a po chwili usłyszał agent podniecony głos inżyniera.

— Dlaczego nie weszliście do pokoju kiedy zadzwoniłem?

— Nie słyszeliśmy wcale dzwonka, tłumaczyła się służąca.

— Pan inżynier wcale nie dzwonił, bronił się służący.

— W takim razie ktoś przeciął przewody elektryczne – krzyczał inżynier.

Zaciekawiony Dr. Peters wszedł do pokoju.

Barra zaczął się uspokajać, jak gdyby rozumiał, że wobec gości nie wolno mu wszczynać awantur.

— Kochany doktorze – mówił Barra znacznie spokojniej. – Bardzo pana przepraszam za zakłócenie spokoju.

Dr. Peters uśmiechnął się nieznacznie.

Inżynier patrzył przed siebie jakby w zamyśleniu, następnie podszedł do drzwi i badał dokładnie przewody

— Ach, teraz rozumiem dlaczego służba nie pokazała się wcale. Przewody są w tym miejscu przecięte.

— Istotnie zadziwiająco!

Nagle inżynier wybuchnął.

— Teraz dopiero zaczyna mi się wyjaśniać zachowanie się tego człowieka. Czyżby cała awantura była uplanowaną?

— Ale w jakim celu on to zrobił i czego chciał?

— Ale co się właściwie stało? – zapytał Dr. Peters.

— Ciekawa historia, odpowiedział Barra, lecz przepraszam, że nie opowiadam, bowiem wrócić muszę do wojskowego attaché.

— O kim pan mówi? zapytał się zdziwiony Dr. Peters.

— O delegacie pańskiego rządu – odpowiedział Barra. – Przyjechał już i pragnął zobaczyć torpedę przed spotkaniem się z panem. Nie jest on miły i wygląda na wielkiego pedanta.

Dr. Peters osłupiał ze zdziwienia.

— Co, kto przyjechał, attache? Ależ to nie możliwe.

— Dlaczego nie możliwe?

— Nie, to niemożliwe, aby przyjechał. Oczekuję go dopiero jutro w południe.

— Tak, ale attaché powiedział mi właśnie, że przybył wcześniej aniżeli początkowo obliczał.

— Jak się on nazywa? Inżynier podał nazwisko.

— Ależ to nieprawdziwe, – odpowiedział Dr. Peters – attaché tak nie nazywa się wcale. Delegat, który przyjedzie jest to niskiego wzrostu mężczyzna o bardzo miłym i wytwornym zachowaniu. Nie wyobrażam nawet sobie, aby w pierw nie porozumiał się ze mną. To jakiś oszust.

Barra chwycił agenta gwałtownie za ramię.

Sekundę później obaj mężczyźni biegli niemal ku drzwiom gabinetu inżyniera. Konstancja i Walentyna patrzyły na nich zdumione. Twarz Petersa była najokropniej przerażona.

Barra był oburzony.

— Oszust, oszust – krzyczał inżynier.

Drzwi od gabinetu były tak samo niedomknięte, jak pozostawił je inżynier. Barra pchnął drzwi, które otworzyły się na oścież.

Zaledwie jednak spoglądnęli do wnętrza pokoju, inżynier krzyknął i chwycił się za głowę.

Pokój był pusty.

Attaché zniknął, zabierając równocześnie ze sobą torpedę.

Inżynier wpadł do pokoju i patrzył z rozpaczą na miejsce, na którym jeszcze przed chwilą spoczywała torpeda. Barra bezmyślnie spojrzął na otwarty otwór w suficie jakby chcąc pokazać, że tym otworem torpeda uleciała w wszechświaty.

Zwykle opanowany inżynier odchodził od zmysłów, wskutek poniesionej straty. Ostatnie wypadki wydawały mu się tajemnicze i zagadkowe.

Dr. Peters przerażony kradzieżą obchodził gabinet i zauważył, że jedno okno otwarte.

Barra podszedł do okna i przyglądał się.

— Attaché prawdopodobnie uciekł oknem.

— Krag miał słuszość panie doktorze – powiedział po chwili inżynier.

— Pod jakim względem?

— Że łatwiej z gabinetu uciec, jak dostać się do niego.

Dr. Peters przytaknął milcząco głową.

Ruch i zamieszanie w gabinecie, sprowadziły do pokoju kobiety.

Barra zbliżył się do Walentyny i nieznacznie szepnął:

— Zgubieni jesteśmy Walentyno! Torpeda skradziona.

Oczy Walentyny zaświeciły dziko.

— Przez attaché?

— Nie, tylko przez człowieka, który przedstawił się jako niemiecki delegat. Był to zwyczajny oszust.

Walentyna opanowała się pierwsza. Otworzyła szereg drzwi, zaalarmowała służbę. W parę minut później, cały dom wiedział o zdarzeniu. We wszystkich korytarzach, sieniach i zaułkach rozlegały się kroki szukających ludzi.

Zawiadomiony o kradzieży przyszedł do pokoju Żyd Stefan.

Walentyna zbliżyła się do niego nieznacznie.

— Podeszli nas! – szepnęła.

— Kto?

— Nie wiem, zdaje mi się, że ktoś trzeci.

— A torpeda?

— Znikła!

— Znikła, znikła bez śladu – rozpaczął inżynier, biegając jak obłąkany po pokoju.

Walentyna usiłowała go trochę uspokoić, ale Barra odepchnął brutalne „Pająka” i w najwyższym podnieceniu wybiegł z pokoju.

Wysłano natychmiast ludzi w poszukiwanie za złodziejem na wszystkie strony. Po godzinie powrócili wszyscy, nie natrafiwszy nawet na ślady zbiega-Wiedzano tylko tyle, że złodziej umknął oknem, bowiem tu znaleziono ślady ucieczki. Pod oknem leżała porzucona piłka, której użył złodziej przy przepiłowaniu krat. Siady wskazywały, że zbrodniarz ześliznął

się po rynnie, biegnącej tuż koło okna. Złodziei musiał być zręcznym i dobrym gimnastykiem. Potrzeba było mieć dużą wprawę przy zsuwaniu się po rynnie z torpedą pod pachą. Była ona wielkości skrzypiec. Z pod domu ślady wiodły do lasu gdzie gubiły się zupełnie. Ponieważ ślady ucieczki spostrzeżono dopiero po dłuższym czasie, przeto złodziej musiał już znajdować się w bezpiecznym miejscu.

Żyd Stefan ujął przeszukiwania w swoje ręce, ale jego spryt i zdolności śledcze nie wiele przydały się.

W czasie przeszukiwania ktoś przypomniał sobie, że w domu znajduje się urzędnik policyjny.

Postanowiono zatelefonować do Dra Hofta, gdzie miał się znajdować detektyw. Dr. Peters przybity zupełnie kradzieżą torpedy, oświadczył się z gotowością zawezwania detektywa. Sprzeciwiła się jednak temu Walentyna i Bogu wiadomo dla jakich powodów zadzwoniła sama.

Już w pół godziny po wykryciu kradzieży. Walentyna uśmiechała się znacząco, a oczy jej patrzyły nieufnie.

— Czy mogłabym mówić z panem Asbjørnem Kragiem, pytała się Walentyna przez telefon.

— Tak jest – brzmiała odpowiedź – oddaję słuchawkę detektywowi.

— Czym mogę służyć? – usłyszał „Pająk”.

Nie ulegało żadnej wątpliwości, że przy telefonie był detektyw. Walentyna poznała jego głos.

„Pająkowi” nie pozostawało nic innego, jak powiadomić Kraga o sprytniej kradzieży i zdenerwowaniu panującym w domu.

Krag obiecał wrócić natychmiast.

Kradzież torpedy zaskoczyła wszystkich. Żyd Stefan i Walentyna w długiej konferencji omówili kradzież modelu i w szczególności wtajemniczyli inżyniera. Postanowiono, że włamanie do gabinetu nastąpi tej samej nocy, a tymczasem jakiś nieznany osobnik uprzedził ich o parę zaledwie godzin. Wszyscy byli najokropniej przerażeni, Żyd Stefan, Walentyna, Barra i Dr. Peters,

Nasuwało się na myśl ciągle pytanie, kto mógł być złodziejem.

Po długich bezskutecznych poszukiwaniach powrócił Żyd Stefan silnie zdenerwowany.

— Podeszli nas – mówił do inżyniera, – na razie przegraliśmy, ale tylko na razie.

W słowach tych kryła się groźba.

Stefan w swej bezsilnej wściekłości zaciskał pięści. W chwili gdy wynalazek miał już prawie w swoim ręku, gdy zwycięstwo było niemal pewne, ktoś sprzątnął mu z przed nosa zdobycz.

Wraz z Żydem Stefanem powróciła do domu z poszukiwań służba. Jedynym tylko sukcesem osiągniętym w czasie wyprawy, było znalezienie rudej peruki przechodzącej niemal w kolor czerwony.

— Czyja to peruka? zapytał zdziwiony Dr. Peters.

Barra aż podskoczył ze złości.

— Tego, tego hultaja, który tu był przed godziną.

— Attaché?

— Nie, tylko tego bezczelnego chłopaka.

— O niczym dotychczas nie słyszałem – zauważył Stefan.  
Walentyna opowiedziała dokładnie całe zdarzenie.  
Agent obcego mocarstwa, roześmiał się serdecznie.  
— Ależ to zupełnie genialny pomysł, o jakim dotychczas nie słyszałem.  
W tej chwili wszedł do pokoju Asbjørn Krag.

## XIX

### RYZYKOWNA GRA

Detektyw pozdrowił zgromadzonych ukłonem i usiadł na krześle.  
— Zapewne wie pan już o wszystkim, powiedział inżynier.  
Tak, telefonowała pana szwagrowa, jednak nie znam dokładnie szczegółów i gdyby państwo zaznajomili mnie...  
Żyd Stefan opowiedział dokładnie przebieg całej sprawy.  
— Kiedy miał pan otrzymać pieniądze? – zapytał detektyw zbliżając się do Barry.  
— Jutro o godzinie 12 w południe.  
— A warunki?  
— Warunkiem było, że torpeda miała być wykończoną i wojskowy attaché miał ją oglądać. Jutro attaché przyjedzie, ale gdzie jest moja torpeda?  
— Do tego czasu sytuacja musi się wyjaśnić — rzucił ironicznie Żyd Stefan. – Przecież w naszym gronie jest zdolny detektyw. – Rzucił ironicznie Żyd Stefan.  
Krag podszedł do kominka.  
— Nie przeczę wcale, że Dr. Peters zaangażował mnie do siebie jako swego detektywa. Nie mniej jednak jestem tutaj czymś więcej, a mianowicie doradcą prawnym.  
Dr. Peters potwierdził skinieniem głowy.  
— W ogóle cała ta sprawa – mówił detektyw, – przedstawia się bardzo zagadkowo. Mam niezbite niczym wrażenie, że z czyjejś strony prowadzi się dwulicową grę. Ośmielam się zaznaczyć, że Dr. Peters będzie dochodził swoich praw imieniem swojego rządu.  
— Co pan przez to myśli? – zapytał wolno Barra, patrząc ostro na detektywa.  
— Plany znajdują się jeszcze w ręku pana i sądzę, że Dr. Peters zażąda wydania takowych, celem pokrycia powstałych kosztów.  
— Nie ma o tym mowy.  
— Zatem umowę rozwiąże się, o ile modelu nie będzie do jutra na swoim miejscu.

— Pozwoli pan, że odpowiem za inżyniera – rzucił Żyd Stefan. – Barra planów z rąk nie wyda.

— Czy nawet w tym wypadku, gdy otrzyma całą należność?

— Nawet wtedy!

— Czym pan to usprawiedliwi?

— Ponieważ inżynier dotrzyma umowy.

— Nie rozumiem pana. Wszak torpedy nie ma.

— Łatwo pan zrozumie, gdy odpowiem, że torpeda będzie do jutra na swoim miejscu.

Barra spojrział zdumiony na Żyda.

— W gabinecie inżyniera? – zapytał detektyw.

— Tak jest. Jutro o godzinie 12-tej będzie na swoim miejscu w gabinecie inżyniera.

Żyd Stefan mówił tonem żartobliwym, ale wszyscy rozumieli, że mówi on serio.

Zapadał zmierzch. Asbjørn Krag powracał do willi lekarza, gdzie z powrotem zamieszkał. W pałacu inżyniera nie czuł się detektyw bezpiecznym.

— Jako powód zmiany mieszkania, podał przyczynę, że nie widzi potrzeby mieszkać u inżyniera, skoro nie ma torpedy.

Gdy detektyw wszedł do gabinetu lekarza, przywitał go Jens.

Asbjørn Krag podszedł do młodego chłopaka i uściśnął go za rękę.

— Zawsze ci mówiłem mój drogi, że jesteś nadzwyczajnym chłopakiem.

Jens jednak nie ucieszył się wcale pochwałą,

— Panie – odpowiedział Jens, – zdaje mi się, że bawimy się w niebezpieczną grę.

## XX

### DAWNY BARRA

Na uwagę swego pomocnika, Asbjørn Krag nie odpowiedział wcale. Detektyw podszedł do okna zsunął storę i zapalił lampę. W międzyczasie do pokoju wszedł lekarz. Żona inżyniera obiecywała przyrządzić doskonałą wieszak. Jens siedział w kącie i śmiał się ustawicznie. Nie potrzebował wcale towarzystwa, bawił się doskonale sam.

Żywy i ruchliwy Dr. Peters siedział teraz w fotelu i podziwiał szaloną odwagę detektywa. Załedwie tylko detektyw zasłonił okna, Dr. Peters otworzył kasę ogniotrwałą i wyjął z niej przedmiot bardzo podobny do futerału ze skrzypiec i położył go na stole. Wszyscy zebrani w pokoju pochylili się nad przedmiotem z ciekawością.

Futerał zawierał torpedę, owe arcydzieło bieżącego stulecia.

— Ach, gdybyśmy tylko plany wydostali – marzył głośno detektyw, – wówczas każdy inżynier mógłby nam bez trudu wykończyć torpedę.

— Bezwarunkowo, plany jednak znajdują się dotychczas w ręku Barry.

— Względnie może już przeszły w posiadanie Żyda.

— Prawdopodobnie. Czy nie sądzi pan, że od czasu kradzieży inżynier stanie się jeszcze ostrożniejszym ?

— Na pewno. Pomimo tego jednak musimy starać się wydobyć plany. Wykradzenie modelu było znacznie trudniejsze.

— Istotnie, wykradzenie torpedy było mistrzowskie.

— Charakteryzacja twoja jako attaché wprost wspaniała – zachwycał się lekarz.

— Nadzwyczajna, rodzona matka nie poznałaby go wcale.

— Wiem, że charakteryzacja moja była dobrą – godził się skromnie detektyw.

Dr. Peters oglądał z przyjemnością torpedę i dotykał prawie miłośnie miedzianych części składowych.

— Niezaprzeczalnie było to arcydzieło w sztuce włamywania się, godne króla włamywaczy.

Detektyw śmiał się serdecznie.

— Zawsze utrzymywałem, że jestem szczęśliwy, nie mając żadnego zatargu ze sprawiedliwością.

— Mam wrażenie – powiedział Dr. Peters, – że położenie nasze w tej chwili jest bardzo niebezpieczne. Żyd Stefan domyśla się wszystkiego.

— Tak jest, Stefan wie o wszystkim, wskutek czego położenie nasze pogorszyło się. Obecnie prowadzimy walkę, z trojgiem ludzi, na których względność nie możemy liczyć zupełnie.

— Czy jednak ta kradzież była konieczną? – zapytał Dr. Peters.

— Bezwzględnie – odpowiedział Krag, – o ile naturalnie zależało panu na wyratowaniu wynalazku.

— Czyż może pan wątpić?

— Nie było zatem innej drogi, jak ta którą wybraliśmy. W przeciwnym bowiem razie, torpeda znalazłaby się w rękach naszych wrogów. Wszak słyszał pan co powiedział Żyd Stefan zaraz po wykryciu kradzieży. „Na razie podeszli nas”. To słówko „na razie” dobitnie wskazuje, że jesteśmy ze sobą w dalszej walce. Zresztą powiem panom otwarcie, że do ostatecznej decyzji mojej, skłonił mnie koniec rozmowy, prowadzonej między „Pajakiem” a Żydem. Z rozmowy tej dowiedziałem się, że Barra nas zdradził i przekupiony przez Stefana pogodził się ostatecznie z niemi. Jeśli pójdę dalej po tej linii myślenia, to nie tylko pieniądze odegrały u inżyniera główną rolę. Czy przypomina pan sobie epizod z fotografią? Na pewno nie zapomniał pan tej gwałtownej zmiany, jaka zaszła u inżyniera, w chwili gdy znalazł na podłodze porzuconą fotografię. Czy to nie będzie powodem, który...

Do pokoju wpadła przerażona doktorowa.

— Idzie! idzie!...

— Kto idzie?

— Folgefuchtel, czy też Barra, jak wy go nazywacie.

— Zamknąć drzwi – rozkazał Krag.



Detektyw zamknął wieko futerału, ostrożnie go włożył do ogniotrwałej kasy, zamknął drzwi i klucz włożył do kieszeni.

Nie czekając na odpowiedź po zapukaniu wszedł do pokoju inżynier.

Kiedy przed godziną mężczyźni żegnali się z Barra, inżynier był zdruzgotany wiadomością o kradzieży, a w tej chwili zjawia się ten sam człowiek zupełnie spokojny i zrównoważony. Niezwykła tylko bladość wskazywała, że zaszłe wypadki wstrząsnęły nim gwałtownie.

Jak gdyby nie widząc obecnych, Barra podszedł do niemieckiego agenta i rzekł:

— Stało się nieszczęście. Jednak mam niepłonną nadzieję, że jeszcze wszystko da się naprawić.

— Pieniądze są jeszcze u mnie, zauważył Dr. Peters.

— Praca wytężająca i intensywna całego roku poszła na marne – skarżył się inżynier.

Asbjørn Krag wmieszał się do rozmowy.

— Nie podejrzewa pan nikogo o kradzież?

— Niestety, odpowiedział inżynier, a w dodatku pan, który był powołany, aby strzec wynalazku, nie był obecnym.

Krag rozłożył bezradnie ręce.

— Przypadek, panie inżynierze, bardzo bolesny przypadek.

Inżynier przystąpił nagle do detektywa.

— Czy nie mógłby pan odszukać modelu do godziny dwunastej jutro?

Asbjørn Krag zastanowił się.

— To zależy od tego, kto model wykradł.

— Jak pan to rozumie?

— Myślę, że jeśli pański wynalazek dostał się w ręce zwolenników przeciwnej partii będzie to niemożliwym.

— Przeciwna partia nie wykradła torpedy – podkreślił silnie inżynier.

— Dlaczego pan twierdzi z taką pewnością? – zapytał Dr. Peters.

— Na pewno wiem o tym – brzmiała odpowiedź inżyniera.

— Czyżby pan miał wiadomości od naszych przeciwników? – ironizował Dr. Peters.

— Wynalazek wykradł ktoś trzeci, rzucił inżynier, ale również jest możliwym, że...

— Co jest możliwe?

Barra na pytanie nie odpowiedział.

— Zresztą to wszystko jedno, kto jest sprawcą kradzieży. Przyszła mi pewna myśl do głowy i dlatego tu przyszedłem.

— Służymy panu!

— A mianowicie przyszedłem tu do panów aby dowiedzieć się na jakim stanowisku stanęli panowie wobec rozegranych wypadków.

— Wynalazek kupiliśmy od pana za sumę miliona marek. Niestety, torpedę skradziono panu. Nie mniej jednak w ręku pana są jeszcze rysunki. Czy nie prawda panie inżynierze?

— Tak jest – potwierdził inżynier.

— O kradzieży zawiadomieni mój rząd i jeszcze dzisiaj w nocy oczekuję rozkazów. Przed otrzymaniem ta owych nie mógłbym n czego panu

powiedzieć. Zwracam jednak panu uwagę, że wobec wypłacenia panu większej kwoty pieniężnej rysunki są naszą własnością

— Dotychczas otrzymałem tylko 750,000 Mk. Czy jednak w razie oddania panu rysunków, wypłaci mi pan resztującą kwotę?

Już Dr. Peters chciał zgodzić się na warunki Barry, gdy nagle wmieszał się detektyw do rozmowy.

— Zdaje mi się, że w tym wypadku nie może sam zdecydować Dr. Peters, lecz musi czekać na rozkazy.

Inżynier spojrział na detektywa i roześmiał się.

— Na to pytanie nie byli panowie jeszcze przygotowani.

Na twarzach zgromadzonych znać było lekkie zdenerwowanie.

— Może, ale widzę że rozmowa nasza nie doprowadzi do celu, zatem zapytam się pana bez ogródek. Jaki jest cel obecnej pańskiej wizyty?

— Słuszna uwaga. Powiem więc wszystko szczerze.

— Słuchamy zatem.

Barra zwrócił się w stronę Dr. Petersa.

— Od dwóch lat mam zaszczyt stać na usługach pańskiego rządu.

— I jak tuszę, rząd mój wyrównał wszelkie rachunki.

— Niestety, jednak już od pierwszej chwili nie cieszyłem się nadmiarem zaufania.

— Trudno temu zaprzeczyć – powiedział Dr. Peters, – lecz przyzna pan, że istniały ku temu powody.

— W tym okresie – ciągnął Barra dalej – oddałem pańskiemu rządowi nieocenione usługi. Czyż mam panu przypomnieć, że właśnie mnie panowie zawdzięczacie rozwiązanie problemu bezgłośnego karabinu?

Inżynier unosił się coraz bardziej.

— Kochany panie inżynierze – uspokajał go Dr. Peters, – zasług pańskich nie umniejszam wcale. Jednak proszę sobie tylko przypomnieć pod jakimi warunkami i wśród jakich okoliczności odstąpił pan nam swój wynalazek. Przyznaję, że nie spotkałem w swoim życiu człowieka bardziej dwulicowego, aniżeli pan. Nic pochlebiam sobie, ale znam pana. Wówczas, kiedy przyszedłem do pana z propozycją kupienia pańskiego wynalazku, miał pan dwie drogi, albo sprzedać swój wynalazek, albo...

— Albo dostać się do więzienia.

— Wybrał pan drogę przyjemniejszą i sprzedał pan swój wynalazek. Czy jednak przeprowadzona transakcja w tych warunkach jest dobrowolną? A to wszystko działo się w chwili, kiedy znano pana jako nieprzejednane o wroga ludzkości i obawiano się pana więcej, aniżeli najgorszego zbrodniarza. Zbrodniarzem jednak w pełnym słowa znaczeniu nie był pan nigdy. Musi mi więc pan przyznać...

— W jakim celu mówi ni pan to wszystko?

— Zaraz wytłumaczę. Pańska bezwzględność i okrucieństwo były bez granic. Bez najmniejszych skrupułów niszczył pan wszystko co stało panu na zawadzie. Raz wyłączył pan w całym Berlinie prąd elektryczny, ponieważ go pan potrzebował dla swoich doświadczeń. Drugi raz, no, to było wtedy gdy ostatecznie postanowiono pana uwięzić.

— I wówczas przyszedł pan do mnie – powiedział inżynier – pokazując w dziwnym uśmiechu zęby zwierzęcia drapieżnego. – Widzę, że istotnie

zna mnie pan trochę, jednak nie zupełnie. Fanatyczny wróg ludzkości jest całkiem inny od inżyniera Barry, któregoście panowie poznali w ostatnich czasach. Czy wierzy pan w to, że istnieje jakieś więzienie z którego bym nie wyszedł? Myli się pan. Nie obawiam się nikogo na świecie, a jeżeli wszedłem z panami w styczność, to miałem ku temu inne głębsze powody. W ostatnim czasie chciałem być umysłem twórczym, a nie jak dotychczas niszczy helskim. Zdarzyło się jednak, że w pewnej chwili przestałem wierzyć w swoje ideały i dlatego moi panowie... i dlatego jestem znowu, dawnym Barra.

## XXI

### CO TRZEJ MĘŻCZYŹNI SŁYSZELI

- Dr. Peters – mówił inżynier – sądzi, że sprzedałbym swój wynalazek innemu mocarstwu, o ile bym otrzymał za niego wyższą sumę. Czy mylę się panie doktorze?

— Mam to wrażenie – rzucił Dr. Peters. – A gdyby inne jakieś mocarstwo ofiarowano panu na przykład dwa miliony, co wtedy?

Barra spojrział na Dra Petersa.

— Być może, że wówczas zgodziłbym się. Dwa miliony to bardzo poważna kwota, a rysunki mam jeszcze w swoim ręku.

Dr. Peters zbliżył się do telefonu i ujął za słuchawkę.

— Jeśli to jest pańskim zamiarem, w takim razie aresztowanie pana nie przedstawi mi zbyt dużej trudności.

Barra poruszył przecząco głową,

— Nie... nie, nie myślałem tego naprawdę. To był tylko żart. A teraz wróćmy do naszych spraw. Kiedy zamierza mi pan wypłacić 250.000 Mk.?

— Jeśli attaché oglądnie wynalazek i uzna go za dobry.

— Kiedy przyjedzie attaché?

— Jutro.

— Zatem jutro pieniądze otrzymam. W przeciwnym bowiem razie uważać będę dotychczasową naszą umowę za rozwiązana, a skutki tego poniosą panowie sami.

Dr. Peters i detektyw spojrzeli na siebie znacząco.

— Pan mnie źle zrozumiał panie inżynierze – powiedział niemiecki agent. – Zazaczyłem wyraźnie, że nasz znawca musi naocznie oglądnąć pański wynalazek.

— Słusznie!

— Lecz jak pan to zrobi, skoro torpeda nie jest więcej w pańskim ręku. Wszak ukradziono ją panu!

— Czy attaché przyjdzie jutro o godzinie 12 ej?

— Tak!

— O tej godzinie będzie więc wynalazek na swoim miejscu.

Obecni zaniepokoiili się, a Dr. Peters spojrział niespostrzeżenie na ogniotrwałą kasę.

— To nazywa się być zawsze siebie pewnym – zauważył agent niemiecki.

— Słowa godne inżyniera Barry.

Barra spojrział przeciągle na detektywa i powtórzył wolno:

— Tak jest, są to słowa godne inżyniera Barry.

Pokój zaległo milczenie. Wszyscy utonęli we własnych myślach.

Barra przerwał milczenie pierwszy.

— Nie wiem doprawdy, dlaczego jeszcze dotychczas odgrywam rolę przyjaciela ludzkości.

— Kilkakrotnie wspominał pan – mówił Asbjørn Krag – o jakimś zdarzeniu, które zmieniło pana. Czy myślał pan wówczas o kradzieży?

— Nie!

— A zatem ja panu teraz powiem. Pan myślał o znalezionej na podłodze fotografii.

Barra podszedł do detektywa.

— Mam wrażenie, że jest pan moim przeciwnikiem.

Asbjørn Krag zmarszczył brwi.

— Byłem nim już przedtem – odpowiedział detektyw.

— Wiem o tym, ale wówczas uszedł pan moich rąk, ale teraz nie uda się to panu.

— Grozi mi pan?

Twarz Barry nagle wypogodziła się i inżynier roześmiał się serdecznie. Nie odpowiadając zupełnie detektywowi, zwrócił się inżynier do lekarza i dopytywał o żonę i dziecko. Lecz nim doktor Hoft zdołał odpowiedzieć, podszedł Barra do okna i otworzył je na oścież.

— Co Pan robi? – zapytał się zdziwiony Dr. Hoft.

— Chciałem się przekonać – tłumaczył się inżynier – jak wysoko leży okno nad ziemią.

— W jakim celu potrzebna panu ta wiadomość?

— Jeśli się nie mylę, złodziej bez trudności wtargnąłby do pokoju przez okno. Nie potrzeba nawet wcale używać drabiny.

Dr. Peters i detektyw spojrzeli na siebie zdziwieni.

— Ponieważ pan został z powrotem starym Barra, czy nie myśli pan o jakimś włamaniu?

— Nie, odpowiedział inżynier, zamykając z powrotem okno. Myślę tylko ciągle o swoich planach. Jeśli skradziono mi torpedę w sposób tak sprytny i bezczelny, czyż nie mogą mi również wykraść planów? Położenie moje wówczas byłoby jeszcze krytyczniejsze.

— Nie rozumiem do czego pan zdąża – powiedział Dr. Peters.

— Mój łaskawco, zdaje mi się, że powiedziałem bardzo wyraźnie. Przyszło mi na myśl, że moje rysunki będą tu bezpieczniejsze, aniżeli u mnie w domu. Tymczasem widzę, że nie może być o tym mowy. Panie doktorze, czy nie obawia się pan złodziei?

— Sypiam w sąsiednim pokoju, odpowiedział lekarz, wskazując równocześnie ręką żelazną kasę.

— A ja śpiam w gabinecie i mam zawsze przy sobie rewolwer – dodał detektyw patrząc, groźnie na inżyniera.

Barra udał, że nie widzi wzroku detektywa.

— Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak zatrzymać plany u siebie w domu – powiedział inżynier podchodząc do drzwi.

— A zatem do widzenia, łaskawi panowie.

— A koncert...? – zapytał Dr. Peters.

— Koncert? – zdziwił się inżynier.

— Myślę o jutrzejszym koncercie u pana w domu, na który pan łaskawie nas...

— Ależ naturalnie. Przecież pan jest moim gościem, na którego cześć odbędzie się wieczór i przypuszczam, że będzie pan łaskaw zagościć do nas.

— Sądzę jednak – tłumaczył Dr. Peters, – że w tych warunkach, kiedy skradziono panu model...

— Powiedziałem panom, że moja torpeda znajdzie się do jutra na swoim miejscu. Jak się nazywa attaché?

— Pułkownik Batt.

— Dziękuję. Przypuszczam, że i on zaszczyci nas jutro swoją obecnością. Uważa pan, że nie należało uczcić uroczystości dnia wykończenia wynalazku?

— Pewnie, ale...

— A poza tym moja żona i szwagrowa lubią bardzo tańce. Muzyka już zamówiona telegraficznie. Walentyna bardzo chętnie zatańczyłaby z panem walca.

— O jakim walcu pan myśli?

— Ach, o walcu z operetki księżniczka dolara. Do widzenia panom.

— Inżynier uklonił się nisko i zniknął, za drzwiami.

W parę chwil później detektyw widział przez okno, jak Barra szedł spieszenie ulicą w kierunku swojego domu.

Dr. Peters podszedł do kasy ogniowatej i poruszył drzwiami. Kasa była zamknięta.

— Jestem okropnie zdenerwowany – mówił Dr. Peters. – Nie ma pan pojęcia jak ten człowiek działa na mnie. Czy zauważył pan, że inżynier domyśla się czegoś?

— Myli się pan. Barra nie tylko domyśla się, ale jest pewnym. Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy inaczej postąpili?

— Wykluczone. Gdybyśmy nie wybrali drogi, którą idziemy, bylibyśmy pokonani. Uprzedziliśmy tylko „Pajaka” i Żyda Stefana. W tej chwili jesteśmy panami sytuacji. Niestety, inżyniera znam i wiem, że do wszystkiego jest on zdolny.

— Czy odważyłby się odkraść nam torpedę?

— Będzie na pewno usiłował. Ma on przebiegłych i odważnych sprzymierzeńców. Nie ulega żadnej wątpliwości, że obecnie inżynier połączył się z naszymi wrogami. Każdej chwili możemy się go spodziewać. Na pewno pracuje już i czai się koło nas. Czuję niemal w pobliżu jego obecność.

— Doktorze proszę zasunąć drzwi.

Lekarz drzwi zamknął. Był on jednak tak zdenerwowany, że celem uspokojenia się wyszedł do pokoju swej żony.

W tej chwili jednak zaszedł drobiazg, który jednak ze względu na następstwa trudno pominąć milczeniem.

Gdy doktor uspokoił się nieco, powrócił do gabinetu. Właśnie Dr. Peters utrzymywał, że torpedę należy spiesznie przenieść w bezpieczne miejsce.

Krag był tego samego zdania.

I oto zwykły codzienny epizod.

Doktorowa, prowadząca sama gospodarstwo domowe, otworzyła drzwi i zapytała męża.

— Joachimie, czy zamówiłeś u kobiety trzy kopy jaj?

— Nie zamawiałem, zresztą nie przypominam sobie – tępo odpowiedział lekarz.

— Kobieta przyniosła do kuchni kosz jaj i utrzymuje, że przyszła na twoje polecenie.

— Jest to nieporozumienie. W każdym razie gdy jaj potrzebujesz, to weź je.

Doktorowa opuściła pokój.

— Zaproponuje, abyśmy w tym pokoju zjedli wieczerzę – odezwał się Dr. Peters.

— Doskonała myśl, poparł Asbjørn Krag, w ten sposób będziemy ustawicznie czuwać nad ogniotrwałą kasą.

— O prośbie panów zaraz zawiadomię żonę – zgodził się lekarz.

W tej chwili z kuchni rozległ się rozpaczliwy krzyk.

Dr. Hoft zbladł.

— To moja żona krzyczy. Anna! – zawołał.

Krzyk rozległ się po raz wtóry.

Lekarz wypadł do kuchni, a za nim pospieszył Asbjørn Krag i niemiecki agent.

Po raz trzeci rozległ się krzyk coraz głośniejszy i rozpaczliwszy.

## XXII

### DLACZEGO NIKT NIE ODPOWIADAŁ

Trzej mężczyźni przebiegli jadalnię i salon. Dr. Hoft wpadł do kuchni, mając za sobą detektywa i Dr. Petersa. Spodziewali się zobaczyć coś okropnego, a tymczasem zobaczył przy oknie krzyczącą przeraźliwie doktorową

— Ratunku! pomocy! ona utonie!

Detektyw zbliżył się do okna i zobaczył obraz, który tak doktorową przestraszył.

Przed domem na podwórzu znajdowała się sadzawka, w którą wpadła kobieta. Trzymając się kurczowo kosza, starała się tonąca utrzymać nad powierzchnią wody, ale widać było wyraźnie, że zanurza się coraz bardziej.

— Staw jest bardzo głęboki, krzychał doktor, musimy ją natychmiast ratować, i raczej utonie.

W paru susach znalazł się detektyw nad stawem Nadeszli ludzie z pomocą i prawie bezprzytomną kobietę wyciągnięto na brzeg. Asbjørn Krag zastosował sztuczne oddychanie i kobieta wkrótce wróciła do przytomności.

Nad brzegiem gromadziła się gawiedź i detektyw polecił wnieść kobietę do domu lekarza.

Gdy jednak tonącą chciano położyć na nosze, kobieta sprzeciwia się temu.

— Dziękuję, zajdę sama.

Wszyscy wracali teraz do domu. Kobieta szła wolno tak wyczerpana, że lekarz i detektyw musieli ją podtrzymywać.

Doktorowa uspokoiła się natychmiast, gdy zobaczyła że kobieta żyje.

— Ależ to jest ta sama kobieta, od której przed chwilą kupowałam jaja, mówiła doktorowa.

Nie było jednak czasu na omawianie tej sprawy. Kobieta była zupełnie przemoczona, woda lała się z niej strumieniami, a zęby czekały ze zimna.

Asbjørn Krag zauważył, że kobieta była zupełnie przemoczona, z wyjątkiem głowy i twarzy. Detektyw stał się w tej chwili podejrzliwy i później, gdy zaszły inne wypadki Krag przypomniał sobie ten szczegół.

Twarz i włosy kobiety były zupełnie suche a wyczerpanie wystąpiło prawdopodobnie wskutek nadmiernego szamotania się w wodzie.

— Nie widziałam zupełnie stawu opowiadała kobieta szcękając zębami – liczyłam właśnie pieniądze i wpadłam do wody.

– Widziałam to wszystko – potwierdziła doktorowa, – gdyż stałam właśnie przy oknie. Byłam jednak tak przerażoną, że nie ruszyłam się wcale z miejsca, tylko krzychałam.

Pierwotną trwogę doktorowej zastąpiła teraz energia. Zaczynała się troszczyć o suchą odzież i zaproponować kobiecie, aby poszła z nią na drugie piętro i tam przebrała się.

Kobiety weszły na korytarz, ale nieznajoma po-wróciła natychmiast pod pozorem, że chętnie przebierze się w kuchni, nie chcąc zanieczyszczać podłogi w korytarzach ociekającą z ubrania wodą.

Mężczyzn powrócili do pokoju, a doktorowa pozostała z nieznajomą w kuchni.

Zdenerwowanie niemieckiego agenta wzrosło do tego stopnia, że postanowił zwrócić się do policji z prośbą o przysłanie warty.

Zasadniczo godził się Asbjørn Krag na projekt Dr. Petersa, nie wierzył jednak, aby policja wiele pomoże w razie, gdyby inżynier pokusił się na wykradzenie modelu. Barra użyłby jakiegoś wyrafinowanego sposobu, byle tylko odzyskać swój wynalazek.

Jedyną drogą upilnowania torpedy, było zdaniem detektywa użycie podstępów na podstęp.

Upłynęło pół godziny, a gospodyni nie pokazywała się wcale w pokoju, co zaniepokoiło lekarza.

Dr. Hoft wszedł do pokoju jadalnego, nic jednak nie wskazywało na przygotowania do wieczerzy. Pomocnik Kraga umizgał się w przedpokoju w najlepsze do służącej.

Gdy lekarz zwrócił się do dziewczyny z zapytaniem co słychać z wieczerzą, otrzymał odpowiedź, że pani nie dała żadnych poleceń.

— A gdzie pani?

— Z nieznaną kobietą w kuchni — brzmiała odpowiedź.

— Przecież to niemożliwe, aby przebranie się kobiety trwało pół godziny — powiedział lekarz, kierując się równocześnie w stronę drzwi kuchennych.

Dr. Hoft przycisnął klamkę, drzwi jednak nic ustąpiły z zewnątrz zasunięte. Lekarz zapukał — nikt nie odpowiedział. Zaniepokojony lekarz pukał coraz głośniej.

W kuchni panowała zupełna cisza, nikt nie odpowiadał.

Asbjørn Krag i niemiecki agent rozmawiali w gabinecie, gdy na progu stanął śmiertelnie blady Dr. Hoft

— Moja żona... — mówił lekarz, trzymając się klamki, aby nie upaść — moja żona...

W jednej chwili znalazł się detektyw przy przyjacielu.

— Co się stało? — pytał detektyw, trzęsąc przyjacielem — mów, człowieku mów...

— Moja żona — mówił lekarz prawie bezprzytomnie — nie daje mi z kuchni żadnej odpowiedzi.

— A czy jest w kuchni?

— Nie wiem, drzwi zamknięte. Wołam, ale nie odpowiada mi wcale.

— Może poszła do innego pokoju?

— Nie, nie — nie ma jej nigdzie, musi być w kuchni.

— A zatem stało się nieszczęście — powiedział poważnie Krag.

— Chodźmy, wysadzimy drzwi.

Dr. Peters podniósł się z krzesła.

— Pan zostanie w gabinecie — rozkazał detektyw. Czy ma pan rewolwer?

Dr. Peters wyjął z kieszeni wspaniałą browning.

— Proszę zatem pozostać tutaj.

— Czy sądzi pan, że?...

— Nie można niczego przewidzieć w tej chwili. Jeśliby ktoś siłą usiłował wtargnąć do pokoju — zastrzel go pan. A teraz usiądź pan zwrócony plecami do ściany i nie opuszczaj posterunku.

Dr. Peters wykonał polecenie detektywa.

Dr. Hoft i Krag przeszli przez pokój jadalny, salon, sień i zatrzymali się przed drzwiami kuchennymi

Drzwi były ciągle zasunięte.

Dr. Hoft zawołał kilka razy żonę po imieniu, nie otrzymał jednakowoż żadnej odpowiedzi.



— Wysadźmy drzwi — proponował lekarz.

— Czy do kuchni jest więcej wejść?

— Tak, ale z podwórza.

Obaj mężczyźni przeszli szybko podwórze i dostali się na schodki, wiodące do kuchni.

Koło domu stali grupkami rozmaici ludzie i rozmawiali ze służbą doktora. Wszyscy domyślali się jakiegoś nieszczęścia.

Gdy Ajbjørn Krag zjawił się z lekarzem na podwórzu, gromada ludzi usunęła się z przed drzwi. Detektyw nacisnął klamkę, ale i te drzwi nie ustąpiły.

— Najlepiej strzelić do zamku, — zaproponował lekarz— w ten sposób najprędzej otworzymy.

— Ostatecznie można by i w ten sposób otworzyć, ale czy pomyślałeś o kuli?

— Kuli?

— Wszak kula mogłaby trafić kogoś za drzwiami — odpowiedział detektyw, odbierając broń z ręki doktora.

Pod wpływem lęku o żonę, lekarz był prawie nieprzytomny.

— Po co wysadzać drzwi, kiedy mamy okno — zauważył Krag, zbliżając się do okna.

Przed oknem widniały zarośla a dalej ciągnęła się grządka z kartoflami.

Krag przypatrywał się uważnie i nagle spostrzegł na wilgotnej ziemi głębokie ślady. Detektyw położył się na ziemi i badał.

— Aha — mrucał raczej do siebie detektyw — tędy ktoś zeskoczył — tak, nie myślałem o tym, ślady bucika damskiego.

— To nie są ślady mojej żony — zauważył lekarz.

— Naturalnie, że nie — potwierdził Krag.

— Muszą to być ślady kogoś, kto usiłował wtargnąć przez okno do mieszkania. Kto to jednak być może?

— Mylisz się. To są ślady kobiety, która wyskoczyła przez okno.

— Ale kto to mógł być?

— Zaraz odpowiem — rzekł Krag, dając równocześnie znak Jensowi, aby się zbliżył.

— Odwróć się twarzą do ściany — rozkazał detektyw.

Jens wypełnił rozkaz swego przełożonego nie mrugnawszy nawet powieką i nie pytając w jakim ma zrobić to celu.

Detektyw chwycił się rękoma gzymsu okiennego i stanął na ramionach Jensa.

— Au — krzyknął Jens, nie ruszając się jednak wcale z miejsca.

— Naturalnie — krzyknął detektyw — okno otwarte.

Krag otworzył okno i w jednym skoku znalazł się na oknie.

Detektyw spojrział w głąb, nie powiedział jednak ani słowa co tam zobaczył.

— Idź do drzwi — rzekł Krag — zaraz ci otworzę.

Doktor podszedł ku drzwiom.

— Hallo! Czy to ty, Hoft? — zapytał detektyw z kuchni.

— Tak, otwórz!

— Otworzę, ale wpierw musisz mi coś obiecać.

— Zmiłuj się, otwórz — błagał lekarz — jestem bardzo niespokojny.  
— Obiecaj wpierw!  
— Cóż ci mam obiecać?  
— Obiecaj mi, że gdy wejdiesz do kuchni będziesz spokojny i zrównoważony. Powiem ci tylko, że twoja żona żyje.  
— Czy jest w kuchni?  
— Jest i zaraz ją zobaczysz.  
— Otwórz! otwórz! — krzyczał lekarz. Klucz obrócił się w zamku i drzwi otworzyły się.  
Dr. Hoft wpadł jak burza do kuchni.

## XXIII

### JESZCZE JEDNA KRADZIEŻ

Podłoga w kuchni była zupełnie zalana wodą.  
— Zamknij drzwi — rozkazał detektyw. Nie potrzeba nam zupełnie widzów.  
Lekarz zamknął drzwi, a następnie rzucił się do leżącej na podłodze kobiety. Była to żona lekarza.  
Asbjørn Krag zdjął chustkę z twarzy leżącej i podał ją lekarzowi.  
— Chloroform — powiedział Dr. Hoft.  
Dr. Hoft schylił się nad żoną i badał serce i puls. Trwoga i niepokoi znikły z twarzy doktora bez śladu. Lekarz był znowu zrównoważonym doktorem, mającym przed sobą tylko pacjenta.  
— Nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa — powiedział po chwili Dr. Hoft. Jest to tylko chwilowe omdlenie. Za pół godziny wróci do przytomności  
— Domyślałem się tego — odpowiedział Krag, badając ślady na parapecie okna.  
Badanie swoje ukończył detektyw szybko i obaj mężczyźni zanieśli omdlałą kobietę do przyległego pokoju, gdzie ułożyli ją wygodnie na sofce. Dr. Hoft przyniósł trzeźwiące sole i począł żonę cucić.  
— Co jednak stało się z naszą topielicą? — zapytał Dr. Hoft. — Nie widziałem jej nigdzie.  
— Ponieważ wyskoczyła oknem — odpowiedział Asbjørn Krag, spoglądając na przyjaciela.  
— Dlaczego to zrobią?  
— Jest to mniej zagadkowe jak sądzisz — odpowiedział detektyw. Kobieta, która tonęła odegrała doskonale komedię.  
— Co — komedię?  
— Tak jest. Całe jej tonięcie było komedią. Ona to właśnie zachlorowała twoją żonę.  
— W jakim celu?

— W tej chwili nie znam jeszcze powodów, ale jestem przekonany, że one musiały istnieć. Być może, że liczone było z naszym przerażeniem. Jednak cieszę się, że Peters pozostał w gabinecie i czuwa nad wynalazkiem. Agent odda prędzej życie jak wynalazek. A teraz pójdę zobaczyć co się dzieje w gabinecie.

Lekarz spojrzał błagająco na detektywa.

— Nie, nie — zaśmiał się Krag — zostań raczej przy swojej żonie. Dam sobie sam radę.

Krag nie spojrzał więcej na doktorową. Dla niego skończyło się zainteresowanie, gdy nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo.

Detektyw zbliżył się do drzwi.

— Jeszcze chwile. — zatrzymał go doktor — powiedz mi jeszcze co to była za kobieta?

— Myślisz o tej kobiecie co wskoczyła do wody?

— Tak jest.

— Handlarce jaj?

Lekarz skinął potakująco głową.

— Czyżbyś naprawdę nie domyślał się?

— Nie najzupełniej nie.

— Ależ to był „Pająk”, z całą pewnością Pająk” - rzucił detektyw zamykając za sobą drzwi gabinetu.

Dr. Peters siedział w gabinecie na tym samym stołku, odwrócony plecami do ściany z rewolwerem w ręku.

— Czy zaszedł jakiś wypadek w międzyczasie? — zapytał detektyw.

— Nie — odpowiedział Dr. Peters — dołatywał mnie tylko krzyk i biegania. Co się stało?

— Był „Pająk”

— Stało się więc nieszczęście!

— Na razie nie widzę go jeszcze — odpowiedział detektyw i w paru zdaniach opowiedział wypadek.

Agent niemiecki zaniepokoił się.

— Nie domyśla się pan celu odegrania tej komedii?

Detektyw zmarszczył czoło.

— Nie wiem. Być może, że chcieli nas śledzić, a może... Sądzę, że sprawa przedstawia się następująco: Walentyna przebiera się za biedną handlarkę i wciska się do kuchni. Lecz jej zadanie jest inne, gdyż inaczej potrafiłaby niewątpliwie wsunąć się do pokoju choćby pod bardzo urodnym pozorem. Tego jednak nie zrobiła, a zatem nie miała zamiaru nas śledzić. Cel tej komedii był całkiem inny. Zdaje mi się, że chciała wywołać w domu lekarza zamieszanie. Co jednak przez to chciała „Pająk” osiągnąć?

— Otóż to jasne. Prawdopodobnie chciała ona wywabić nas z mieszkania — zauważył Dr. Peters. „Pająk” musiał widocznie znać stan nerwowy do doktorowej i wiedział, że widok tonącej kobiety przerazi ją okropnie.

Detektyw zamyślił się głęboko.

— Chciała nas wywabić z mieszkania... — mówił detektyw do siebie.

Ciałem detektywa wstrząsnął gwałtowny dreszcz.

— Co się panu stało? — zapytał zaniepokojony niemiecki agent. — Dlaczego pan tak nagle zbladł ?

— Nic, nic — odpowiedział detektyw — to tylko znowu mała niespodzianka.

— Jaka niespodzianka?

— Proszę spoglądnąć na kasę! — Dr. Peters spojrział zdziwiony.

— Nic nie widzę nadzwyczajnego.

— Patrz pan lepiej! Nic pan nie widzi?

Niemiecki agent ruszył ramionami i postąpił parę kroków w kierunku kasy.

— Nie, nie — mówił detektyw, chwytając agenta za ramię. Nie zbliżaj się pan do kasy, a przypatrz się z tego miejsca. Co widzi pan teraz?

— Naprawdę...

— Proszę mi odpowiadać na pytania! — Chętnie!

— Czy przed naszym wyjściem z pokoju stała sofka tak blisko kasy ogniotrwałej?

— Nie — stała ona znacznie dalej. Oh, widzi pan, są nawet ślady przesunięcia.

— A poduszki?

— Tak, tak — i poduszek nie było w tym miejscu.

— Tak jest. Nie było ich tam zupełnie — odpowiedział detektyw i roześmiał się dziwnie.

Niemieckiemu agentowi zrobiło się zimno.

— Czyżby..., nie... nie do wiary!

— Usuń pan poduszki — rozkazał detektyw. Dr. Peters wykonał polecenie agenta. Upływały minuty, a nikt nie odezwał się słowem.

Dr. Peters stał jakby przykuty, nie mogąc uczynić kroku.

— Oto ma pan rozwiązanie tajemniczej zagadki — rzucił detektyw, wskazując na ogniotrwałą kasę.

Dr. Peters rzucił rewolwer na stół i upadł bezwładnie na krzesło.

— Podeszli nas!

— Tak — odpowiedział detektyw spokojnie — podeszli nas na razie — ale tylko na razie.

Przy bliższym oglądnięciu ogniotrwałej kasy pokazało się, że zamek był zupełnie rozerwany. Zbrodniarze musieli użyć do tego celu naboju dynamitowego o niezbyt wielkiej sile eksplozyjnej. Mała siła naboju tylko nieznacznie uszkodziła kasę. Poduszek musiano użyć prawdopodobnie dla stłumienia odgłosu wybuchu i dla zasłonięcia uszkodzeń. Detektyw otworzył drzwi kasy i spojrzął ciekawie do wnętrza.

Torpeda zniknęła bez śladu.

— Doskonale wykonane — mruzczał detektyw pod nosem. — Nasi przeciwnicy użyli sposobu, o który ich nigdy nie podejrzewałem. Powtórzyli oni naszą metodę, tylko w inny sposób. Nie da się zaprzeczyć, kochany doktorze, że uczniowie nasi zrównali się z nami.

— W tym czasie, gdy ratowaliśmy kobietę — mówił Dr. Peters.

— Tak jest — w tym właśnie czasie gdyśmy dbali, aby Walentyna nie przeziębła się, siedząc zbyt długo w zimnej wodzie, wtedy nasi

przeciwnicy wdarli się do mieszkania, swobodnie gospodarzyli i skradli nam torpedę.

— Nie wiem tylko jak oni weszli do gabinetu. Wszak drzwi były zamknięte, a nie widzę żadnych śladów włamania.

Asbjørn Krag roześmiał się.

— Wszyscy o tym wiedzą, że droga zbrodniarzy prowadzi zazwyczaj przez okno. Czy przypomina pan sobie drobny zresztą szczegół wizyty inżyniera? Zastanawiał się mianowicie Barra, gdzie jego plany byłyby bezpieczniejsze.

— Ach... okno!...

— Właśnie. Przypomina pan sobie, że inżynier otworzył okno i badał odległość okna od ziemi. Zatem przypomina pan sobie?

— Trudno nie pamiętać.

— Ale na pewno nie zauważył pan, czy inżynier zasunął zasuwki.

— Nie pamiętam tego.

— Zatem w tej chwili już wiemy, jaki był cel ostatniej wizyty inżyniera. Przyznaję, że była to niezwykła bezczelność otworzyć okno w oczach gospodarzy, aby ułatwić wejście zbrodniarzom.

— Niezwykła bezczelność!

— A jednak tak stało się — mówił detektyw niemal rozweselony tym wypadkiem. Oto przed nami to samo okno. Mówiłem zawsze, że inżynier to genialny człowiek. Któż jednak mógł się tego spodziewać? Czy to nie jest śmiesznym? Jestem pewny, że Barra otrzymał polecenie otwarcia okna, a jak wywiązał się wspaniale ze swego zadania, widzieliśmy na własne oczy.

Na dworze było ciemno. Asbjørn Krag wyjął swą elektryczną latarkę, wyskoczył przez okno i badał ślady na mokrej ziemi. Niedługo później detektyw powrócił tą samą drogą do gabinetu.

— I cóż pan znalazł — zapytał detektywa Dr. Peters.

Asbjørn Krag zamknął starannie okno, spuścił storę i usiadł wygodnie przy stole.

Ostatnie wypadki nie wyprowadziły go ani na chwilę z równowagi.

— Nie przypominam sobie kochany doktorze, czy kiedykolwiek wspominałem o mojej walce z inżynierem. Pamiętam doskonale wszystkie szczegóły, a nawet niektóre drobiazgi. To też stwierdzam z całą pewnością, że ślady, które przed chwilą badałem nie pochodzą od obuwia inżyniera. Wynalazek wykradł nam ktoś trzeci.

## XXIV

## LIST

Dr. Peters słuchał wywodów detektywa, stojąc przy oknie. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że ostatnia kradzież zmieniła zupełnie położenie detektywa.

Niemiecki agent był okropnie zdenerwowany. Palił on jednego papierosa za drugim, chodził nerwowo po pokoju i nie mógł nigdzie znaleźć dla siebie kąta.

— Proszę, usiąść — zapraszał detektyw Dra Petersa.

Niemiecki agent zapalił nowego papierosa i usiadł przy stole.

— Powiada pan — mówił Dr. Peters — że wynalazku nie wykradł inżynier. Czyżby naprawdę znalazł się jakiś trzeci amator?

Detektyw podniósł rękę do góry i liczył na palcach.

— Ten pierwszy palec — mówił uśmiechając się detektyw — to pan, który istotnie ma największe prawa do wynalazku. Następny palec — to „Pająk”, a wreszcie trzeci...

— Któż to taki?

— Żyd Stefan!

— Czyżby on wykradł nam model?

— Nikt inny, tylko on.

— Jeśli tak jest naprawdę jak pan powiada, to wszystkie trzy osoby sprowadzają się do jedności. Przecież oni pracują wspólnie.

— Tak, ale tylko do chwili, dopóki torpeda nie znajdzie się w ich rękach. Zakładam się kochany doktorze, że wówczas skończy się ich przyjaźń. W tym zacnym towarzystwie mieści się tyle łotrostwa, że nie może być mowy o prawdziwej zgodzie. Znam doskonale inżyniera i Walentynę, a nadto oceniam sprawiedliwie wartość Żyda Stefana. Z tych trojga osób on jest chyba najgorszy. Jeżeli model dostanie się w jego ręce, to Stefan będzie się starał wymknąć stąd jak najprędzej, nawet ze szkodą współników. Tacy jak on ludzie, zawierają potem umowy, aby ich nigdy nie dotrzymać.

— Kradzież byłaby się nigdy nie udała, gdyby nie przeraźliwy krzyk doktorowej — powiedział Dr. Peters.

Asbjørn Krag roześmiał się.

— Pan ciągle myśli o kradzieży. Ależ to był tylko przypadek — tylko przypadek kochany doktorze. Kto mógł przewidzieć, że ci ludzie będą się wzorowali na naszej metodzie. Zresztą stwierdzam lojalnie, że plan swój przeprowadzili świetnie. Ponieważ mamy dość dużo czasu...

Niemiecki agent zrobił zdziwioną minę.

— Powiadam, że mamy sporo jeszcze czasu — powiedział detektyw, podkreślając niemal każde słowo — możemy więc całkiem dokładnie skreślić plan, którym się posługiwali. Niestety udał się im równie dobrze, jak i nasz. W ich obliczeniach nic nie zawiodło. Irytuje mnie tylko, że inżynier potrafił w naszych oczach uprzystępnąć wtargnięcie do gabinetu.

Asbjørn Krag kreślił plan prawie mechanicznie.

Dr. Peters słuchał detektywa z uwagą, ale bezwiednie przyszło mu na myśl, że myśli Kraga błędzą gdzieś daleko poza rozmowę. Działo się to zawsze, gdy detektyw przedsięwziął nowy plan. Mógł on wtedy rozmawiać najswobodniej, układając równocześnie w myśli zawiłą batalię.

— Wyobrażam sobie — mówił detektyw — z jaką niecierpliwością wyczekiwali współnicy powrotu inżyniera. Wreszcie przyszedł Barra i zdał dokładne sprawozdanie. Walentyna świetnie ucharakteryzowana, wzięła do ręki przygotowany kosz z jajami i ruszyła w drogę. Nie zależało jej wcale,

aby dostać się do mieszkania lekarza, które prawdopodobnie zna z najdrobniejszymi szczegółami. Na wdarciu się do willi nie zależało jej zatem wcale. Czegóż więc chciała? Jej zadaniem było wywołanie zamieszania i wyciągnięcia nas z gabinetu, bodaj na bardzo krótką chwilę.

— Niesłychane! — rzucił Dr. Peters. — Więc w chwili, gdyśmy ratowali tonącą z wody... oni... oni wdzierali się do gabinetu? Ależ człowieku, przecież nasz pobyt na podwórzu nie trwał dłużej nad kwadrans.

— Tak i tę chwilę wykorzystał właśnie Żyd Stefan dla swoich celów. Na prawdopodobniej czekał on już ukryty między domami i w czasie, gdy usłyszał niezwykły ruch, nawoływania, pchnął okno i wlażł najspokojniej do gabinetu. W pokoju był już panem sytuacji. Prawie bez huku wysadził zamek w ogniotrwałej kasie. Znam ten sposób rozbijania kas. Tylko mniej sprytni i mniej doświadczeni zbrodniarze używają prastarego sposobu, wysadzając drzwi dynamitem. Sposób ten jest bardzo lichy. Przede wszystkim ryzykują oni, że kasa wyleci w po-wietrze, a następnie wybuch słyhać daleko. Stanowczo wolę metodę, którą wybrał Żyd Stefan. Do rozbicia kasy użył on naboju o niewielkiej sile eksplozyjnej. Nabój ten włożył w otwór klucza. Huk eksplozji nie był w ogóle duży, a ponadto Żyd zgłuszył go jeszcze poduszkami, wziętymi ze sofki. Wyjawszy model z kasy, Stefan wyskoczył oknem w chwili, gdyśmy wprowadzali kobietę do kuchni.

Przypomina pan sobie, że kobieta została sama z doktorową Jediną jej myślą teraz było wymknąć się z kuchni jak najprędzej. Tę bestię w ludzkim ciele poczęła nużyć grana komedia, a ponadto obawiała się, aby nie zdradziła ją peruka, oraz wyszminkowana twarz. Nie ulega wątpliwości, że musi ona pływać doskonale, gdyż głowa jej była zupełnie sucha. Czy wierzy mi pan doktor, że ten drobny szczegół, już wtedy zrodził we mnie pewne podejrzenia? Tak jest panie doktorze. Czasami przechodzimy w życiu obok podejrzanych wypadków, a jednak nie reagujemy na nie. Walentyna miała ze sobą chloroform. Uśpienie słabszej fizycznie doktorowej było dla Walentyny zabawką. Kilka minut wystarczyło, aby doktorowa leżała nieprzytomna na podłodze. Walentyna wyskoczyła oknem. Oto jest dokładny obraz dzisiejszego zdarzenia. Nie jest on jednak tak bardzo wesoły. Żyd Stefan uciekł, Walentyna wymknęła się nam z rąk, a myśmy zostali sami bez wynalazku.

W gabinecie zaległa cisza, zdenerwowany agent bębnił palcami po stole.

— Tak, teraz zda ę sobie sprawę jasno. Dziękuję za tak szczegółowe wyjaśnienia. Niestety — nie prowadzą one do niczego. Jestem zrozpaczony co będzie dalej.

Asbjørn Krag podniósł głowę i popatrzył na agenta.

— Ależ kochany przyjacielu, ja myślę o tym bez przerwy.

— Czy zdecydował się pan już na jaki krok?

— Mam już gotowych kilka planów, ale na żaden jeszcze nie zdecydowałem się — odpowiedział detektyw, przerzucając leżącą na stole książkę.

— Co pan przegląda? — zapytał Dr. Peters

— Rozkład jazdy — odpowiedział Krag i zbliżył się do telefonu.

Detektyw zatelefonował do policji w Friedrichshald, aby mu natychmiast przysłała pięciu ludzi ubranych po cywilnemu.

Gdy Asbjørn Krag skończył telefonować, Dr. Hoft wszedł do pokoju.

— Przeszkadzam panom? — zapytał dyskretnie lekarz.

— Nie — bezwarunkowo nie przeszkodzisz — zaprzeczył detektyw, — zresztą to się już stało.

Lekarz spojrział na siedzących zdumiony.

— Nic z tego nie rozumie.

Detektyw wskazał ręką przyjacielowi rozbitą kasę. W jednej chwili z poblądłej twarzy agenta niemieckiego lekarz domyślił się całej prawdy.

Asbjørn Krag opowiadał właśnie lekarzowi o zaszłym wypadku, gdy nagle zapukano do drzwi.

— Kto tam? — zapytał lekarz.

Do pokoju weszła pokojówka z oznajmieniem, że na podwórzu czeka posłaniec z listem. List ten miał być doręczony tylko do rąk lekarza. Pokazało się, że posłańcem był rządca inżyniera. Pojawienie się posłańca z pałacu o tej spóźnionej porze było prawdziwą niespodzianką.

— Przynoszę list od pana inżyniera — mówił rządca, spoglądając ukradkiem na detektywa

Dr. Peters odebrał z rąk rządcy list. Była to zwykła, biała koperta zaadresowana stojącym pismem inżyniera.

Niemiecki agent rozerwał kopertę i czytał:

„Wielmożny Panie!

Przepraszam bardzo, że przesyłam list tak późnym wieczorem, ale upoważniła mnie do tego bardzo radosna wiadomość. Otóż zawiadamiam, że po wielu staraniach i trudach udało mi się odzyskać z powrotem skradziony model. Niewątpliwie zaciekawia pana, kto był złodziejem, niestety powiedzieć tego nie mogę. Żałuję również, że bezczelni złodzieje nie poniosą zasłużonej kary, jednak pewne względy, o których nie chcę pisać, skłaniają mnie do zaniechania odpowiednich kroków. Najważniejszą jest jednak rzeczą, że model odzyskałem ku mojej i niewątpliwie pańskiej radości. Przypominając Panu warunki umowy.

kreślę się z poważaniem Barra.”

— Proszę podziękować panu inżynierowi za przysłanie nam wiadomości, która zarówno mnie jak i pana inżyniera ucieszyła — powiedział Dr. Peters, podając list detektywowi.

Rządca ukłonił się i wyszedł z pokoju, agent chodził zdenerwowany po pokoju.

Ten łajdak oszukuje nas. Zawiadamia o dotrzymaniu umowy, aby po odebraniu od nas pieniędzy mógł tym łatwiej oddać torpedę Żydowi.

— Nic nie będzie z jego projektów — rzucił spokojnie detektyw, wkładając na siebie okrycie i rękawiczki.

— Czy wybrał pan już jaki sposób, aby ratować wynalazek? — zapytał Dr. Peters.

— W tej chwili doszedłem do tej pewności, że pomoc nam może tylko kobieta.



## XXV

### PRZYKRA WIADOMOŚĆ

Ostatnie słowa detektywa, że tylko kobieca może ich wyratować z przykrej sytuacji, zaskoczyły obu mężczyzn. Nikt jednak nie żądał bliższych wyjaśnień. Detektyw miał już program działania, nie chciał jednakowoż o nim mówić. Dochodziła godzina jedenasta, gdy Asbjørn Krag począł się żegnać. Lekarz odprowadził go niemal do furtki ogrodowej. Na zapytanie przyjaciela, kiedy powróci do domu, detektyw odpowiedział wymijająco. Wraz z Kragiem wyszedł i Jens. Przy furtce mężczyźni pożegnali się. Agent poszedł gościńcem, a lekarz powrócił do swego gabinetu.

Z chwilą odejścia detektywa Dr. Peters stracił całą energię życiową. Przybity ostatnimi wypadkami, chodził ustawicznie po pokoju. Według zdania agenta, cała sprawa uchodziła za beznadziejną, a położony trud za stracony. Należało tylko obawiać się niespodzianek, których skutków nikt nie mógł przewidzieć.

Obaj mężczyźni zastanawiali się, co zrobią z ludźmi z policji, których Krag zamówił. Agent irytował się i coraz bardziej denerwował. Lekarz jednak uspokajał go. Znał on detektywa od lat wielu i wiedział, że Krag nigdy o niczym nie zapomina, więc na pewno będzie pamiętał o ludziach. Wezwanie pomocy policji musiało mieć jakiś określony cel.

W pół godziny później ozwały się na podwórzu kroki więcej osób. Była to policja, stosownie do polecenia detektywa ubrana po cywilnemu.

Jak twierdzili, przybyli oni celem udzielenia pomocy sławnemu detektywowi i oczekiwali z niecierpliwością wskazówek.

Niemiecki agent prosił ich, aby poczekali na detektywa, który wkrótce przybędzie i udzieli im rozkazów.

W przedpokoju ozwały się kroki.

— Otóż i on — odezwał się Dr. Peters.

— Myli się pan — zaprzeczył Dr. Hoft — to nie jego kroki.

Do pokoju wszedł Jens i przyniósł rozkazy dla przybyłych ludzi.

— Pilnować domu inżyniera — rozkazał Jens imieniem detektywa.

Stanowiska poszczególnych ludzi były ściśle wyznaczone przez Kraga. Ponieważ przybyli ludzie znali doskonale okolicę, przeto ustawienie placówek nie przedstawiało zbyt dużych trudności. Równocześnie wytłumaczył im Jens, dlaczego wziąć mają ze sobą nabite rewolwery. Otóż na polecenie Kraga nie wolno było nikogo wypuścić z osiedla inżyniera, a każdy kto stawiałby tylko opór, miał być natychmiast aresztowany. W ten sposób chciał przeszkodzić detektyw wywiezieniu torpedy. Wszyscy przysłani ludzie byli to silni, doskonale zbudowani mężczyźni. Wprawdzie nie grzeszyli inteligencją, ale na każdego można było liczyć pewnie. Każdy z tych ludzi straciłby raczej życie, aniżeli pozwolił komukolwiek wymknąć się z domu inżyniera.

Takich to ludzi powiódł ze sobą Jens.

Nim Jens opuścił willę, zapytał go lekarz, gdzie przebywa detektyw. Młody człowiek położył tajemniczo palec na ustach na znak, że nie może tego powiedzieć.

Obaj pozostali w gabinecie mężczyźni wyczekiwali detektywa z niecierpliwością.

Minęło pół godziny — godzina — detektyw nie wracał.

Dr. Peters walczył z ogarniającą go sennością. Ostatnie źle przespane noce odbijały się na nim. Wytrwale jednak siedział we fotelu i nad słuchiwał, czy Krag nie wraca. Wreszcie około godziny trzeciej usłyszano zbliżające się kroki Kraga.

Asbjørn Krag powrócił równie spokojny i zrównoważony, jak wychodził. Nic nie wskazywało na jakieś nadzwyczajne przeżycia.

Detektyw wolno zdejmował ze siebie okrycie.

— Umieramy z ciekawości — rzekł Dr. Hoft.

— Gdzie pan był? — zapytał Dr. Peters.

— Zrobiłem prześliczny spacer — odpowiedział Krag. — Nie uwierzcie panowie, jak pięknie jest na dworze. Taje zupełnie śnieg — czuje się w powietrzu wiosnę.

Dr. Peters zrobił zdziwione oczy

— Naprawdę?

— Szedłem przez cały czas w niezapiętym okryciu — mówił detektyw.

— Nie sądziłem nigdy — rzucił agent na pół gniewnie, że teraz jest najwłaściwsza pora do spacerów i zachwycania się przyrodą.

Asbjørn Krag roześmiał się.

— Dlaczegoż nie? — dziwił się detektyw — w życiu powinno się łączyć przyjemne z pożytecznym.

— Widzę twoje obłocone buciki — zauważył lekarz — musiałeś zatem odbyć spory kawał drogi.

— Pomyliłeś się, kochany przyjacielu — odpowiedział detektyw, spoglądając równocześnie na swoje obłocone obuwie. — Ze stanu mego obuwia nie można się niczego domyśleć i to tym więcej, że droga moja wiodła przez błota. Byłem w lesie.

— Domyślałem się tego — powiedział Dr. Hoft — złożyłeś może wizytę inżynierowi?

— Niestety! — Psy są bardzo czujne i dobrze strzegą domu. Udało mi się jednak zbliżyć dosyć niedaleko.

— Co pan zauważył?

— Byłem tam przed pół godziną. W gabinecie inżyniera świeciło się, zatem inżynier musiał pracować. Również i inne okna były oświetlone, a w całym domu panowało ożywienie.

— Naturalnie — powiedział Dr. Hoft — gotują się do wywiezienia torpedy.

— Albo też trwają przygotowania na jutrzejszy wieczór. Należy przecież godnie przyjąć swego przyjaciela.

Niemiecki agent zerwał się niecierpliwie z krzesła.

— Nie — doprawdy — pańskie żarty są w naszym smutnym położeniu wprost nie do wytrzymania.

Asbjørn Krag spojrział na sufit z miną niewiniątka. Detektyw zdawał sobie sprawę, że Dr. Peters umiera z ciekawości, ale tym więcej bawił się nim jak kot myszą. Było to w jego zwyczaju.

— Skontrolowałem wszystkie placówki — mówił spokojnie detektyw. — Są to naprawdę dzielni ludzie. Każdy z nich aresztował mnie kolejno, sądząc, że wymykam się z pałacu i gdyby przypadkowo nie było w pobliżu Jensa, nie wiem, co bym zrobił. W każdym razie to dowodzi, że można polegać na nich. Teraz już nie wymknie się nam Żyd Stefan.

Asbjørn Krag spojrział na zegarek.

— Pociąg wieczorny, mający połączenie z zagranicą, był dla nas najniebezpieczniejszym. Tym jednak pociągiem Żyd nie odjechał. Sądziłem, że będzie starał wymknąć się... jednak...

— Jak pan sądzi? Dlaczego nie wyjechał?

— Prawdopodobnie sprzeciwił się temu inżynier. Pomyślcie tylko panowie! 250.000 jeszcze mu nie wypłacono, a to jest bardzo dużo pieniędzy.

— Czy przypuszcza pan, że dopiero po otrzymaniu pieniędzy inżynier popełni oszustwo?

Detektyw skinął głową.

— Poza tym wchodzi tu w grę Walentyna. „Pająk” planuje coś, co nie stoi w żadnej łączności z Żydem i planami czy wynalazkiem inżyniera.

— Cóż ona zamyśla? — zapytał Dr. Peters.

— Wie pan dobrze — odpowiedział detektyw, — że gdzie wchodzi w grę kobieta, tam jest także miłość. Dziś wieczorem byłem nie tylko u inżyniera.

— Wreszcie, wreszcie — zawołał ucieszony agent — wreszcie teraz dowiemy się, co pan robił dzisiaj wieczoru.

— Gdzie jeszcze byłeś? — zapytał lekarz,

— Odwiedziłem tylko znajomego, który dotychczas nie odegrał zbyt wielkiej roli...

— Czy ma on dla sprawy jakie znaczenie?

— Olbrzymie — niemal rozstrzygające!

— Któż jest ten człowiek?

— Całkiem spokojny chłopiec — odpowiedział detektyw. — Być może, że słyszał pan już o jego nazwisku. Nazywa się Blinde.

— Praktykant leśnictwa?

— Ten sam.

— Rozmawiałeś z nim?

— Tak i wykryłem, że pomiędzy nim a inżynierową, względnie nim a Walentyną istnieje jakaś łączność,

— Czy sam Blinde opowiadał o tym panu?

— Nie, ale to wywnioskowałem z rozmaitych, danych. Blinde w ogóle nie chciał o niczym mówić, a moją wizytę uważał raczej za najście intruza. Czy wiecie panowie, że on wyjeżdża w najkrótszym czasie do Ameryki?

— Dawno już o tym opowiadają — potwierdził Dr. Hoft.

— Nie mniej będzie on jutro na przyjęciu u inżyniera.

— Tak — nie wiem.

— Prawdopodobnie i Barra nic o tym nie wie — odpowiedział detektyw, pogrążony we własnych myślach. — Blinde nie chce mówić i nie mogę się niczego od niego dowiedzieć. Domyślam się tylko, że i jego „Pająk” oplątuje swoją siecią czyli innymi słowy, gdzie kobieta knuje intrygi, tam głównym podłożem jest miłość. Prawdopodobnie Blinde przyjdzie do pałacu bez wiedzy inżyniera.

— Ale dlaczego? — Dlaczego?

— Tego na razie nie powiem panom. Walentyna dąży do tego i stąd wnioskuje, że wszelkie niespodzianki spotkać nas mogą dopiero na przyjęciu. Czy wiecie panowie, że Blinde żeni się?

— Nic o tym nie słyszałem.

— Tyle zdołałem dowiedzieć się. Udało mi się jednak coś więcej, a mianowicie wymogłem na nim pewną obietnicę.

— Jaką?

— Narzeczona praktykanta mieszka w Christianii i na telegraficzne zaproszenie jutro przyjedzie.

Dr. Peters aż klasnął w dłonie.

— Wszystko dobrze, ale nic z tego nie rozumiem.

Detektyw spojrział na agenta i roześmiał się.

— Odpowiem w kilku słowach. W tej chwili jest pan ogromnie zdenerwowany, a nie wiem, czy wyjaśnienie panu dokładnie całej sprawy uspokoi pana. Chcę to jednak bliżej określić „Pająk” i Barra znają mnie i wiedzą, że mogę ich każdej chwili zaatakować. Nie tracę nigdy nadziei, dopóki tli jeszcze bodaj isierka wiary w zwycięstwo. Jestem przekonany, że moi przeciwnicy przygotowują się do odparcia mego ataku. Zastosuję jednak metodę, której nikt nie spodziewa się nawet. Sadzę, że sprawę ująłem odpowiednio. Blinde będzie tylko ślepym narzędziem w moim ręku. Przez praktykanta zaatakuje Walentynę, a bardzo w ataku pomoże mi narzeczona Blindego.

— A zatem kobietą, która nam ma pomóc, jest narzeczona praktykanta leśnictwa.

— Tak jest.

— Nie bardzo jestem z tego objaśnienia mądry — powiedział Dr. Peters.

— Trudno — przed jutrzejszym przyjęciem nie dowie się pan nic więcej ode mnie.

Detektyw zacierał radośnie rękę.

— Najbardziej cieszę się — mówił Krag — że będę na jutrzejszym przyjęciu. Hallo — kto to dzwoni tak późno?

Nie ulegało wątpliwości, że ktoś dzwonił przy drzwiach wejściowych. Dr Hoft wyszedł do przedpokoju, a za nim wysunął się detektyw.

— Kto tam? — zapytał lekarz.

— Pilna depesza dla Dra Petersa.

Posłaniec z poczty wszedł do willi.

Dr. Peters otworzył gorączkowo depeszę i nagle zbladł.

— Co się stało? — zapytał detektyw.

— Przykra wiadomość!

Asbjørn Krag wziął blankiet z rąk Dra Petersa i czytał:

„Z powodu nieprzewidzianych okoliczności przyjadę dopiero jutro wieczorem. Pułkownik Batt.”

- Co to za pułkownik? — zapytał detektyw
- Wojskowy attaché — odpowiedział Dr. Peters Opóźnienie to nieszczęsne stawia mnie w okropne położenie. Muszę, bowiem koniecznie wypłacić 250.000, gdyż inaczej umowa zostanie rozwiązana.
- Ma pan pieniądze?
- Mam czek na północnoniemiecki bank.
- Zatem pan jutro wypłaci
- Czy jednak w tych okolicznościach nie będzie to lekkomyślnością? — zapytał Dr. Peters
- Wypłaci pan, a za pieniądze pańskie ja odpowiadam — odparł detektyw.

## XXVI

### KIEDY WYBIJA GODZINA UMOWY...

Dr. Peters i lekarz byli tak znużeni i wyczerpani nerwowo, że po rozstaniu się z detektywem usnęli natychmiast snem kamiennym. Jedyne detektyw nie położył się wcale. Asbjørn Krag włożył okrycie i poszedł kontrolować rozstawione placówki. Wszystko było w najwyższym porządku W osiedli inżyniera było cicho i spokojnie, w oknach światła zgasły.

Już o godzinie 7. rano detektyw wyciągnął z łóżka dyrektora policji w Friedrichshald i odbył z nim konferencję, a następnie udał się do zawiadowcy stacji.

W ten sposób rozpostarł detektyw gęstą sieć wokoło domu inżyniera i ogarnął nią mieszkańców pałacu. Nikt nie mógł się wymknąć niespostrzeżenie.

Gdy detektyw powrócił około godziny dziesiątej z rana do willi lekarza, domownicy siedzieli właśnie przy śniadaniu.

Wszyscy pragnęli dowiedzieć się czegoś nowego, jednakowoż detektyw pytania zbywał milczeniem. Jednak z ożywienia i werwy, jaką z sobą detektyw wnosił, można było wywnioskować, że nie stracił on jeszcze nadziei.

Przed godziną 12 tą detektyw i Dr. Peters pojechali sankami lekarza do osiedla inżyniera. Zbliżała się godzina, w której niemiecki agent musiał nieodwołalnie wypłacić inżynierowi resztującą kwotę 250 000 Mk.

Kiedy sanki zajechały przed pałac, w drzwiach domu przywitał ich uśmiechnięty gospodarz.

— Domyślam się — mówił inżynier ironicznie — że przyjechali panowie złożyć mi życzenia z powodu odnalezienia torpedy. Powiem szczerze, że

wydobycie modelu nie było zbyt trudnym, wymagało jednakowoż użycia niewinnego podstępu,

— Istotnie domyśli się pan słusznie powodu naszego przyjazdu — odpowiedział detektyw. Przyjechaliśmy złożyć panu życzenia a równocześnie wypłacić należną panu sumę 250 000 Mk.

Inżynier zamieształ się nieco.

— Lecz nie widzę wojskowego attaché?

— Z powodu nieprzewidzianych okoliczności pułkownik Batt przyjedzie dopiero dzisiaj wieczorem, a pieniądze stosownie do zawartej umowy muszą być wypłacone najpóźniej o godzinie dwunastej.

Asbjørn Krag spojrział na zegarek.

— Brakuje jeszcze dziesięć minut, zatem mamy jeszcze czas.

— Czy nie zaprosi nas pan do pokoju?

— Ależ proszę, bardzo proszę — odpowiedział inżynier.

Mężczyźni przeszli przez wspaniałą przedsiónek i weszli do salonu.

— Może pozwolą panowie dalej — zapraszał Barra, wskazując na żelazne drzwi gabinetu.

— Jeśli to panu tylko wygodniej — rzucił Dr. Peters obojętnie.

Inżynier spojrział na zegar, otworzył drzwi gabinetu i wpuścił gości.

Na drewnianej podstawie spoczywała torpeda.

— Nie uwierz mi panowie — mówił inżynier, obserwując równocześnie przybyłych — jak jestem szczęśliwy z odzyskania modelu.

Dr. Peters otwierał torebkę na akta.

— Ponieważ nie chciałbym prosić, aby pan inżynier zaczekał na wypłatę do wieczora... przeto...

— Pozwoli pan, że przerwę — powiedział inżynier. — Jeśli wypłata w tej chwili przedstawia panu choćby najmniejsze trudności, poczekam bardzo chętnie do wieczora.

— Nie, nie — zaprotestował detektyw — Dr. Peters wie o tym, że ma panu pieniądze wypłacić dziś do godziny dwunastej i na pewno umowy dotrzyma. Mówiąc innymi słowy, Dr. Peters wypłaci panu zaraz 250.000 Mk.

Inżynier był podniecony i energicznymi krokami spacerował po pokoju.

— Naturalnie, naturalnie — mruzczał Barra pod nosem.

— Proszę — oto czek — powiedział Dr. Peters — podając inżynierowi kawałek papieru. — Prawdopodobnie czek na tak wysoką kwotę jest w Norwegii wystawiony po raz pierwszy. Sądzę, że zgodzi się pan na niego.

Inżynier wziął czek do ręki i popatrzał uważnie.

— Północno-Niemiecki Bank — tak zgadzam się — odpowiedział zmieszany inżynier. Zatem otrzymałem całą należność.

Dr. Peters skinął milcząco głową.

— Prosimy zatem o wydanie nam wynalazku.

— Pozwolą panowie, że odwołam się na umowę. Wedle niej mam prawo oddać wynalazek w trzy dni po otrzymaniu należności. Z prawa tego korzystam, gdyż brakują mi jeszcze drobiazgi do ostatecznego wykończenia.

— Dobrze — poczekamy zatem trzy dni.

Barra z ciekawością przyglądał się czekowi.

— Wprawdzie nie są to pieniądze, ale każdy bank wypłaci z pewnością.

— Filia Banku Północno-Niemieckiego znajduje się w Friedrichshald. Sądzę, że mają oni dosyć pieniędzy.

Barra złożył starannie czek i schował go do kieszeni.

Detektyw zbliżył się do inżyniera.

— Więc pan naprawdę posunął się tak daleko, że może wykonać każde łotrństwo?

W źrenicach inżyniera zamigotała wściekłość, ale wnet zapanował nad sobą i odpowiedział spokojnie:

— Tak jest!

— A więc jeszcze jedna kradzież — zauważył ironicznie detektyw. — Ha, trudno! Zwrócę panu tylko uwagę, że w tej grze ważymy się na wszystko. Musimy zatem użyć wszelkich możliwych środków ostrożności...

— Już zastosowali je panowie — podchwycił Barra. — Dziś w nocy las dziwnie się ożywił.

— Nie przeczę wcale temu. Każda ścieżyna jest pilnie strzeżona.

— Ma pan ludzi zaufanych?

— Nawet bardzo!

— Jestem panu za to bardzo wdzięczny. Dopiero teraz jestem pewny, że do domu nie wejdą niepowołani goście.

— Być może, ale równie trudno wymknąć się niepostrzeżenie z pańskiej osiedli.

— Ach!

— Mam wrażenie, że słowa moje traktuje pan humorystycznie.

— Czyż można naszą rozmowę inaczej traktować? Wszak pan całkiem otwarcie posądza mnie o to, że chcę popełnić nowe łotrństwo.

— Proszę się nie dziwić. Pan sam oświadczył, że został ponownie dawnym Barrą. A dawnego Barrę znam dobrze...

Inżynier nagle spoważniał.

— Nie jest zatem dla pana niespodzianką, co ja myślę. Stosownie do zawartej umowy, otrzymał pan pełną sumę. Jednakowoż zarówno wynalazek jak i plany znajdują się jeszcze w pańskim ręku. Nie mam zamiaru odgrywać komedii. Wiem, że w pańskim domu znajdują się dwie osoby, które poruszą niebo i ziemię, byleby tylko torpeda dostała się w ich ręce. Tymi osobami są: pańska szwagrowa i agent innego mocarstwa. Zapytam więc pana szczerze, ile obiecano panu za pański wynalazek?

— Dwa miliony — odpowiedział detektyw, nie mrugnawszy nawet powiekami.

Niemiecki agent usiadł bezwładnie na krześle.

— Dwa miliony – dwa miliony! — O Boże! wołał przerażony Dr. Peters.

— Istotnie, jest to bardzo dużo pieniędzy — mówił pokornie detektyw – a jeśli do tego doda się, że nie ma pan wielkich życiowych skrupułów, to dochodzimy do przekonania, że zgodzi się pan na tę propozycję

— Zaiste — prowadzimy niezwykłą rozmowę — zauważył Barra, uśmiechając się.

— Zapewne — potwierdził Asbjørn Krag — ale prowadzę ją w tym celu, aby ostrzec pana inżyniera. W tej chwili gram *va banque* i... wygram.

Przed upływem trzech dni rysunki i model muszą znaleźć się w ręku mego klienta.

— Czy nie przemyśliwa pan nad nową kradzieżą? — zapytał ironicznie Barra.

Asbjørn Krag stanął przed inżynierem i spojrzał mu energicznie w oczy.

— Odpowie mi pan szczerze na pytanie?

— Zobaczę!

— Czy w tej chwili stoję przed dawnym, czy też nowym Barra? Stoję przed duchem zniszczenia i nienawiści, czy też przed genialnym umysłem twórczym?

— Czas i okoliczności pokażą. Powiem tylko, że panowie obdarzyli mnie wielkim i zgoła nieoczekiwanym zaufaniem.

— Odpowiedział mi pan najzwyczajszym konwenansem. Odpowiem tylko że pod niektórymi względami myli się pan zasadniczo.

Twarz inżyniera przybrała nagle kolor szary. Jakaś wściekłość odmalowała się w oczach Barry do tego stopnia, że przestraszony Dr. Peters zerwał się z krzesła.

— Proszę więcej o tym nie mówić, gdyż mogę zapomnieć, że jest pan moim gościem.

Obaj mężczyźni patrzyli sobie chwilę w oczy.

— Zanim stanie się to, co pan zamierza, będę z panem jeszcze mówił. Proszę tylko pamiętać, że jestem silniejszym.

— Panowie się pewnie śpieszą — rzucił inżynier w odpowiedzi, otwierając równocześnie drzwi.

— Zatrzymaj go pan chwilę w gabinecie — szepnął Krag agentowi, przechodząc do salonu.

W salonie zastał detektyw inżynierową, przeglądającą ranną pocztę. W ostatnich czasach piękne jej rysy znacznie zaostrzyły się, wyglądała bardzo mizernie.

Krag podszedł do niej.

— Muszę z panią mówić!

— W jakiej sprawie?

— O nim — o praktykancie leśnictwa

— Nie! — Nie!

— Muszę — koniecznie — proszę mnie wyszukać nim rozpoczną się tańce.

Drzwi od gabinetu otworzyły się.

— Cieszę się bardzo, — kończył detektyw — że będę miał przyjemność być dzisiaj wieczorem.

Do pokoju wszedł Dr. Peters z inżynierem.

— Wierzę, że dziś będzie doskonała zabawa — rzucił inżynier — Przygotowałem na cześć moich gości mnóstwo niespodzianek.

— Dobry znak — szepnął detektyw.

Gdy mężczyźni wychodzili, detektyw spojrzał na zegarek.

— Pochodzi pierwsza.

— Nie rozumie pana?!

— Sądzę, że to najwyższy czas.

— Dlaczego?



— Bo jeśli pan dzisiaj chce zrealizować czek, musi pan natychmiast wysłać posłańca.

— Wyślę natychmiast, jeśli mu panowie zapewnią swobodne przejście.

— Naturalnie. Zaraz powiadomię o tym swoich ludzi.

Inżynier zbliżył się do detektywa i patrząc mu w oczy, zapytał ironicznie:

— Jak pan sądzi, panie Krag, czy czek musi być dzisiaj zrealizowany?

— Wychodząc z pańskiego założenia, uważam to za najkorzystniejsze — odpowiedział spokojnie detektyw. — Do widzenia, panie inżynierze.

Właśnie Dr. Peters wsiadał do sanek, gdy z pałacu doleciał mężczyzna drwiący śmiech. Dr. Peters wzdrygnął się nerwowo.

— Kto o tak strasznie się śmieje? — zapytał niemiecki agent.

— „Pająk” — odpowiedział Krag i powiem nawet panu co jest tego powodem.

— ?!!

— Śmieje się, ponieważ pan wypłacił 250 000 Mk.

## XXVII

### PRZYJĘCIE

Przed wspaniale oświetlonym pałacem inżyniera aż zaroilo się od sań, bryczek i ekwipaży wszelakiego rodzaju. Do pałacu wchodzili goście za gośćmi, serdecznie witani przez gospodarzy. Ogólną uwagę zwracała niezwykła bladość inżynierowej oraz wyborny, tryskający życiem humor Walentyny. Podobnie jak i na poprzednim przyjęciu, goście nie czuli się swojsko, dzielili się na kółka i kółeczka, rozmawiając półgłosem. Dopiero po długich a mozolnych usiłowaniach Walentyny udało się jej nieco gości rozruszać i dopiero, gdy zagrała wyborna muzyka, zapanowała swoboda i ochota. Pośród zaproszonych nie brakło również detektywa i niemieckiego agenta. Wobec niemieckiego agenta zachowywał się inżynier nadzwyczaj serdecznie i gościnnie.

Uprzejmość gospodarza męczyła tylko Dra Petersa, nie mógł jednak uwolnić się od niej bodaj na chwilę. Zrozpaczony niemal począł szukać oczyma detektywa, ten jednak znikł w tłumie. W pokojach panował gwar, harmider i ścisk. Około stu osób przesuwano się przez pokoje inżyniera.

Wreszcie po długim szukaniu niemiecki agent spostrzegł detektywa rozmawiającego z gospodynią domu. Ożywienie, z jakim rozmawiali, wskazywało, że mówili o rzeczach ważnych.

Chcąc odwrócić uwagę inżyniera od rozmawiających, wszczął Dr. Peters żywą rozmowę.

Rozmowa detektywa z inżynierową trwała zaledwie około dziesięć minut i Dr. Petersowi zdawało się, że Krag zaniepokoił się

Dr. Peters zdawał sobie dokładnie sprawę, że nie opanowuje całej sytuacji. Nie przewidywał jak się to wszystko skończy, czuł tylko, że rozwijające się w szalonym tempie wypadki uchwyciły i jego w szalony tan.

Jedynie tylko detektyw zachował dotychczas zimną krew. Po długim szamotaniu się wewnętrznym przyszedł Dr. Peters do przekonania, że całą dalszą inicjatywę zostawić należy detektywowi.

Asbjørn Krag skończył właśnie rozmowę i przesunął się przez salon w kierunku odległego kąta, w którym stały palmy. Pośród nich zniknął detektyw nagle, jak gdyby wpadł pod ziemię.

Nagle wzrok agenta spoczął na Walentynie. Stała ona z inżynierem w pobliżu palm, wśród których zniknął detektyw.

Rozmowa osiągnęła punkt kulminacyjny. Inżynier mówił cicho, prawie szeptem, ale gdyby nawet mówił głośniej, niewiele osób zrozumiałoby ją.

— Zaczynam w słowa twoje wierzyć — mówił inżynier do Walentyny, zaciskając pięści tak silnie, że aż zatrzeszczały kości. — Ostatnich 24 godzin jest ona strasznie blada i roztargniona. Dręczą ją na pewno wyrzuty sumienia, a jednak ile razy spojrzę na jej czyste oczy, podejrzenia moje upadają.

— Mówiłam ci już — szeptała Walentyna — że ci udowodnię jej winę.

— Czekam, ale równocześnie zapamiętaj to sobie, że jeśli dziś wieczorem nie dostarczysz mi dowodów, jeśli tylko kierujesz intrygi celem poróżnienia nas, wówczas znienawidzę cię śmiertelnie. Nie uwierzysz jaką mam ochotę pójść do niej i powiedzieć o wszystkim, zażądać równocześnie wyjaśnień.

— Nie rób tego! — Tym krokiem zburzyłbyś cały mój plan i nie dowiedziałbyś się niczego. W tej chwili ona nie domyśla się nawet.

Barra patrzył na swoją żonę. Szła ona w tej chwili przez salon wsparta na ramieniu Dra Petersa.

— Czy fotografia nie przekonała cię jeszcze? zapytała Walentyna.

— Nie — odpowiedział Barra — to nie jest jeszcze dostatecznym dowodem.

Inżynier wyjął z kieszeni fotografię i chwilę przyglądał się jej i wreszcie spojrzał ostro na Walentynę.

— Również mam silne podejrzenie, że to nie ona pisała. Pismo wprawdzie bardzo podobne a przecież różne.

Barra czytał:

„Serdeczne pozdrowienia. Nie zapomnę cię nigdy. Będzie dla nas obojga lepiej, jeśli nigdy nie przekroczysz progu mojego domu.

Konstancja.”

Inżynier schował fotografię do kieszeni.

— A jeśli przekonam cię, że oni spotkają się dzisiaj wieczoru? Co wówczas?

— Wówczas strasznie się zemszczę! Wtedy przekonacie się, że dawny Barra jeszcze żyje!

Inżynier przesunął rękę po czole i szeptał jak gdyby do siebie:

— Straszne — to straszne... schadzka miłosna pod moim dachem... dziś, wieczorem...

Nagle Barra roześmiał się.

— Jacy ci ludzie są strasznie dziwni. Nikomu nie można nigdy wierzyć i dlatego powinno się ich nienawidzić.

— Sądziysz?!

— Tak, tak! Powinno się z nimi wszystkimi walczyć i wszystkich pokonać. Oto dewiza życiowa. Gdzie mają się oni ze sobą spotkać?

— W twojej pracowni.

— Ach!

— Ona wie, że tam nikt nie przeszkodzi. Dlatego wzięła klucz od twego gabinetu. Czy tam przechowujesz biżuterię Konstancji?

— Tak jest, w kasie ogniotrwałej!

— Tam, gdzie przechowujesz plany?

— Tak jest. Kiedy dasz mi znać?

— W chwili, gdy muzyka zagra mojego walca.

— Twego walca?

— Walca z operetki „Księżniczka Dolarów”.

— A co wówczas?

— Wówczas otworzysz drzwi gabinetu, a gdy będą zamknięte, wysadzimy je.

— Dobrze. Mam przygotowany nabój dynamitowy.

Z ust „Pajaka” wypłynął szatański śmiech.

— I rewolwer także? — zapytała Walentyna.

— Tak i rewolwer — odpowiedział twardo inżynier.

— Ale gdzie jest detektyw? — zapytała Walentyna, spoglądając na wszystkie strony.

Asbjørna Kraga nigdzie nie było widać

— Rozejdźmy się. — rzekła Walentyna — Pod oknem stoi Dr. Peters i spogląda w naszą stronę. Nikt nie może nawet domyślać się o czym mówiliśmy. Czy porozumiałeś się ze Stefanem?

— Tak — wszystko w porządku. — On wykradnie torpedę.

— Straż koło pałacu?

— Śnieg znikł zupełnie. Podjedźcie autem i trudno będzie go uchwycić, tym więcej, że jest ono szybkie i doskonałe. Ja jednak nie wiem o niczym. W jaki sposób Stefan sprawę przeprowadzi, to już jego rzecz.

Wspólnicy rozstali się i każde z nich odeszło w inną stronę.

Nie długo później poruszyły się liście palmowe i z kąta wysunął się mężczyzna.

Był to Asbjørn Krag.

Gości zaproszono do stołu. Gdy już podano szampana, inżynier wznosił toast na cześć Dra Petersa. Dr. Peters odpowiedział, ale mówił tak niezrozumiale i zawile, że nikt nie wiedział, co niemiecki agent chciał powiedzieć. Wieczera skończyła się i rozpoczęły się tańce. Doskonałe wino i doborowa muzyka zrobiły swoje. Goście bawili się ochoczo.

Żyd Stefan dopiero teraz pokazał się w salonie. Ubrany był starannie w butonierce tkwiła wstążeczka wysokiego odznaczenia tureckiego.

Walentyna tak manewrowała zręcznie, że wkrótce spotkała się ze Stefanem. Rozmawiali cicho. Walentyna bawiła się niedbale wachlarzem i uśmiechała w ten sposób, jak gdyby jej towarzysz bawił ją zwykłą towarzyską rozmową. Rozmawiali o inżynierze.

— Udało ci się? — zapytał Żyd Stefan.

— Udało — odpowiedziała Walentyna — ale on wierzy jej jeszcze.

— Żeby tylko nie odkrył przed czasem sieci twoich bezwstydných intryg!

— Bezwstydných intryg — roześmiała się Walentyna i uderzyła Stefana wachlarzem po rękę. — Czy i ty zaczynasz umoralniać?

— Dotychczas jeszcze nie, ale wiesz sama, jak inżynier jest strasznie podejrzliwy.

— Nawet najwyższa nieufność nie zepsuje przed czasem naszych knowań. Wszystko się stanie tak, jak ja chcę. Za pół godziny przybędzie praktykant leśnictwa.

— I cóż z tego?

— Ach, — zaśmiała się Walentyna — jakiś ty niedomyślny. Cóż łatwiejszego, jak ukuć taką małą intryżkę. Najważniejsza rzecz, że udało mi się, gdyż dzisiejszego spotkania nie pragnęła ani moja siostra przyrodnią, ani też Blinde. Praktykantowi powiedziałem, że to moja siostra pragnęłaby jeszcze zamienić słów parę przed jego wyjazdem, a Konstancji oświadczyłam, że Blinde za nią szaleje i że unieszczęśliwiłaby go na całe życie, gdyby się na tę ostatnią rozmowę nie zgodziła. Całość jest bardzo dramatyczna, lecz tak powinno się zawsze snuć intrygi. Wkrótce Konstancja wycofa się z towarzystwa pod pozorem bólu głowy i wejdzie do gabinetu, by trochę odpocząć i usunąć się od panującej wrzawy. Przez okno wtargnie leśniczy. Obiecałam, że mu w tym pomogę.

— A później?

— Wejdzie Barra

— I to zaaranżowałaś?

— Naturalnie. Powiedziałam mu, aby w chwili, gdy muzyka zagra walca z „Księżniczki Dolarów” wszedł do gabinetu. Co wówczas pomogą zapewnienia, że rendez vous miało niewinny charakter,

Przez ciało Stefana przebiegł dreszcz.

— Jesteś straszna kobietą — powiedział Stefan. Tyle nienawiści i perfidii w jednej osobie jeszcze nigdy nie spotkałem.

— A potem — śmiała się Walentyna — inżynier znów będzie dawnym Barrą i będzie należał tylko do nas. Razem stworzymy cuda. Widzisz, Krag zbliżył się do Barry. Czego on może od niego chcieć. Wygląda tak energicznie. Dziwny człowiek. Stąpa nam zawsze po piętach.

Detektyw szukał inżyniera czas dłuższy, aż wreszcie odnalazł go. Barra stał swoim zwyczajem niedaleko kominka z rękoma w tył założonymi.

— Chciałbym z panem pomówić — zaczął detektyw.

— Znowu? — zdziwił się inżynier — służę panu.

— Proszę o rozmowę w cztery oczy.

— Nie mogę — wstrzymują mnie obowiązki gospodarza.

— Rozmowa nasza potrwa zaledwie parę minut. Może wejdziemy do pańskiego gabinetu. Nie ma w nim na razie nikogo, zamkniemy drzwi.

Detektyw mówił w tonie tak rozkazującym, że Barra nie protestował wcale.

Obaj mężczyźni weszli do gabinetu. Krag zamknął za sobą drzwi.

— Czy zasunąć? — zapytał Barra.

— Zasuń pan — chcę mówić swobodnie.

— O czym chce mi pan powiedzieć?

— Chcę panu udowodnić, że się pan myli.

Barra cofnął się.

Asbjørn Krag wyjął rewolwer z kieszeni.

— Jeśli coś postanowię sobie, zawsze wykonam. Pan nie wyjdzie z tego pokoju, dopóki mnie pan do końca nie wysłucha.

## XXVIII

### ROZMOWA

— Ponieważ stoi pan z rewolwerem w ręce między mną a drzwiami, muszę pana wysłuchać. Mów pan zatem.

— Chcą pana powstrzymać na drodze, po które i pan kroczy.

— Co panu na tym zależy?

— Chcę, aby pozostał pan takim, jakim pan był przed przybyciem Walentyny.

Barra roześmiał się.

— Niejednokrotnie wspominał mi pan o swoich zamiarach, ale do czego to zdąża?

— Prawdopodobnie zna pan Walentynę równie dobrze, jak ja ją znam, a być może, że jeszcze lepiej. Zdaje więc pan sobie sprawę z tego, że jej zdeprawowanie nie ma granic.

— Proszę nie zapominać, że pan mówi o mojej krewnej!

— Mówię tak, jak czuję i myślę, jak mi się zresztą podoba. Czy nie zauważył pan, że Walentyna od czasu swego przyjazdu chciała ogarnąć pana siecią swoich intryg? Czy nie czuje pan, że ona chce pana skokietować?

Barra roześmiał się.

— Co? Mnie skokietować? Mnie starego człowieka?

— Nie myślę w ten sposób. Pan jest jej tylko potrzebny! I dla tego właśnie poruszył a ziemię i niebo, aby pana zdobyć dla siebie, względnie d swoich idei. Jestem przekonany, że jej to się udało.

— Z czego pan to wnioskuje?

— Z rozmaitych wydarzeń, a między innymi z machinacji pańskim wynalazkiem.

— Machinacje moim wynalazkiem?! Nie, pan myli się.

— To właśnie pan...

— Nikt nas tu nie widzi i nie słyszy, nie widzę przeto powodu grać przed panem komedię. Za tym przedstawię panu chronologicznie wypadki. Początkowo bronił się pan przed działalnością pańskiej szwagrowej, skoro przyszedł do przekonania, że ona działa na korzyść obcego mocarstwa. Wówczas zażądał pan, aby opuściła pański dom. Walentyna była zrozpaczona, gdy nagle zauważyła pańską piętę achillesową. Proszę się uspokoić panie inżynierze — teraz ja mówię. Z pańskiej miny wnioskuje, że przyznaje mi pan słuszność.

Barra chciał odpowiedzieć, ale nagle stracił ochotę, a detektyw ciągnął dalej.

— Tylko uznanie należy się panu za chęć zmiany dotychczasowego trybu życia. Jako umysł wówczas może pan oddać społeczeństwu nieocenione wręcz usługi, ale jako duch zniszczenia, musi pan być pokonanym. W sam czas zaznaczył, co jest powodem zmiany pańskiego usposobienia. Jest nią kobieta, w którą pan dotychczas wierzył i kochał. Tą kobietą jest Konstancja. Dla niej to powrócił pan do życia uczciwego. Teraz miał pan już cel w życiu i wiedział dla kogo myśli i pracuje. I właśnie w tą słabą strunę pana uderza Walentyna. Ona zdaje sobie sprawę, że z chwilą, gdy pan w swoją żonę zwątpi, ona wygrała. Wszystko mógłby pan znieść z wyjątkiem rozczarowania. Pańskim sposobem myślenia jestem naprawdę oczarowany. Domyśliłem się odraz, co się świeci, gdy nagle zmienił pan swą taktykę w chwili znalezienia rozmyślnie podrzuconej fotografii. Byłem przekonany, że spotkał pana cios.

Inżynier poruszył się w krześle niecierpliwie.

— Być może, że obecna rozmowa drażni pana, jednak nie mniej jest ona konieczną zarówno ze względu na pana, jak i na pańską czcigodną małżonkę.

— Czy zaprzeczy pan, że to moja żona ofiarowała praktykantowi swoją fotografię?

— Nie, tego nie zaprzeczę.

Barra uderzył się dłonią w czoło.

— A ja sądziłem, że to nie ona pisała, że to nie jej pismo...

— Niestety. To pisała pańska żona, ale na usilne prośby Walentyny. Fotografia była przeznaczona dla praktykanta leśnictwa.

— Tak.. tak..

— Walentyna użyła wszelkich środków, aby obudzić dawno zmarłe uczucia. Nie pragnęła tego wcale ani pańska żona ani też Blinde, a jednak omotani siecią intryg mieli się spotkać. Czy przypomina pan sobie chwilę i miejsce, gdzie pan znalazł fotografię?

— W salonie — koło fotelu — niedaleko kominka.

— Tak jest, tam właśnie podrzuciła ją Walentyna. Czy przypuszcza pan bodaj na chwile, że zrobiła to bez celu? Fotografię tę miała ona oddać praktykantowi, lecz w jej planach leżało, aby ona dostała się w ręce pana.

— Wyjaśnienia pańskie działają na mnie oszałamiająco. Ach! Jakże chętnie chciałbym wierzyć w to, w co przez dwa lata wierzyłem.

— Czy wie pan, że Blinde wyjeżdża.

Barra wzdrygnął się cały.

— Nie — o tym nie słyszałem!

— Oczywiście — śmiał się detektyw. — To nie leżało w planach Walentyny, aby o jego wyjeździe wspominać. Ten wyjazd właśnie pańska szwagrowa wykorzystała i ukuła intrygę. Walentyna oświadczyła praktykantowi, że żona pańska chce się jeszcze raz z nim widzieć, a żonie, że praktykant pragnie się pożegnać.

Inżynier był wzburzony.

— Wreszcie, jeśli powyższe dowody nie wystarczą panu, dodam jeszcze jeden. Jutro odbędzie się ślub praktykanta.

— To nie prawda!

— Prawda. Jego narzeczoną jest już w drodze i spodziewamy się jej przyjazdu lada godzina. W ostatniej niemal chwili zdecydowali się, że razem wyjadą do Ameryki.

Barra spojrział na detektywa.

— Czy pan wpłynął na to postanowienie?

— Tak jest, wpłynąłem. Tym razem moje zwycięstwo kosztowało mnie dużo, ale była to jedyna droga, na której mogłem wyratować cześć pańskiej żony. Jak obiecałem, rozmowa nasza nie potrwała zbyt długo. Odchodzę i zostawiam pana samego. Proszę się dobrze zastanowić, co pan przedsięwzięmie. W tej chwili stoi pan przed wyborem między dobrem a złem. Jeśli wybierze pan zło, to wówczas żona pańska zgubiona, ale pan nie zwycięży. Uprzedzam pana o tym. Tyle chciałem panu powiedzieć.

Asbjørn Krag podszedł do drzwi wiodących do salonu i nagle stanął.

— Czy żałuje pan, że mi pan poświęcił parę minut czasu?

— Nie — nie żałuję — odpowiedział cicho Barra.

Mężczyźni powrócili do salonu. Inżynier stanął na środku sali i oczami szukał Walentyny.

Do Barry podeszła Konstancja. Inżynier spojrział na nią i zatrwożył się.

— Co ci jest? Dlaczegoś taka blada? Może jesteś chora?

— Tak jest — odpowiedziała Konstancja — jestem okropnie znużona.

— Odpocznij sobie.

— Właśnie o tym myślałam.

— Ta wrzawa nie jest dla ciebie.

— Tak, tak, rozsadza mi niemal czaszkę.

— Wejdź do pokoju, gdzie cicho i spokojnie. Wszak masz klucz od mego gabinetu. Zasuń za sobą drzwi.

Młoda kobieta spojrzała wyraźnie na męża. Głos jego był tak niezwykły, a w dodatku kazał jej wejść do gabinetu.

— Wycofam się z towarzystwa na godzinę — mówiła Konstancja. — W tym czasie nikt nie zauważy mego braku, a zresztą wszystko mi jedno. Muszę odpocząć koniecznie.

— Idź, idź, odpocznij!

Konstancja znikła za stalowymi drzwiami gabinetu. Barra przeszedł przez salon i zbliżył się do Walentyny. „Pająk” domyślił się od razu jakiejś niespodzianki.

— Chciałeś czego ode mnie? — zapytała Walentyna.

Barra włożył rękę do kieszeni, szukał długo, aż wreszcie znalazł i wyjął fotografię.

— Co to znaczy? — zapytała zdziwiona Walentyna.

— Oddaj ją proszę pod właściwym adresem.

Walentyna cofnęła się o krok.

— Weź ją — rzucił szorstko inżynier.

— Domyślam się że już musiałeś mówić z detektywem. Dziwię się tylko, że wdajesz się z tym szarlatanem.

— Szarlatanem!? — powtórzył ironicznie inżynier.

— Tak, z tym wstrętnym oszustem.

Barra roześmiał się drwiąco i odwrócił plecami do Walentyny. Po chwili zniknął w tłumie.

Natychmiast po odejściu Barry podszedł do Walentyny Stefan.

— Co ci dał inżynier?

— Fotografię!

— Co to wszystko znaczy?

— Nie wiem. Prawdopodobnie Asbjørn Krag powiedział o wszystkim inżynierowi.

— Do diabła! Przecież nie jest on jasnowidzem.

— Nie, ale musiał podchwycić jakieś szczegóły, z których złożyć całość.

— A później powiedział Barze!

— Nie wiem!

— Zdaje mi się, że przegraliśmy.

— Jeszcze nie. Gramy do końca. Zamówiłeś samochód?

— Wszystko przygotowań. Szofer czeka przed oknami, a jeśli inżynier w ostatniej chwili skrewi?

— Wówczas musimy liczyć tylko na własne siły. Za każdą cenę musimy zdobyć przynajmniej plany. Będzie to i tak dużo w naszych warunkach.

— Jak się wydostaniesz? Wszak wiesz, że inżynier przechowuje je w silnej kasie ogniotrwałej. Czy rozsadzisz zamek?

— Na razie nie. Spróbuję jeszcze, może mi się uda wydostać je w drodze pokojowej. Już idę, a ty uważaj co dzieje się na podwórzu. Dopóki nie zagra muzyka, nie wolno ci przedsięwziąć żadnych kroków.

Wspólnicy rozeszli się. Walentyna stała chwile, bawiąc się niedbale wachlarzem, ale spokój już zniknął bez śladu. Już – już miała wyjść z walki jako triumfatorka, a tymczasem w ostatniej niemal chwili musiała uciekać się do nowych wykrętów. Główny filar chwiał się, inżynier nie wierzył jej więcej.

Walentyna przeszła przez salę. Około stalowych drzwi była zgromadzona służba. „Pająk” rozesłał ją na wszystkie strony i zapukał.

— Czy to ty, Walentyno? — odezwał się głos z gabinetu.

— Ja — otwórz!

Drzwi otworzyły się i Walentyna weszła do gabinetu.

— Zasuń — zasun — prosiła Konstancja.

W pokoju nie było nikogo. Konstancja złożyła trwożliwie ręce.

— Boję się — strasznie boję się.

— Trudno w tej chwili cofać się. Nie ma innej drogi, gaśmy światło.

Pokój utonął w ciemnościach.



– Cicho!  
Z ogrodu rozległ się gwizd. Walentyna słuchała.

## XXIX

### WALC WALENTYNY

„Pająk” zbliżył się do okna i otworzył je. Od czasu przepiłowania kraty przez detektywa dostęp przez okno był wolny. Walentyna stała chwilę, patrząc w ogród i nagle klasnęła lekko w dłonie. Odpowiedział jej cichy przeciągły gwizd.

Konstancja stała tuż przy kasie ogniotrwałej i patrzyła w ciemny otwór. Wkrótce do jej uszu doleciał szmer i za oknami zamajaczyła sylwetka wspinającego się mężczyzny.

W pokoju panowała zupełna ciemność.

Wreszcie mężczyzna stanął na parapecie okna i zeskoczył lekko na podłogę. Rozległ się cichy szept. Walentyna zamknęła okno, spuściła firankę i przekręciła kontakt. Pokój zalały promienie elektrycznej lampy.

Przed Konstancją stał z kapeluszem w ręku mężczyzna dobrze zbudowany, ubrany w zielony garnitur myśliwego.

Był to praktykant leśnictwa Blinde.

Mężczyzna skłonił się nisko z szacunkiem przed inżynierową.

— Jestem szczęśliwy — mówił Blinde — że mogę raz jeszcze pomówić z panią. Prawdopodobnie nie wrócę prędko do ojczyzny.

Konstancja stała chwilę bez ruchu, jak gdyby walcząc ze sobą i wreszcie podała mu rękę, którą Blinde pocałował.

— Sądzę, że mi wybaczysz trochę dziwne ułatwienie wejścia do pomieszczenia. Chciałam jednak spełnić twoją prośbę, lecz niestety — nie mogłam inaczej. Prawdopodobnie znasz mego męża jeśli nie osobiście, to z opowiadania i wiesz, że gdyby nas potkał na dzisiejszej schadzce, zastrzeliby nas niewątpliwie. Mąż mój jest niesłychanie zazdrosny

Blinde spojrzał zdziwiony.

— Na moje prośby?... Doprawdy nie rozumiem tego wcale.

W tej chwili wmieszała się Walentyna do rozmowy. Sprytny „Pająk” wiedział, że muszą nastąpić pewne wyjaśnienia, których zupełnie nie życzył sobie.

— Nie rozmawiajcie tak głośno — mówiła Walentyna — ktoś może was usłyszeć.

Blinde i Konstancja usiedli naprzeciw siebie. Praktykant jeszcze raz dziękował młodej kobiecie za wyrażenie życzenia spotkania się raz jeszcze.

Z kolei teraz Walentyna zdziwiła się.

— Jak to?... — dziwiła się Walentyna — sądziłam, że to właśnie ty pragnąłeś tego.

Walentyna denerwowała się i dopiero po dłuższych staraniach udało się jej sprowadzić rozmowę na inne tory. Zaczęto mówić o dawnych czasach, ale rozmowa nie kleiła się zupełnie. Spodziewany nastrój prysnął bezpowrotnie. Naprzeciw siebie siedziało dwoje ludzi nie mających ze sobą nic więcej wspólnego, ludzi sobie obcych, obojętnych. Oboje eksnarzeczeni czuli doskonale przykry nastrój. Bolesne niegdyś rany zagoiły się od dawna. Po cóż było je rozdrapywać. Nikt nie pragnął tego spotkania i oboje pragnęli, aby ta wizyta skończyła się jak najprędzej.

Walentyna wyszła do gwarne go salonu, gdzie wkrótce spotkała się ze Stefanem.

— Co się stało nowego? Jesteś strasznie zdenerwowany! — zapytała Walentyna.

— W tej chwili rozmawiałem z inżynierem — odpowiedział Stefan — kazał mi natychmiast wyjeżdżać.

— Ach, więc cofnął się!

— Tak jest. — To ten przeklęty detektyw urządził nas tak ślicznie.

— Prawdopodobnie Krag przekonał inżyniera o uczciwość Konstancji.

— Nie przyszło mu to z trudnością. W gruncie rzeczy Barra pragnął tego bardzo. Ale co my teraz zrobimy?

— Nie wiem, ale w tej chwili nie wyjadę — to pewne. Zdaje mi się, że będę musiał wrócić do dawnej taktyki, gdyż twoje plany zawiodły najokropniej.

— Nie wydawaj jeszcze sądu o mojej taktyce. Chcesz mu może grozić?

— Już nawet to zrobiłem!

— Czym mu zagroziłeś?

— Dawną historią. Przypomniałem mu tylko berliński mord. Mogę go kazać natychmiast aresztować.

— W tym wypadku musiałby interweniować kraj. Czy uwierzysz jednak w taką możliwość?

— Zupełnie mi to obojętne, kto go przearesztuje. Jeśli nie uczyni tego tutejsza policja, zwrócę się do swego poselstwa. Nie zapominaj Walentyno, że w dzisiejszych warunkach jestem wszechmocny. Stoję przecież na usługach wielkiego mocarstwa.

Stefan był tak szalenie zdenerwowany, że rozmawiał niemal głośno.

— Mów ciszej! — upominała go Walentyna — Jeszcze ktoś usłyszy.

— Wszystko mi jedno! Rzucam ostatni atut.

— Tylko nie denerwuj się. Jeszcze nie wszystko stracone. Wprawdzie nie przekonamy więcej inżyniera o wiarołomstwie jego żony, ale nie mniej musimy się starać, aby plany wydobyć.

— W jaki sposób wydostaniesz? Barra przejrzał twoje intrygi i wycofał się z naszej spółki. Podobno chce zostać „umysłem twórczym” jak to sam określa.

— Mam jeszcze jeden wybieg, nawet gdyby wszystko zawiodło, musimy wygrać.

— Nie domyślam się go wcale. Mówisz nazbyt ogólnie.

— Czy jest on ryzykowny?

— Nawet bardzo.  
— Co zamierzasz zrobić?  
— Wykradnę plany  
— Mówiłaś już o tym. Jak jednak otworzysz ciężkie drzwi ogniotrwałej kasy?

— Bądź spokojny! — Dostanę się w sposób przebiegły.

— Czy samochód przygotowany do jazdy?

— Szofer czeka pod oknami gabinetu inżyniera.

Wspólnicy rozeszli się. Walentyna przesunęła się zręcznie przez salon i zbliżyła się ku stalowym drzwiom gabinetu.

Asbjørn Krag obserwował Walentynę od dłuższego czasu. Gdy „Pajak” przeszedł przez salon i zapukał do drzwi gabinetu, detektyw domyślił się, że wybiła rozstrzygająca godzina. W mieszkaniu nie miał nic więcej do roboty. Asbjørn Krag wysunął się niepostrzeżenie na korytarz. Tu spotkał się z Jensem oraz z jednym policjantem przebranym po cywilnemu

— Co jest nowego? — zapytał detektyw.

— Żółty pancerny samochód stoi pod oknami gabinetu Mam wrażenie, że jest on przygotowany do odbicia dalekiej podróży.

— Kto prowadzi samochód?

— Szofer. Widziałem jak przed chwilą rozmawiał on z Walentyną.

— Siedzi kto w samochodzie?

— Na razie nikt.

— Umiesz prowadzić samochód?

— Wybornie, chociaż nie mam na to urzędowego zezwolenia.

— Postaraj się zająć miejsce szofera — rozkazał detektyw.

Jens roześmiał się serdecznie.

— Jeśli pan sobie tego życzy, stanie się to niewątpliwie.

— Uważaj co ci powiem! Jeżeli do samochodu wskoczą jacyś ludzie i każą ci jechać, jedź z nimi wokoło.

— Z której strony mogą ci ludzie zbliżyć się?

— Prawdopodobnie wyjdą z pałacu przez okno gabinetu.

Sprytnemu chłopakowi wystarczyło najzupełniej kilka słów detektywa. W jednej chwili był on już na podwórzu.

Tymczasem Walentyna stanęła przed drzwiami gabinetu i zapukała w umówiony sposób.

Drzwi gabinetu otworzyły się i Walentyna weszła do pokoju.

— Zasuńcie natychmiast drzwi — rozkazała Walentyna, jakby najokropniej przerażona.

— Co się stało? — zapytała drżąca Konstancja. — Czyżby jakie nieszczęście?

Walentyna umiała doskonale wczuć się w nową rolę.

— Barra — mówiła Walentyna jakby na wpół przytomnie — Barra...

— Co Barra?

— Wie już o wszystkim. Musiał on zobaczyć wspinającego się do okna Blindego.

Konstancja zachwiała się.

— Boże! Jeśli Blinde w tej chwili nie umknie przez okno — zginęliśmy.

Inżynierowa zbliżyła się do okna. Z podwórza doleciał ją gwar. Wprawdzie nie wiedziała ona, co on oznacza, to jednak czuła, że przez okno wymknąć się bardzo trudno.

— Nic nas nie uratuje. Pod oknem są ludzie. Boże! Co my teraz zrobimy? Czy nie ma już żadnego ratunku?

Walentyna zamyśliła się i nagle spojrzała na praktykanta.

— Jest, jeśli tylko pan Blinde zechce ratować honor kobiety.

— Co mam czynić? — zapytał bez namysłu Blinde.

Z salonu doleciały ich dźwięki muzyki. Orkiestra grała walca Walentyny.

— Ach, już grają — szepnął „Pająk”.

— Wszak ciągle grają. Czemuż tak dziwisz się?

— Tak... tak... grają teraz walca...

Nagle muzyka urwała. Pod drzwiami rozległy się czyjeś kroki

— To Barra — rzuciła Walentyna.

## ZAKOŃCZENIE

— Otworzyć — otworzyć natychmiast! — krzyczał Barra, bijąc równocześnie pięściami do drzwi.

Konstancja chwyciła konwulsyjnie Walentynę za ramię

— Ratuj nas — ratuj — on nas zabije — ja znam Barrę.

— Zrobię wszystko, co pani każe, lecz powiedz, co mam robić.

Walentyna otworzyła drzwi od szafy, w której znajdowały się przybory toaletowe inżyniera. Pająk wyjął z niej rudą perukę i brodę.

— Charakteryzuj się pan natychmiast — rozkazała Walentyna. — Nie mam czasu tłumaczyć panu powodów. Musi mnie pan słuchać, inaczej zginiecie oboje.

Słowa Walentyny brzmiały jak rozkaz. Bez słowa protestu wkładał Blinde perukę.

Z szalonym pospiechem przeprowadzała Walentyna swój plan. Gdzieś z kąta szafy wyciągnęła flaszkę zaopatrzoną etykietą i wyciągnęła korek. Silny zapach chloroformu napełnił pokój.

— Chloroform! Co to ma znaczyć i w jakim celu jest on potrzebny? — zapytał leśniczy.

Walentyna nie odpowiadała. Podeszła ona do siostry i wyjęła z za gorsu chusteczkę co nosa. Walentyna zmoczyła chusteczkę płynem i zbliżyła do twarzy siostry.

— Nie chcę, nie chcę — broniła się ostatnim wysiłkiem młoda kobieta.

— Musisz — tłumaczyła jej Walentyna — Słyszysz — pod drzwiami ryczy Barra. Odgraża się że wysadzi zamek. Za parę chwil będzie tutaj.

— Dlaczego chcesz mnie uśpić?

— Ratuję tylko twoją cześć! Gdzie są klucze od kasy?  
— Po co ci klucze?  
— Daj natychmiast, albo otworzę drzwi i wpuszczę twojego męża.  
Wahając się jeszcze, podała Konstancja pęk kluczy.  
— Wszak w kasie znajduje się twoja biżuteria  
— Tak, w kasie.  
— Jakie to słowo, którym otwiera się kasa?  
Konstancja zrozumiała zamiar Walentyny.  
Jedynie Blinde nie domyślił się niczego.  
— Czy to konieczne? — zapytała Konstancja.  
Głos Barry wzmógł się do niebywałych granic.  
— Jeśli w tej chwili nie otworzycie, wysadzę drzwi. Słyszysz?  
Młoda kobieta podała żądane słowo. W kilku krokach dopada  
Walentyna ogniotrwałej kasy.  
Jedno pociągnięcie i drzwi stanęły otworem.  
Walentyna włożyła obie ręce i przeszukiwała zawartość gorączkowo. Na  
podłogę padały dokumenty, papiery wszelkiego rodzaju, pieniądze i  
biżuteria. Wreszcie znalazła upragniony cel. Duży plik papierów, zwinięty  
w rulon nosił napis: „Plany torpedy”. Pająk chwycił go w ręce i roześmiał  
się serdecznie.  
— Co to znaczy? — pytała zdziwiona Konstancja.  
— Nic... nic... tak być musi — odpowiedziała Walentyna, wyrzucając na  
podłogę zawartość kasy. Chciała ona upozorować włamanie.  
— Proszę mi pomóc — rozkazała Walentyna leśniczemu  
— W jaki sposób?  
— Chowaj pan — chowaj biżuterię po kieszeniach.  
Blinde był blady jak ściana  
— Nikt pana nie zna — mówiła Walentyna — i to tym bardziej,  
ponieważ jesteś pan ucharakteryzowany. Asbjørn Krag jest moim  
przyjacielem. A teraz wyjdę z gabinetu i narobię hałasu, że ktoś włamał  
się do gabinetu. Za pół godziny będzie pan wolny.  
— Ależ to straszne — mówił Blinde — pani chce zrobić ze mnie  
złodzieja.  
— Musi pan ratować honor kobiety.  
Praca Walentyny była skończona. „Pająk” oglądnął się jeszcze raz  
wokoło, na ustach wykwił mu uśmiech uradowania.  
— Włamanie — tylko zwykłe włamanie. Zachowaj się pan tak, jak  
gdyby złapano pana na gorącym uczynku. Nie mów wiele, żądaj pan tylko  
rozmowy z detektywem w cztery oczy.  
Z za drzwi doleciał niezwykły szmer.  
— Najwyższy czas! Inżynier zapalił lont — mówiła Walentyna,  
przykładając chustkę nachloroformowaną do nosa Konstancji.  
Młoda kobieta odetchnęła kilka razy głęboko i usunęła się bezwładnie  
na fotel.  
— Proszę nie dziwić się, kochany panie Blinde, że wspinam się jak kot,  
ale różnie plecie się w życiu człowieka. Raz byłam nawet artystką cyrkową  
— mówiła Walentyna, włączając na okno. Do widzenia za pół godziny. Nie  
zapominaj pan, że ratujesz honor i cześć kobiety!

Jeszcze jedno spojrzenie i Walentyna zniknęła za oknem. W kilka minut później Blinde usłyszał warkot szybko odjeżdżającego samochodu.

Nagle drzwi rozwarły się z hukiem i do pokoju wpadł inżynier. Tuż za nim szedł niemiecki agent, Żyd Stefan, oraz Dr. Hoft.

Inżynier spojrzał oszołomiony.

Na fotelu leżała nieprzytomna inżynierowa, a koło kasy stał mężczyzna.

— Włamanie — krzyknął inżynier — zwykły złodziej.

Blinde drgnął odruchowo, ale wnet pohamował się i rzekł:

— Tak jest.

Z prawej kieszeni mężczyzny wyglądał długi sznur pereł.

Inżynier zbliżył się do żony, a Żyd Stefan ujął mężczyznę za rękę.

— Dlaczego pan nie uciekał?

— Nie mogłem. Ludzie są pod oknami. Chciałabym mówić z panem Kragiem w cztery oczy. Wyjaśnię mu pewne rzeczy.

Inżynier zbliżył się do kasy i coraz bardziej nerwowo przerzucał papiery i nagle krzyknął:

— O Boże! Boże! Plany — skradziono mi plany.

Prawie nieprzytomny, chwycił Barra praktykanta za ramię i trząś nim jak gruszką.

— Gdzieś podział moje rysunki?

Blinde czuł, że opuszczają go resztki sił. Przyjął jednak na siebie rolę złodzieja i postanowił wytrwać w niej do końca.

— Gdzieś podział plany? — krzyczał inżynier. Blinde wskazał wzrokiem okno.

— Oddałeś współnikom czekającym na dworze?

— Oddałem. Powiem jednak dokładnie detektywowi w rozmowie w cztery oczy.

Dwóch ludzi tylko nie straciło zupełnie zimnej krwi. Był to Dr. Hoft, cucący inżynierowi, oraz Żyd Stefan. Zniknięcie planów wyjaśniło Stefanowi sytuację. Teraz był on pewien, że całą scenę zaaranżowała Walentyna. Nie wiedział tylko w jaki sposób ona zniknęła.

W chwili najwyższego zdenerwowania, na progu gabinetu stanął Asbjørn Krag.

Sekundę zatrzymał się detektyw, jak gdyby pragnąc zorientować się w sytuacji. Mimo charakteryzacji, detektyw poznał natychmiast praktykanta.

Asbjørn Krag zbliżył się do niego i wyciągnął rękę.

— Proszę o pańską prawicę. Naprawdę jesteś pan rycerskim człowiekiem.

Cisza zaległa pokój.

Barra stał jak skamieniały, patrząc na obu mężczyzn z najwyższym zdziwieniem.

— Gdzie pan był dotąd? — zapytał z wyrzutem inżynier.

— Odbyłem małą przejażdżkę samochodem. Niestety trwała ona zaledwie parę minut. Zapewniam państwa, że mieliśmy doskonałego szofera. Panowie znają go prawdopodobnie. Jest to mój pomocnik Jens.

— A pani? — zapytał niespokojnie Żyd Stefan.

— Kobieta tą była Walentyna — odpowiedział detektyw.

— Gdzie ona teraz?

— W przedpokoju. Jens bawił ją. Nie może się przeto skarżyć na brak towarzystwa. Ponadto jest jeszcze w towarzystwie kilku panów ubranych po cywilnemu.

Żyd Stefan zbladł w jednej chwili.

— Czy wie pan o tym, że skradziono mi plany?

— Wiem!

— Skradł je ten pan, z którym witał się pan przed chwilą.

— Nie — zaprzeczył Krag — on ich nie wziął wcale.

— Ależ on sam przyznał się do tego.

— Tak, ale zrobił to tylko w tym celu, aby obronić cześć kobietą. Dlatego właśnie nazwałem go rycerskim i uściśnałem mu rękę.

— Nic nie rozumiem — któż zatem skradł moje plany?

Asbjørn Krag rozpiął marynarkę i wyjął z kieszeni zwój papierów,

— Proszę — oto rysunki — zwracam je. Zabrała je panu pańska szwagrowa. Na szczęście przewidziałem jej plan, usunąłem właściwego szofera i kiedy chciała umknąć z papierami w samochodzie, spotkała się ze mną i Jensem. A teraz — powiedział detektyw, zwracając się do leśniczego — proszę zdjąć fałszywą brodę i perukę.

— Oto pan Blinde — przedstawiał go Krag.

Detektyw dał znak i do pokoju weszła Walentyna w towarzystwie Jensa, przebranego w garnitur szofera. Walentyna była zupełnie przygnębiona. Czuła doskonale, że bitwa przegrana.

Dopiero teraz zrozumiał Blinde całą intrygę i w kilku słowach opowiedział wszystko.

Barra zbliżył się do detektywa i podał mu rękę.

— Widzę że nie zawiodłem się i dziękuję panu. Mam wreszcie kogoś, dla którego warto być umysłem twórczym.

— Moi urzędnicy są w całym domu. Czy chce pan oddać sprawę ławie przysięgłych, czy też puści ptaszki wolno.

Dr. Peters wmieszał się do rozmowy.

— Wygraliśmy — po cóż ich więzić?

— Słusznie, puścić ich wolno.

— Byłaby to straszna rzecz, zamknąć w więzieniu wszystkich złodziei świata. Ale sądzę, że doktor jest zadowolony z mojej działalności i w razie, gdyby pan potrzebował jeszcze kiedyś mojej pomocy...

Dr. Peters ukłonił się.

— Cieszę się, że trafiłem na genialnego detektywa.

Detektyw spojrzął na zegarek.

— Za godzinę odjeżdża pociąg. Pociągiem tym muszą wyjechać Stefan i Walentyna,

— Jedziemy, jedziemy — odpowiedziała Walentyna. Niestety przegraliśmy.

— Pojedziemy razem — dorzucił Żyd Stefan.

— Tak, razem — razem jeszcze zadziwimy świat.

Nikt im nie odpowiedział, tylko Barra zbliżył się do nieprzytomnej żony i gładząc jej włosy, odezwał się głosem dziwne miękkim:

— Nie wy, ale my świat zadziwimy! Na progu gabinetu stanął służący.

– Wojskowy attaché, pułkownik Batt pragnie mówić z panem inżynierem.  
— Prosić!  
Służący zniknął, a za chwilę na korytami zadzwoniły ostrogi.

**K O N I E C**